POLACY NA FRONCIE WSCHODNIM
Polskie wojsko poniosło u boku Napoleona horrendalne straty

DIABLESKI PAKT EISENSTEINA
Genialny reżyser oddał Stalinowi i jego propagandzie całego siebie

BETLEJEMSKI CUD Z KAMIENIA
To, że ta bazylika przetrwała 1,5 tys. lat, można postrzegać w kategoriach cudu

NR 1(155)/2026 STYCZEŃ 2026

CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY



Cesarz i Polacy

W CO GRAŁ NAPOLEON?

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
9 772299 951509 01>

eprasa.pl bba3719406

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

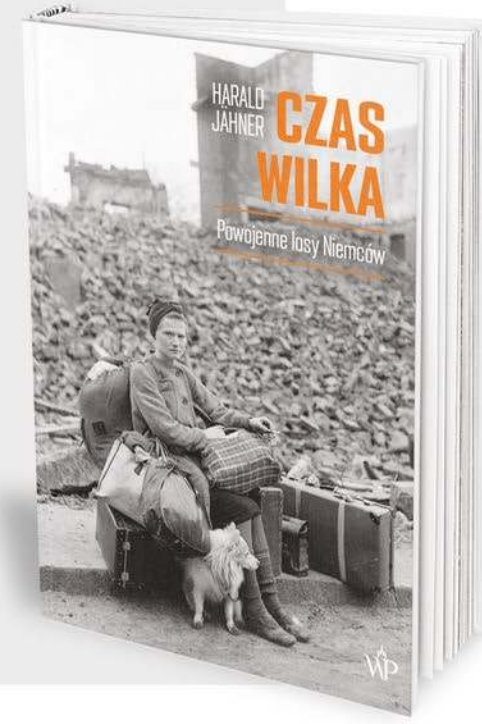
PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA HARALD JÄHNER „CZAS WILKA. POWOJENNE LOSY NIEMCÓW”

Pierwsze lata powojenne to dla jednych „dziki kontynent”, dla innych „wielka trwoga”, dla Niemców „wilczy czas” – czas, w którym cały naród musiał dokonać przewartościowania swych postaw i stworzyć fundamenty demokratycznego państwa.

Harald Jähner ukazuje Niemców w całej ich różnorodności: pisarza Alfreda Döblina, który w swej twórczości próbował kreować nowych, nieobarczonych przeszłością obywateli, Beate Uhse – twórczynię pierwszego sex-shopu na świecie, bezimiennych handlarzy z lucky strike’ami w kieszeniach i stylowe gospodynie domowe.

„Czas wilka” to również opowieść o krajobrazie wszechobecnych ruin, o masowych migracjach ludności, o silnych afektach i emocjach. O kształtowaniu nowej gospodarki rynkowej w cieniu grabieży i czarnego rynku, o generacji Garbusa. Ale też o systematycznym wypieraniu prawdy o Zagładzie.



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

173 zł

oszczędność 61 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl bba3719406

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktor: **Tomasz Stańczyk**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Agnieszka Szpak

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00
Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, sierpień 1926 r.

Scena z komedii „Napoleon w szlafroku" w Teatrze im. W. Bogusławskiego. Jan Bonecki w roli cesarza Francuzów.



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Napoleońska gra

Obawa przed wykorzystaniem Polski jako narzędzia do realizacji cudzych interesów to stały element narodowych debat. Widzimy to również dziś, gdy ważą się losy naszej części Europy. Czy Ameryka i Europa Zachodnia nie poświęcą nas dla własnych interesów? Czy znów damy się ograć? Podobne rozważania dotyczą oczywiście poprzednich dekad i stuleci. Czy rozpoczynając powstanie warszawskie, dowództwo AK nie działało w ostatecznym rachunku przede wszystkim w interesie Stalina? Czy w 1939 r. nie daliśmy się przypadkiem zmanipulować Brytyjczykom i Francuzom, wierząc, że przyjdą nam z pomocą? To samo tyczy się początku XIX stulecia. Czy Polacy nie zostali aby cynicznie potraktowani przez Napoleona, który mógł być zainteresowany jedynie dodatkowym „mięsem armatnim"? Bo może jednak to, że śpiewamy o nim w hymnie i nadajemy naszym ulicom jego imię, świadczy jedynie o naszym niezrozumieniu historii?

W najnowszym numerze analizujemy ofertę Napoleona dla Polaków i zastanawiamy się, czy nasze ówczesne elity podjęły słuszną decyzję. Już wówczas bowiem nie brakowało Polaków, którzy nie wierzyli cesarzowi Francuzów i nie chcieli wchodzić z nim w żadne układy. Jak wiadomo, Tadeusz Kościuszko absolutnie nie był zainteresowany współpracą z Francuzami i jasno im to wyłożył.

Stworzone przez Napoleona Księstwo Warszawskie było wręcz zaprojektowane jako zaplecze dla francuskiej armii, a polskie wojska poniosły przecież horrendalne straty w trakcie napoleońskiej kampanii w Rosji. Czy Polacy, tak zdeterminowani, by odzyskać własną państwowość, zostali zatem potraktowani przez cesarza Francuzów w sposób czysto instrumentalny? Odpowiedzi na te pytania udziela na naszych łamach prof. Jarosław Czubaty, doskonały znawca tamtej epoki. W temacie numeru pochylamy się również nad polskim udziałem w kampanii w Rosji, a także prześwietlamy skomplikowaną sylwetkę głośnego bohatera tamtych lat – księcia Józefa Poniatowskiego. ©℗

eprasa.pl bba3719406

/ CZASY I LUDZIE

.20 ANNA SZCZEPAŃSKA
Betlejemski cud z kamienia

.24 MIKOŁAJ IWANOW
Diabelski pakt Eisensteina

.28 ŁUKASZ CZARNECKI
Cesarze na smyczy

.32 SEBASTIAN REŃCA
Niemiecki „targ niewolników"

.36 SŁAWOMIR KOPER
Chorwacka „Burza"

.40 MAREK GAŁĘZOWSKI
Służyć zwycięstwu Polski

.44 PIOTR WŁOCZYK
Z Sarn na Sybir

.48 LESZEK LUBICKI
Jak Polska odzyskała wzrok

.52 JAKUB OSTROMĘCKI
Fałsz pogańskiej męczennicy

.56 PIOTR SEMKA
Griletta i złote brojlery

.60 STANISŁAW A. SROKA
Andegaweńska gra o tron

/ CO CZYTAĆ



.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Pisarz na sto dwa



/ TEMAT NUMERU

.6 JAROSŁAW CZUBATY
Polska napoleońska

.12 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Polacy na froncie wschodnim

.16 TOMASZ STAŃCZYK
Honor księcia Józefa

eprasa.pl bba3719406



.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Pomóc wrogowi

.71 PIOTR SEMKA
Litwinów kłopoty z dekomunizacją

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Łotewskie „Dzikie Koty”

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Od Somosierry do Waterloo

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Kuchenne fronty

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Ziemia dla jednego ludu

/ KOMIKS

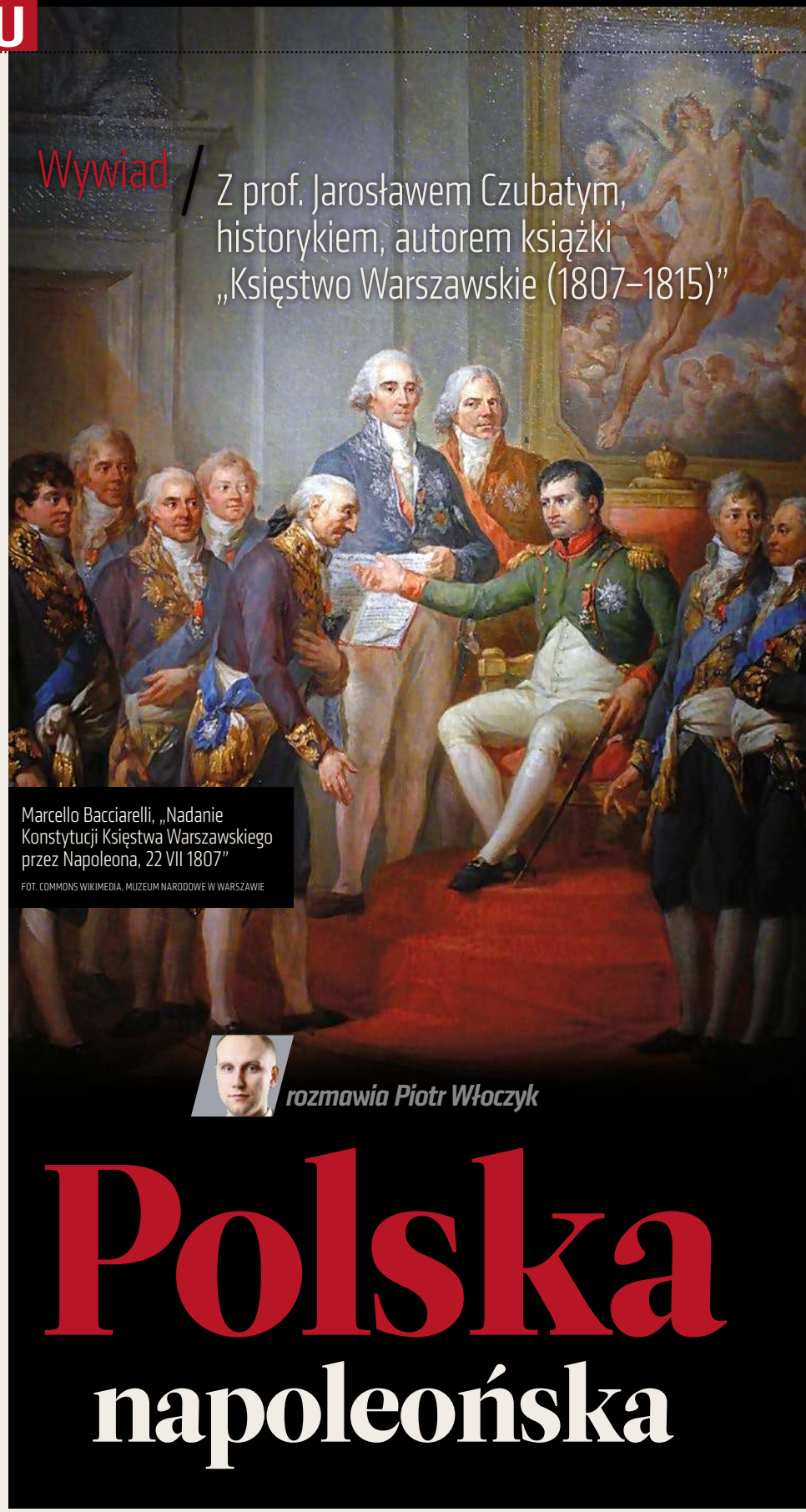
.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Archiwum Ringelbluma

eprasa.pl bba3719406

Wywiad / Z prof. Jarosławem Czubatym, historykiem, autorem książki „Księstwo Warszawskie (1807–1815)”

Polska napoleońska

– Możemy kręcić nosem na Napoleona, ale trzeba pamiętać o tym, że żadna siła polityczna w Europie nie dawała w tym okresie Polakom więcej niż on. I polskie elity starały się wykorzystać nadarzającą się szansę polityczną – mówi historyk



Marcello Bacciarelli, „Nadanie Konstytucji Księstwa Warszawskiego przez Napoleona, 22 VII 1807”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Śpiewamy o nim w hymnie, a jego ulice widzimy w wielu polskich miastach. Czy jednak Napoleon faktycznie zasłużył sobie na taką pamięć wśród Polaków?

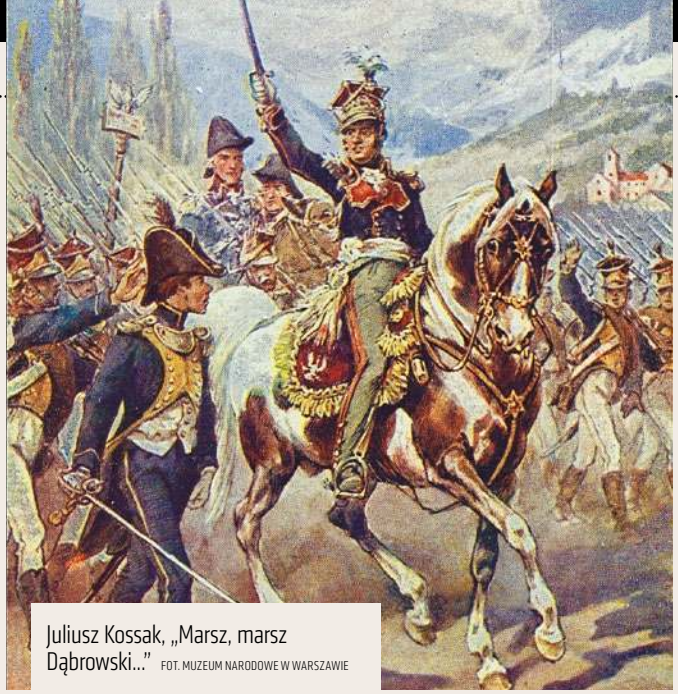
PROF. JAROSŁAW CZUBATY: Możemy wyróżnić kilka etapów relacji „Napoleon a sprawa polska”. Najpierw mamy gen. Bonaparte służącego we Włoszech w 1797 r., gdy powstają Legiony Polskie. Potem na scenę wkracza Napoleon Pierwszy Konsul i wreszcie mamy cesarza Francuzów. Co więcej, w roku 1805 Napoleon patrzy na to zagadnienie zupełnie inaczej niż rok później.

Jego stosunek do tzw. sprawy polskiej był zawsze wypadkową układu sił politycznych w Europie i pytania, czy to będzie korzystne dla Francji. My natomiast jesteśmy niesłychanie wymagający – oczekujemy, że inni będą nas bezapelacyjnie kochali. A przecież tak naprawdę, jak powiedział Napoleon Józefinie, gdy zakomunikował jej, że chce się z nią rozwieść, polityka nie ma serca, tylko ma głowę. I dlatego pewne decyzje, które podejmował, są dla nas czasem niezrozumiałe czy wręcz trudne do zaakceptowania.

Jak gen. Bonaparte traktował Legiony Polskie we Włoszech?

Jako jeden z nielicznych Francuzów dostrzegł potencjał polityczny kryjący się w ambicjach narodowych polskiego ruchu niepodległościowego, uosabianego w tym momencie przez gen. Jana Henryka Dąbrowskiego. Oczywiście widział też potencjał militarny tych oddziałów

eprasa.pl bba3719406



Juliusz Kossak, „Marsz, marsz Dąbrowski…" FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

– z punktu widzenia głównodowodzącego tzw. Armii Włoskiej działającej na Półwyspie Apenińskim, zawsze lepiej było mieć te kilka tysięcy dodatkowych żołnierzy, niż ich nie mieć.

Przy czym Bonaparte nie wyraził zgody na utworzenie prostych oddziałów najemnych na służbie jednej czy drugiej republiki włoskiej, lecz zgodził się na formowanie oddziałów narodowych, co zostało zapisane w konwencji między Dąbrowskim a włoskimi politykami. Takie rozwiązania jak polscy oficerowie, komendy w języku ojczystym czy zbliżony do polskiego mundur mają jednak głębokie znaczenie polityczne.

Cała strategia polityczna Bonaparte, tak na polu bitwy, jak w polityce, zakładała tworzenie „wyjść awaryjnych". Z tego punktu widzenia wyraźnie widać, że przygotował on sobie „kartę polską", którą będzie można zagrać, jeśli pojawi się sprzyjająca sytuacja polityczna i jeśli w ogóle będzie tego wymagać rozwój sytuacji. Nie zagrał nią aż do 1806 r.

Zapewne wielu Polaków bardzo się niecierpliwiło…

Nie możemy jednak zapominać o tym, że Napoleon nie był politykiem polskim i nasz interes narodowy nie był dla niego najważniejszy. A my trochę oczekujemy, że inni politycy powinni podejmować sprawę polską, nie patrząc na rozmaite ryzyka. Napoleon poczekał z tym do momentu, kiedy naprawdę było mu to potrzebne, i dopiero wtedy zagrał „kartą polską".

Jak w tym włoskim okresie Francuzi korzystali z polskich żołnierzy? Czy można powiedzieć, że Polacy byli wtedy traktowani cynicznie, jak typowe mięso armatnie?

Nie. Aż do pokoju w Lunéville, kończącego w 1801 r. wojnę z Austriakami, polskie oddziały miały zadania pomocnicze i były traktowane mniej więcej tak jak armia francuska. Oczywiście niektórzy oficerowie legionowi narzekali, że byli gorzej wyposażeni, np. w kwestii umundurowania, albo że z opóźnieniem dociera do nich żołd, jednak wiele oddziałów francuskich miało podobne zastrzeżenia. Widzę w tym generalne problemy związane z aprowizacją armii i nie dostrzegam tu celowej polityki nieliczenia się z życiem polskich żołnierzy.

Polacy chcieli walczyć, mając nadzieję na odzyskanie niepodległości, więc Francuzi po prostu im to umożliwili. Czyli to był „czysty" układ?

Uważam, że tak właśnie było.

A jak to wyglądało w kolejnych latach, aż do utworzenia Księstwa Warszawskiego?

Tu mamy początek czarnej legendy Napoleona, która w pewnym zakresie istnieje do dziś w świadomości części Polaków. Pamiętajmy, że w pokoju w Lunéville w 1801 r. znalazł się zapis, iż obie strony zawierające pokój nie będą popierać swoich wrogów wewnętrznych. Innymi słowy: Austriacy nie będą wspierali francuskich rojalistów i nie będą tworzyć oddziałów walczących w imieniu Burbonów, natomiast Francuzi nie będą popierali wrogów wewnętrznych Austrii, czyli Polaków. W tym momencie Legia Naddunajska i Legie Włoskie stają się kłopotliwe…

Jedna z tych legii zostaje przeniesiona na służbę włoską, a dwie pozostałe przekształcono w półbrygady francuskie, przejęte na żołd Paryża. Część legionistów, głównie oficerów, przyjęła to z oburzeniem. Część była jednak z tego zadowolona, ponieważ takie rozwiązanie gwarantowało wyższy i bardziej regularnie wypłacany żołd.

Dwie z tych półbrygad odsunięto od spraw europejskich w znany nam sposób: wysłano je do tłumienia powstania Mulatów i czarnych na Saint-Domingue (dzisiejsze Haiti). W tej czarnej legendzie napoleońskiej, rozpowszechnianej wśród Polaków m.in. przez zwolenników orientacji prorosyjskiej, utrwaliło się przekonanie, że nasi żołnierze zostali tam wysłani na śmierć.

Ale jednak bardzo wysoka śmiertelność wśród Polaków tłumiących powstanie na Saint-Domingue – większość z ok. 6 tys. żołnierzy zginęła – to po prostu fakt.

Rzeczywiście, wysłani tam Europejczycy umierali na choroby tropikalne i ginęli w bardzo brutalnych walkach. Jeżeli jednak przyjrzymy się ocenom polskich oficerów, którzy mieli tam popłynąć, to zobaczymy, że pewna część z nich uważała, iż to będzie łatwa, przyjemna wojenka w miłym klimacie. W końcu po walkach z Austriakami i Rosjanami jakimi przeciwnikami mogli być dla polskich żołnierzy niedawni niewolnicy?

Okazało się, że bardzo trudnymi…

Tak. Pamiętajmy jednak, że sam Napoleon uważał, iż to nie będzie nic trudnego, i dlatego wysłał na tę ekspedycję swoją ukochaną siostrę Paulinę, razem z jej mężem gen. Charles'em Leclerkiem, który – nawiasem mówiąc – zmarł na jednej z karaibskich wysp na febrę. Francuzi myśleli, że to będzie akcja bardziej policyjna niż wojskowa. W przekonaniu większości wojskowych czarni powstańcy nie byli żadnym przeciwnikiem dla europejskiej armii. Okazało się, że takie podejście było wielkim błędem. Trzeba też pamiętać, że Francuzi sami sprowokowali ten konflikt swoim wcześniejszym stosunkiem do niewolników, a następnie represjami po rozpoczęciu



JAROSŁAW CZUBATY „KSIĘSTWO WARSZAWSKIE (1807–1815)"
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

eprasa.pl bba3719406



Gioacchino Giuseppe Serangeli, „Pożegnanie Napoleona z Aleksandrem I po zawarciu traktatu w Tylży”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAŁAC W WERSALU

powstania. To była jedna z pierwszych tzw. brudnych wojen.

Z punktu widzenia przeciwników cesarza Francuzów łatwo było to przedstawić jako celowe działanie zmierzające do siłowego rozwiązania problemu polskich żołnierzy. Myślę, że Napoleon sam był zaskoczony efektami tej przegranej ostatecznie wyprawy.

Wraz z końcem powstania na Saint-Domingue „sprawa polska” przycichła na paryskich salonach władzy?

Aż do 1806 r. niewiele działo się wokół „sprawy polskiej”. Kilka tysięcy dawnych legionistów, z gen. Dąbrowskim na czele, służyło w Republice Włoskiej, przemianowanej później na Królestwo Włoch, bądź też u króla Józefa w Neapolu. Właściwie nie było przed nimi żadnych perspektyw politycznych. Napoleon nie widział możliwości zagrania „kartą polską”, bo wiedział, że jeżeli miałby to zrobić, to rozpocząłby niebezpieczną grę z Prusami, Rosją i Austrią jednocześnie. A to niesłychanie skomplikowałoby przebieg wojny i utrudniłoby przyszłe negocjacje. Trzeba więc było czekać na sprzyjającą koniunkturę.

W sposób nieco zaskakujący ten moment nadszedł jesienią 1806 r. Prusy przegrały pierwszą fazę wojny z Francją. Gdyby wtedy skapitulowały, to można przypuszczać, że zabór pruski pozostałby w ich rękach. Ale na szczęście dla polskich ambicji niepodległościowych w sukurs przyszła im Rosja. Aleksander I skierował dwa korpusy na teren zaboru pruskiego. Tak zaczęła się wojna z dwoma zaborcami, którą ostatecznie wygrał Napoleon. Po drodze cesarz Francuzów zagrał „kartą polską”, która do tej pory nie była mu do niczego potrzebna. Natomiast wtedy dostrzegł jej potencjał.

Napoleon wezwał do Berlina gen. Dąbrowskiego i Józefa Wybickiego. Co im wtedy powiedział?

Nie wiemy tego dokładnie. Możemy się domyślać przebiegu tej audiencji, patrząc na kształt odezwy Wybickiego i Dąbrowskiego. Była ona następnie konsultowana z samym cesarzem. Odezwa jest bardzo napoleońska – krótka i mało konkretna. Jest tam znamienne zdanie: „Nie zgłębiajmy tajemnic jego zamysłów, starajmy się być godnymi jego wspaniałości”. Co ten fragment oznacza? Nie domagajmy się od Napoleona konkretów, nie wiemy, co dokładnie zrobi, ale okażmy mu wszelkie możliwe poparcie. W odezwie autorzy zacytowali też Napoleona: „Obaczę, powiedział nam, obaczę, jeżeli Polacy godni są być Narodem”. W tamtych czasach uważano, że naród istnieje tylko wtedy, gdy posiada państwo. Czyli tak naprawdę Napoleon powiedział Wybickiemu i Dąbrowskiemu: „Zobaczę, czy Polacy są godni, by mieć własne państwo”. Innymi słowy – Polacy musieli się wysilić. Rzecz bardzo charakterystyczna, że Napoleon unikał jakichkolwiek gwarancji politycznych dla Polaków aż do końca wojny – do negocjacji w Tylży.

Nie chciał sobie zamykać „wyjść awaryjnych”?

Na tym etapie takie gwarancje byłyby dla niego niewygodne. Książę Józef Poniatowski, gdy w grudniu 1806 r. zastanawiał się, czy poprzeć Napoleona, domagał się, by cesarz powiedział coś konkretnego, ogłosił publicznie, że to jest wojna o odbudowę Rzeczypospolitej. W innym przypadku, zdaniem Poniatowskiego, poważni ludzie nie zaangażują się w to dzieło. Napoleon jednak niczego takiego nie zrobił, by nie krępować sobie rąk – nie utrudniać sobie przyszłych negocjacji i nie irytować Wiednia. Przecież w tej wojnie Austria nie uczestniczyła. Gdyby to się miało zmienić, Napoleon mógłby przegrać wojnę.

Jednakże trzeba podkreślić, że Napoleon nie okazał się tu tak cynicznym władcą jak np. kilkadziesiąt lat wcześniej Katarzyna II, która w czasie wojny turecko-rosyjskiej oficjalnie poparła powstanie Greków przeciwko Turkom, wiedząc dokładnie, że absolutnie nic dla powstańców nie zrobi. Napoleon niczego podobnego nie uczynił. W kilku kolejnych tekstach publikowanych w „Biuletynie Wielkiej Armii” zachowywał pełną wstrzemięźliwość, mówiąc, że wszystko zależy od wyniku wojny. Według mnie zachował się w stosunku do Polaków absolutnie fair. Powiedział: „Wystawcie 30 tys. żołnierzy, stwórzcie administrację, wygramy wojnę, a potem się zobaczy, co z tego wyjdzie”. Wyszło Księstwo Warszawskie, ale to wcale nie był dla Polaków zły rezultat.



Herb Księstwa Warszawskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, POPIK

A jak na francuską ofertę zareagował Tadeusz Kościuszko?

W odezwie Dąbrowskiego i Wybickiego znalazł się passus, który według mnie jest największym polskim politycznym faux pas pierwszej połowy XIX w. Autorzy odezwy napisali: „Już wkrótce Kościuszko, w porozumieniu z Wielkim Napoleonem, przybędzie do kraju, by stanąć na waszym czele”. Tak się jednak nie stało. Po rozmowach z ministrem policji Josephem Fouché Kościuszko doszedł najpewniej do wniosku, że nie podoba mu się brak gwarancji ze strony Napoleona, i postawił warunki, których cesarz Francuzów nie mógł przyjąć.

Kościuszko bał się, że Francuzi w instrumentalny sposób wykorzystają Polaków?

Myślę, że tak. Kościuszko był współautorem broszury „Czy Polacy mogą wybić się na niepodległość?”. Jasno pisał w niej, że odzyskanie niepodległości ma być własną, narodową akcją, bez żadnej pomocy zewnętrznej. Inna sprawa, że Kościuszko nie lubił Napoleona, uważając go za człowieka, który pogrzebał rewolucję. Warunki, które dawny Naczelnik postawił Napoleonowi – przywrócenie dawnej Polski – były albo

eprasa.pl bba3719406

szlachetnym idealizmem, albo sposobem na odcięcie się od całej tej sprawy.

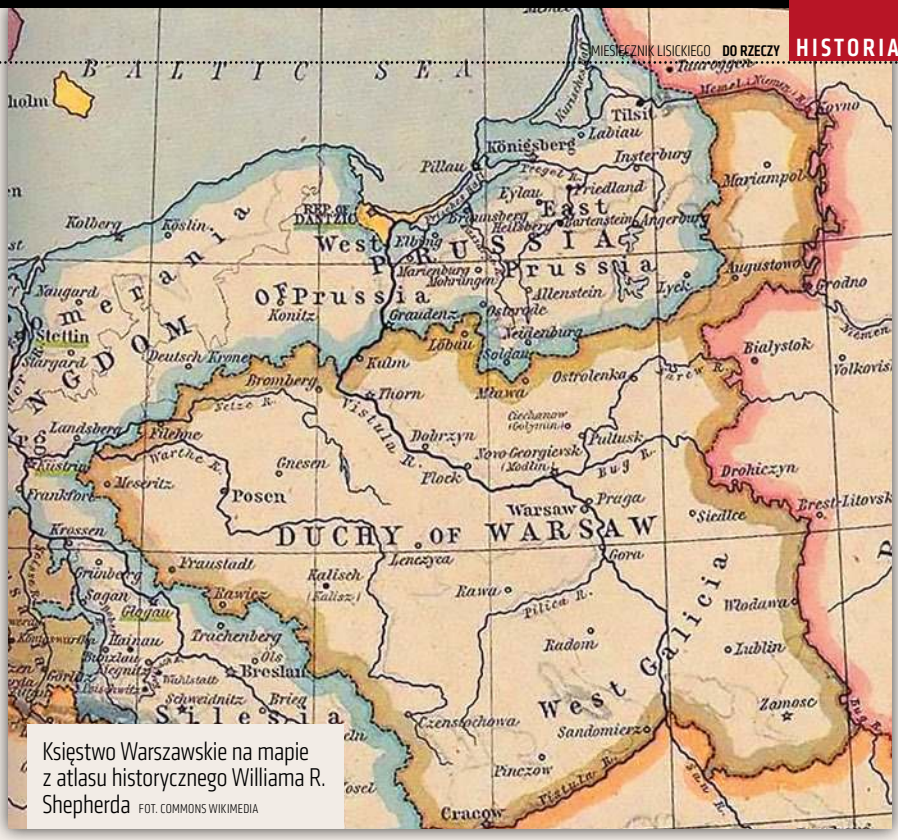
Co ciekawe, Napoleon w liście do Fouché napisał, że Kościuszko przecenia swój wpływ na Polaków i jest „głupcem". Nie podzielam tej opinii cesarza Francuzów na temat dawnego Naczelnika, ale faktem jest, że następne miesiące pokazały, iż właściwie wtedy nikt już w Polsce nie pamiętał o Kościuszce. To, że nie przybył do Polski, choć miał to zrobić, nie odgrywało już żadnej roli. Na scenie pojawili się nowi liderzy – książę Józef Poniatowski, Jan Henryk Dąbrowski, Józef Zajączek. Najwyraźniej Kościuszko nie był już niezbędny do ożywienia energii politycznej rodaków.

Polska administracja powstała z powodu... zimy?

To była paradoksalna sytuacja. Mówimy o jesieni 1806 r. Napoleon kapitalnie wygrywa bitwy pod Jeną i Auerstädt i wkrótce zajmuje Berlin. Armia pruska jest w kompletnej rozsypce. Nagle do gry wchodzą jednak Rosjanie i okazuje się, że w listopadzie wojnę trzeba zaczynać od nowa. I to w złej porze roku, w złym klimacie, na nieznanych terenach, przy bardzo ubogiej infrastrukturze. Do tej pory, wyjąwszy Egipt, wojska napoleońskie walczyły na obszarach z gęstą siecią dróg i wysokim zaludnieniem – w takich warunkach aprowizacja, logistyka i opieka nad rannymi nie były większym problemem.

Jednak widząc polskie błoto, Napoleon zrozumiał, że raczej sobie nie poradzi bez wsparcia szlachty i mieszczaństwa. Stąd pomysł, by uruchomić miejscowe siły, które w pierwszym rzędzie miały zapewnić obsługę Wielkiej Armii. W krajach okupowanych lokalna administracja przechodziła pod komendę francuskich urzędników wojskowych, którzy przekazywali jej listę żądań. W tym przypadku Napoleon uznał jednak, że nie warto stawiać na pruskich urzędników i lepiej powołać polską administrację. Ku rozczarowaniu ogromnej części aktywnych politycznie Polaków wszystko to kończy się ustanowieniem w Tylży Księstwa Warszawskiego, czyli pewnym kompromisem.

Car przegrywa wojnę, ale dostaje od Napoleona Białostocczyznę...



Księstwo Warszawskie na mapie z atlasu historycznego Williama R. Shepherda FOT. COMMONS WIKIMEDIA

To jeden z wyjątkowych przypadków, gdy strona bardzo wyraźnie przegrywająca wojnę powiększa swoje terytorium. Natomiast bez wątpienia największym przegranym były Prusy. Mało brakowało, by Napoleon zupełnie zlikwidował to państwo. Aleksander uratował jednak Berlin przed całkowitym upadkiem. Dlaczego Napoleon był tak wyrozumiały? Chciał, żeby jego zwycięstwo w wojnie było początkiem nowego układu politycznego w Europie: cesarz Zachodu – Napoleon – dzieli się władzą z cesarzem Północy. Z naszej perspektywy to ciekawostka, ale jeszcze w tamtych czasach Rosja leżała w wyobraźni politycznej zachodnich Europejczyków na północy, a nie na wschodzie. Obaj władcy mieli się porozumieć w sprawie stref wpływów. W ten sposób obwód białostocki trafił do Rosji jako prezent dla Aleksandra.

Chodziło o to, by Rosjanie nie poczuli, że przegrali wojnę. Zazwyczaj bowiem, gdy Rosja w ewidentny sposób wychodziła z konfliktu pokonana, na szczytach władzy dochodziło do gwałtownych wydarzeń. A Napoleonowi zależało wtedy na tym, by car, jego potencjalny partner, miał mocną pozycję we własnym kraju. Rosja była tu jedynym wyborem. Takim partnerem dla Francji nie mogli był rozbici Hohenzollernowie. Austria trzymała się na uboczu, a Wielka Brytania była konsekwentnie w opozycji do Paryża. Rosja wydawała się dobrą przeciwwagą. Zwłaszcza że Napoleon potrzebował współpracy cara, by domknąć system blokady kontynentalnej. I Rosja w końcu przystąpiła do blokady.

Ustanowione w 1807 r. na mocy pokoju w Tylży Księstwo Warszawskie było tworem, który nigdy wcześniej nie istniał. Ta nazwa była ukłonem w stronę cara?

To był prezent dla Aleksandra I. Car podkreślał w liście do swojej ukochanej siostry Katarzyny: „Chwała Bogu, że nie ma mowy o Polsce, tylko jest »śmieszne« Księstwo Warszawskie".

Wydawałoby się, że odrodzenie jakiejś formy polskiej państwowości wywoła euforię wśród elit zainteresowanych odrodzeniem państwa.

Gdy informacje o wynikach rokowań w Tylży dotarły do Warszawy, dyrektor policji podporządkowany Komisji Rządzącej opublikował w prasie odezwę do polskich oficerów, „którzy w bilardach, szynkowniach i miejscach publicznych poważają się obrażać imię cesarza Francuzów". Dyrektor zapowiedział, że takie zachowania będą karalne. Jeżeli najwyższa władza administracyjna wydała takie oświadczenie, to znaczy, że upadek nastrojów musiał być znaczący.

eprasa.pl bba3719406

Po roku Hugo Kołłątaj, bardzo wpływowy niegdyś polityk i ceniony intelektualista, napisze broszurę opatrzoną dewizą „Nil desperandum" – „Nie rozpaczajmy". Przyznaje w niej, że państwo jest małe i nie ma mowy o Polsce, ale podkreśla, że to dopiero początek. Po jakimś czasie to przekonanie utrwala się wśród elit księstwa.

Krytycy zawsze podnosili, że to było „malutkie państwo". Faktycznie, księstwo miało jedną siódmą powierzchni Polski przedrozbiorowej, ale jeżeli spojrzymy na mapę Europy z tamtego okresu, to okaże się, że było to średniej wielkości państwo. Co ważne – posiadało polską administrację i system szkolnictwa, który się bardzo dobrze rozwinął. A do tego nowe, polskie sądownictwo z Kodeksem Napoleona jako kodeksem cywilnym; była to narzucona, ale jednak nowoczesna kodyfikacja. Konstytucja nadana przez cesarza Francuzów wprowadzała, wbrew stanowisku polskiej elity, kilka rozwiązań całkowicie rewolucyjnych, m.in. wolność dla chłopów i równość wobec prawa. Od tej pory i szlachcic, i chłop, i mieszczanin odpowiadają przed tym samym sędzią, na tych samych zasadach. Polska przekroczyła wtedy próg nowoczesności. Szczegółowe badania pokazują sytuację chłopów przed sądami Księstwa Warszawskiego. Okazuje się, że chłopi bardzo często w nich wygrywali. Sądownictwo, obsadzone w przeważającej mierze przez przedstawicieli szlachty, nie było zatem wyłącznie narzędziem stanowej opresji.

Oczywiście pojawia się też bardzo liczne wojsko. Małe Księstwo Warszawskie wystawia armię liczniejszą niż siły zbrojne, które posiadała Rzeczpospolita w czasach Sejmu Wielkiego.

W końcu to był główny cel Napoleona.

Tak, ale Polacy również do tego parli, w imię realizacji narodowych ambicji. Biorąc pod uwagę możliwości mobilizacyjne, ta armia była naprawdę ogromna.

Na tronie księstwa zasiadał król Saksonii, ale przecież równolegle działał też rezydent francuski...

Kolejni rezydenci francuscy monitorowali starannie politykę wewnętrzną księstwa, nadzorowali dość nachalną propagandę napoleońską, wywierali pewien wpływ na konkretne decyzje Rady Ministrów, ale nie można powiedzieć, że wtrącali się we wszystko. Wiele problemów rozwiązywano na drodze kontaktów między królem a Radą Ministrów. Pamiętajmy, że Fryderyk August był władcą nieobcym Polakom. To przecież jemu planowano przekazać koronę po śmierci Stanisława Augusta. Dziś patrzymy na Sasów z ukosa, ale wtedy, po kilkunastu latach od ostatniego rozbioru, był to dla wielu Polaków powrót do pewnej normalności – znowu Sas zasiadał na polskim tronie...



Fryderyk August I Wettyn, książę warszawski, król Saksonii. Obraz Marcella Bacciarellego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MACIEJ SZCZEPAŃCZYK MATHIASREX

Jak się zachowywali się Francuzi na terenie Księstwa Warszawskiego? Robili, co chcieli?

Kilku marszałków francuskich otrzymało donacje kosztem dóbr narodowych Księstwa. Wynagradzanie zasłużonych ludzi poprzez eksploatację terenów zależnych było typową polityką napoleońską – to samo działo się w innych krajach podległych Francji.



Defilada 8. Pułku Ułanów Księstwa Warszawskiego. Rysunek Bronisława Gembarzewskiego

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

W ugodzie między księciem warszawskim a Napoleonem znalazły się zapisy bardzo faworyzujące import z Francji. Ale w rzeczywistości i tak nie był on duży. Oczywiście trzeba było zapłacić za armaty zdobyte przez Francuzów na Prusakach, które Napoleon przekazał następnie wojsku polskiemu. To jednak nie dziwi – wojna miała się Napoleonowi zwracać. Nie zwróciła się wojna z 1812 r. i od razu pojawiły się ogromne problemy.

Nie mogę nie zapytać o sprawę sum bajońskich, które na stałe weszły do naszego języka.

Mówimy tu o długach polskiej szlachty zaciągniętych w pruskich instytucjach finansowych pod zastaw majątków ziemskich w czasach koniunktury. Gdy pojawił się kryzys, wartość majątków bardzo spadła, długi stały się praktycznie niespłacalne i wiele rodzin było zagrożonych bankructwem. Napoleon przejął te zobowiązania od Prusaków jako zdobycz wojenną i odsprzedał je – z dużą bonifikatą – Księstwu Warszawskiemu. Ale w rzeczywistości Napoleon niewiele zarobił na tej operacji.

Zapomnieliśmy o właściwym znaczeniu „sum bajońskich". Nie chodziło tu jedynie o ogromne pieniądze. Początkowo to wyrażenie oznaczało wielkie sumy, które potencjalnie można zyskać, ale wiadomo, że się ich nie zdobędzie.

Czy Maria Walewska, polska kochanka Napoleona, miała wpływ na jego podejście do Polski?

Trudno powiedzieć, ale mam wrażenie, że Walewska w jakiś nieuchwytny sposób wpływała na cesarza Francuzów. W przypadku Napoleona, polityka, który w ciągu kilku miesięcy weryfikuje swoje opinie o Polakach i tworzy sobie ich nowy obraz, obecność u jego boku pięknej i inteligentnej Polki na pewno nie była bez znaczenia.

Księstwo Warszawskie powstałoby również bez Walewskiej?

Na pewno tak, bo dla Francuzów był to perspektywiczny projekt. Natomiast nie ma wątpliwości, że Napoleon był rzeczywiście zakochany w Walewskiej. A to przecież mogło mieć pewne przełożenie. Jeżeli układamy sobie w głowie jakiś projekt polityczny, a jeszcze popiera go piękna kobieta, do której mamy słabość... Walewska mogła tworzyć korzystny

eprasa.pl bba3719406

klimat dla działań Napoleona w sprawie polskiej, ale na pewno nie była to postać pierwszoplanowa w sensie politycznym.

W 1809 r. Austriacy, wykorzystując zaangażowanie Francuzów w Hiszpanii, atakują Księstwo Warszawskie. Jednak nic nie idzie po ich myśli i w efekcie Księstwo zostaje powiększone o połowę kosztem ich zaboru. Polskie elity niosła wtedy fala entuzjazmu?

Dla większości przedstawicieli elit było to potwierdzenie słuszności wyboru dokonanego w 1806 r. – marudziliśmy, że księstwo jest małe, no to teraz powiększyło się o połowę. Znamy pewien ciekawy epizod, gdy delegacja Komisji Rządzącej spotkała się z Napoleonem już po podpisaniu pokoju w Tylży. Stanisław Kostka Potocki nie krył swojego rozczarowania. Wybicki napisał w pamiętniku, że Napoleon wziął wtedy w rękę swój słynny kapelusz i zaczął go miętosić, mówiąc: „To wszystko [czyli ustalenia z Tylży] tak się jeszcze połamie". I rzeczywiście, po dwóch latach wszystko się „połamało".

W 1812 r. Napoleon ogłosił „drugą wojnę polską". Wojsko Księstwa Warszawskiego miało po swojej stronie Napoleona, który raczej nie przegrywa...

W gronie elity politycznej i wojskowej entuzjazm na pewno był duży, ale wśród części społeczeństwa nastroje były gorsze, ponieważ Księstwo od mniej więcej dwóch lat cierpiało na poważny kryzys finansowy. Swoją rolę odegrały tu duże wydatki na powiększanie armii. A jeszcze po drodze znaczne terytoria Księstwa ucierpiały na skutek przemarszu korpusów Wielkiej Armii. Po części korzystały one ze zgromadzonych zapasów, ale nierzadko też po prostu rabowały.

Wraz z wybuchem wojny z Rosją zostaje zwołana nadzwyczajna sesja Sejmu, który przekształca się w Konfederację Generalną Królestwa Polskiego – ta nazwa jest bardzo ważna – i wydaje akt, z którego jasno wynika, że Królestwo Polskie jest odbudowane. Dołącza do tego tymczasowy rząd litewski. Z punktu widzenia formalnoprawnego to jest moment, gdy Królestwo Polskie znów istnieje.



Odcisk pieczęci Konfederacji Generalnej Królestwa Polskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LWOWSKA NAUKOWA BIBLIOTEKA IM. W. STEFANYKA

Co na to Napoleon?

Zachował się jak to on. Gdy wysłano do niego delegację z Wybickim, cesarz powiedział mniej więcej takie słowa: „Bardzo dobrze, ja to popieram, ale jest jeszcze wojna do wygrania. Jeżeli się zmobilizujecie i wygramy wojnę, to zobaczymy". Ale nie powiedział „nie"... Polskie elity odczytały to jako aprobatę.

To był krótki czas, gdy polska władza rozciągała się nie tylko na ziemiach Księstwa Warszawskiego, lecz także znacznej części zaboru rosyjskiego. Wydawało się, że wszystko idzie dobrze... Oczywiście po zajęciu Moskwy sprawy przybrały zły obrót i cała kampania skończyła się wielką klęską Francuzów, a także Polaków.

A gdyby...

... wielokrotnie gdybałem na ten temat z kolegami historykami, którzy zajmują się tą epoką. Dostępne źródła wskazują raczej, że gdyby Napoleon wygrał wojnę z Rosją, to rzeczywiście Księstwo Warszawskie przekształciłoby się w Królestwo Polskie, powiększone o kilka guberni: wileńską, kowieńską i mińską. Zapewne bez Podola, Wołynia i Ukrainy, ale jednak byłoby to państwo zauważalne na mapie Europy.

Oczywiście taka Polska musiałaby trwać w ścisłym sojuszu z Francją.

Nie byłoby innej opcji. A na jej tronie być może zasiadłby Hieronim Bonaparte. Taki wariant był zresztą rozważany.



François Gérard. Portret Marii Walewskiej

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM PAŁACU W WILANOWIE

Wraz z Wielką Armią do historii przeszły Księstwo Warszawskie i jego wojsko. Odwrót z Rosji był hekatombą również dla Polaków – szacuje się, że zginęła ponad połowa z ok. 100 tys. polskich żołnierzy walczących u boku Napoleona.

Polskie straty niewiele różniły się od strat reszty wojsk Napoleona. Generalnie Wielka Armia poniosła zatrważające straty.

Co zostało z Księstwa Warszawskiego po jego upadku?

Tradycja państwa nowoczesnego, które jest rządzone przez zawodową administrację. No i oczywiście prawo cywilne oparte na Kodeksie Napoleona, co nas różniło od Rosji przez długie lata. Pozostały też znakomicie rozwinięte szkolnictwo elementarne, polskie sądownictwo i polskie życie kulturalne. Do 1831 r. istniała też polska armia. Z moim nieżyjącym już kolegą, dr. Andrzejem Nieuważnym, tak często powtarzaliśmy jedno zdanie, że już nie wiedzieliśmy, kto je wymyślił – możemy kręcić nosem na Napoleona, ale trzeba pamiętać o tym, że żadna siła polityczna w Europie nie dawała w tym okresie Polakom więcej niż on. I polskie elity starały się wykorzystać nadarzającą się szansę polityczną.

Czyli Kościuszko, tak przecież wyczekujący odbudowy Polski, mylił się, odrzucając ofertę Napoleona?

Z całym szacunkiem dla Naczelnika, który na pewno był szlachetnym człowiekiem, ale w tym konkretnym przypadku źle ocenił sytuację.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Jarosław Czubaty jest historykiem, wykładowcą UW, znawcą epoki napoleońskiej, autorem książki „Księstwo Warszawskie (1807–1815)".

eprasa.pl bba3719406



Odwrót Wielkiej Armii. Obraz Wasilija Wiereszczagina

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

1812 r. / Koszmarny odwrót z Rosji

Polacy na froncie wschodnim



Grzegorz Janiszewski

Wojnę z Rosją Napoleon zaplanował jako krótką kampanię, mającą kolejny raz pokazać jego militarny geniusz. Wyprawa na Moskwę zakończyła się jednak katastrofalną klęską, która mogła okazać się jeszcze większa, gdyby nie wspierający cesarza polscy żołnierze

Napoleon ogłaszał ją jako „drugą wojnę polską" i zapowiedział, że nie odda choćby skrawka Księstwa, nawet gdyby Rosjanie pukali do bram Paryża. Przyczyny wojny były oczywiście o wiele głębsze, ale Polacy poważnie traktowali te obietnice. Powszechne było przekonanie, że wyprawa na Rosję przyniesie odrodzenie państwa i odzyskanie zagrabionych terytoriów.

Wojna miała być krótka, a zwycięstwo miażdżące jak w poprzednich kampaniach. Armia rosyjska miała zostać rozbita w jednej, walnej bitwie. Napoleon zdawał sobie sprawę z trudności kampanii w Rosji. Francuzi zebrali największą armię w historii wojen – 674 tys. żołnierzy i 1,3 tys. dział. „Nigdy nie dokonałem większych przygotowań wojennych" – pisał Napoleon w liście do marszałka Louisa Davouta.

Rosjanie wystawili z kolei 238 tys. żołnierzy i prawie tysiąc armat. Część generałów od razu chciała się bić z Napoleonem, żeby pomścić poprzednie klęski. Inni jednak postulowali wciąganie Wielkiej Armii w głąb Rosji, unikając walnej bitwy i prowadząc wojnę na wyczerpanie. Car Aleksander I nie mógł się zdecydować. Zarówno przegranie trzeciej z rzędu kampanii z Napoleonem, jak i pustoszenie Rosji przez wojska francuskie mogło skończyć się dla niego tragicznie.

Na Smoleńsk!

Polacy wystawili największy lub drugi co do wielkości (trudno dokładnie oszacować siły niemieckie) kontyngent cudzoziemski w wielonarodowej armii Napoleona – prawie 100 tys. żołnierzy. Zgrupowani byli głównie w „polskim" korpusie ks. Józefa Poniatowskiego, w którym służyło ich ok. 35 tys. Reszta została przydzielona do korpusów francuskich.

Już od kwietnia 1812 r. napoleońska armia koncentrowała się wzdłuż Wisły, objadając i drenując z niewielkich i tak zasobów polskie ziemie. Inne nacje – zwłaszcza Prusacy i Austriacy – oględnie mówiąc, nie paliły się do wojaczki. Bić Rosjan chcieli głównie Francuzi i Polacy. Ci ostatni, jak zwykle w kampaniach napoleońskich, często dokonywali cudów śmiałości i waleczności, ratując wojska cesarza od zagłady.

eprasa.pl bba3719406



Juliusz Kossak, „Józef Poniatowski”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM W ŁAŃCUCIE

Nocą z 23 na 24 czerwca główne siły Napoleona zaczęły przeprawiać się przez Niemen, licząc na to, że Rosjanie będą bronić Wilna. Tymczasem ci cofali się w uporządkowany sposób w głąb Rosji, skutecznie osłaniając swój odwrót. Głównodowodzący Michaił Barclay de Tolly i gen. Piotr Bagration spotkali się 5 sierpnia w bramie smoleńskiej. Napoleon uznał to za dobrą okazję do rozgromienia Rosjan i zdobycia ważnej twierdzy, którą był Smoleńsk. Czas był na to najwyższy. Oddziały sprzymierzonych były krańcowo wyczerpane letnim upałem i niekończącymi się przemarszami. Brakowało zaopatrzenia, dochodziło do masowych dezercji.

Napoleon kazał Davoutowi zdobyć miasto i odciąć Rosjan od Dniepru. Bitwa trwała dwa dni. W jej trakcie Poniatowski ze swoim korpusem atakował przedmieścia. Miasto osłaniały potężne mury, z trudem kruszone przez francuskie działa. Rosjanie bronili się bohatersko. Polacy, chcąc zmyć z siebie odium niedawnej porażki pod Mirem, zaciekle atakowali. Generał Michał Grabowski zginął, idąc na czele swoich żołnierzy; ranni zostali gen. Józef Zajączek i płk Jan Krukowiecki.

Kiedy wieczorem francuska piechota przebiła się do centrum, rozległ się przerażający huk – Rosjanie wysadzili magazyn prochu. Równocześnie zaczęli podpalać miasto. Pułkownik Franciszek Gajewski tak wspominał ten widok: „Smoleńsk gorzał cały na tle ciemnego widnokręgu, ogniste granaty, opisujące świetne elipsy, padały na nieszczęśliwe miasto jak gęsty grad; każdy wystrzał karabinowy był widoczny, a ogień armatni, z muru puszczany przez Rosyan, tem groźniejszy być się zdawał, że go jasność słońca nie przytłumiała. Mury Smoleńska zdawały się gorzeć tak samo jak i miasto. Zewsząd rozlegał się krzyk: »En avant, en avant!«, a bliżej nas ciągnęły długie kolumny piechoty, oświetlone blaskiem ognia”. Rosjanie zdołali wyjść ze Smoleńska, paląc za sobą mosty.

Rzeź pod Borodino

W końcu Wielka Armia dopędziła główne siły Rosjan pod wsią Borodino, ok. 120 km na zachód od dawnej stolicy. Nieudolnego de Tolly’ego zastąpił na stanowisku naczelnego wodza doświadczony Michaił Kutuzow. Generał dobrze wybrał poprzecinane parowami i rzekami miejsce bitwy, dodatkowo potężnie je fortyfikując.

Napoleon z głównymi siłami przybył na miejsce rankiem 5 września. Jego plan bitwy zakładał atak na centrum przeciwnika, a po jego rozbiciu uderzenie na prawe lub lewe skrzydło. Oznaczało to atak wprost na tzw. wielką redutę, bronioną przez cały korpus piechoty i ponad 200 dział. Żadnych skomplikowanych napoleońskich manewrów – oskrzydlania czy wciągania Rosjan w pułapkę. 7 września, w trzecim dniu bitwy, rozmieszczony na prawym skrzydle napoleońskiej armii korpus Poniatowskiego zaczął oskrzydlać przeciwnika od południa. Po sforsowaniu rzeki Uticy zwarł się z korpusem Tuczkowa, który bronił się zaciekle, okopany na swoich pozycjach. Na północ od nich toczyły się zajadłe boje o wielką redutę i pobliskie umocnienia, które przechodziły z rąk do rąk co najmniej 10 razy. Fosa reduty została wypełniona trupami atakujących. Tak wspominał te walki kpt. Henryk Brandt z Legii Nadwiślańskiej:

„Obok wejścia o jedno z dział opierał się starszy oficer sztabowy z ziejącą w głowie raną. Martwi i okaleczeni żołnierze i konie zalegali warstwą głęboką na sześć do ośmiu stóp. Ich zwłoki pokrywały cały teren obok gardzieli reduty, wypełniały rów i tworzyły stosy wewnątrz umocnienia. Większość martwych, zalegających przed redutą, stanowiła piechota”.

Walczono o każdą piędź ziemi, zginęło kilkunastu generałów z obu stron, a Bagration zanim został śmiertelnie ranny, bił brawo atakującym na bagnety francuskim grenadierom. W końcu Rosjanie stracili wszystkie reduty. Kiedy Poniatowski zaczął zwijać ich prawe skrzydło, wypierając żołnierzy Tuczkowa z pozycji, Kutuzow rozkazał odwrót. Na polu bitwy padło 53 tys. żołnierzy obu stron, ale Napoleon nadal nie rozbił głównych rosyjskich sił. Kutuzow stracił połowę armii, postanowił zatem nie ryzykować drugiej takiej bitwy i poddać Moskwę bez walki. Napoleon z kolei liczył na to, że zdobycie – choćby niebronionej – dawnej stolicy zmusi Rosjan do kapitulacji.

Cesarz 14 września stanął na rogatkach Moskwy. Jako pierwszy wjechał do niej polski 10. pułk huzarów płk. Umińskiego. Napoleon spodziewał się delegacji władz z kluczami do miasta. Tymcza-



Wielka Armia przekracza Niemen. Akwarela nieznanego artysty FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl bba3719406



January Suchodolski, „Ułani Księstwa Warszawskiego”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DESA.PL

sem zastał opustoszałe domy i ulice. Wieczorem w różnych punktach miasta zaczęły wybuchać pożary. Silny wiatr rozprzestrzeniał ogień na kolejne dzielnice. Wkrótce płonęła większa część miasta wraz z zapasami. Kutuzow wcześniej odszedł pod wieś Tarutino, gdzie zajął się reorganizacją armii i tworzeniem tzw. opołczenia, czyli pospolitego ruszenia.

Topniejące szeregi

Wielka Armia w wyniku dezercji i pozostawiania oddziałów na tyłach liczyła teraz tylko ok. 95 tys. żołnierzy. Siły Rosjan ciągle natomiast rosły. Perspektywa przezimowania w Moskwie groziła buntem europejskich sojuszników, więc cesarz spróbował negocjacji z przebywającym w Petersburgu Aleksandrem. Ten jednak nie odpowiadał.

Kutuzow nie spieszył się z atakiem, kończąc szkolenie rekrutów. Wiedział, że czas gra na jego korzyść. W rosyjskich szeregach panowało jednak zniecierpliwienie. Żołnierze chcieli bić przeciwnika. 18 października gen. Leontij Bennigsen samowolnie ruszył z Tarutina na stacjonujących w pobliżu wsi Winkowo sprzymierzonych. Rosjanie zaatakowali lewe skrzydło Murata, które „wisiało w powietrzu”. Jednocześnie uderzyli na prawe skrzydło. Sprzymierzeni byli zaskoczeni. Ich linie były rozciągnięte, żeby śledzić ruchy przeciwnika, a nie walczyć z nimi. Rosjanie przebili się na tyły, więc klęska była prawie pewna.

Wtedy z pomocą Francuzom przyszedł Poniatowski ze swoim korpusem. Polacy szybko uformowali się w czworoboki i używali całej swojej artylerii, rażąc rosyjskie kolumny kartaczami. Potem książę wysłał kawalerię, która odepchnęła Rosjan. Tak wspominał te walki kpt. Henryk Dembiński z 5. pułku strzelców konnych: „Z wysokiego położenia, któreśmy zajmowali, mogliśmy przypatrzeć się całemu tokowi bitwy. Liczna ciężka jazda nieprzyjacielska z kirasjerów i dragonów złożona na próżno kilkakrotnie przeciw piechocie naszej próbowała szarżę, i to nie tylko na piechotę polską, pod bezpośrednią komendą księcia Poniatowskiego, lecz i na Legią Nadwiślańską jenerała Chłopickiego. Ten tak ufał swojemu żołnierzowi, że nawet czworoboków nie kazał formować, ale w rozwiniętym froncie szarżę tę przyjmował”. Korpus Murata poniósł poważne straty, ale został ocalony przed rozbiciem i pod osłoną Polaków odskoczył od nieprzyjaciela.

Bitwa pod Winkowem uświadomiła Napoleonowi, że nie ma co myśleć o pokoju i trzeba podjąć decyzję co do dalszych losów kampanii. 19 października niekończący się sznur żołnierzy, koni, armat i taborów ze złupionymi dobrami wyruszył z Moskwy. Napoleon planował wrócić na linię Dniepru, przezimować tam i na wiosnę podjąć ofensywę. Po kilku miesiącach bezczynności Wielka Armia, a raczej to, co z niej zostało, była jednak zdemoralizowana i niezbyt zdolna do walki. Jedną trzecią stanowili maruderzy, ciągnący z łupami za maszerującymi w jakim takim szyku oddziałami.

Kutuzow ruszył za sprzymierzonymi niemal natychmiast po opuszczeniu przez nich Moskwy. Unikał walnej bitwy, wysyłał za to do walki kozaków i opołczeńców, którzy atakowali znienacka i znikali w lasach tak szybko, jak się pojawili. Wojska sprzymierzonych musiały borykać się nie tylko z nimi. Już pod koniec października nadeszły mrozy. Oddziały idące na przedzie francuskich kolumn paliły wszystko, co znalazły, żeby tylko się ogrzać. Żołnierze podążający za nimi niemiłosiernie marzli podczas nocnych postojów. W dzień drogi rozmakały; wozy i armatnie jaszcze grzęzły po osie w błocie. Kutuzow zmusił Napoleona do posuwania się ogołoconym z żywności traktem smoleńskim. Wielka Armia zmieniała się w tłum głodnych obdartusów, chroniących się przed zimnem zrabowanymi w Moskwie dywanami i derkami. Na dodatek stepowi koczownicy z rosyjskiej armii przywlekli z Azji grypę, która dziesiątkowała oddziały.

W tym czasie Napoleon oprócz na Francuzów ze swojej gwardii mógł liczyć głównie na Polaków. Włosi, a zwłaszcza Niemcy, znikali całymi kompaniami, natomiast polskie morale było całkiem dobre. Niemniej ważne były polskie konie. W odróżnieniu od pozostałych, karmionych później głównie strzechą z chłopskich chałup były zwykle zadbane, dobrze podkute i nie łamały nóg na lodzie, co było powszechną plagą. Polska kawaleria często stanowiła jedyny mobilny odwód Napoleona, ratując maszerujące kolumny. Tak było pod Krasnem, gdzie tylko dzięki polskim przewodnikom udało się wyprowadzić z kotła 4 tys. żołnierzy korpusu księcia Eugeniusza de Beauharnais. Korpus marszałka Michela Neya zdołał wyrwać się z rosyjskiej pułapki, przeprawiając się przez zamarznięty Dniepr jedynie dzięki pomocy 1. pułku strzelców konnych płk. Konstantego Przebendowskiego.



Peter von Hess, „Bitwa pod Winkowem (Tarutinem)”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ERMITRAŻ PAŃSTWOWY

Ofiara saperów

Smoleńsk był opustoszały i ograbiony z zapasów, więc Napoleon postanowił iść dalej na zachód. Rosjanie utrudniali ten pochód, jak tylko mogli. Kunktatorstwo dowodzącego na południu Austriaka Karla Schwarzenberga sprawiło, że idący z frontu tureckiego

eprasa.pl bba3719406



Peter von Hess, „Przeprawa przez Berezynę”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HERMITAGE AMSTERDAM

gen. Cziczagow zdobył Mińsk, na którego zapasy bardzo liczył Napoleon, i zagroził rozbiciem pochodu resztek sprzymierzonych.

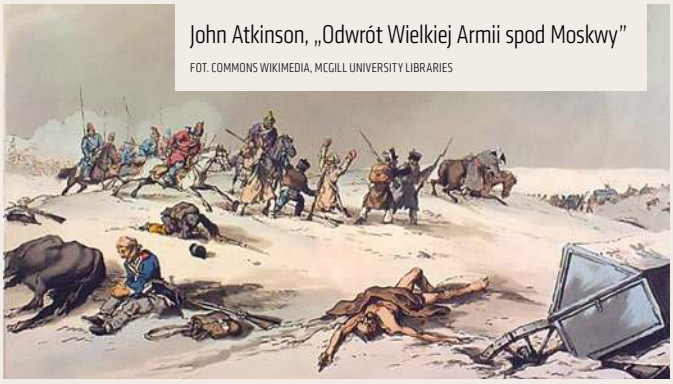
Jedyną szansą była szybka przeprawa przez Berezynę i odwrót na Wilno. Rosjanie spalili mosty pod Borysowem, więc Napoleon wybrał na przeprawę bród pod wsią Studzianka. Rzeka szeroko rozlała. Polscy i francuscy saperzy pracowali dwie doby, budując dwa mosty, często stojąc po pas w lodowatej wodzie i rozgarniając płynącą krę. Wielu ten wysiłek przypłaciło życiem. Na brzegu czekało 33 tys. żołnierzy i 14 tys. maruderów, dla których była to kwestia życia i śmierci. Tak wspominał przeprawę kpt. Maciej Rybiński z 15. pułku piechoty: „Przechodząc przez most w nocy, zatrzymałem się przy jego wchodzie, póki by cały pułk nie przeszedł. Tak stojąc, słyszę pluskanie w wodzie, rąbanie pod mostem i głosy ludzkie. Patrzę z oficerami, którzy byli przy mnie, widzę – pontonierzy. Mniemałem, że to francuskie, ale to byli polskie, a między nimi i francuskie, jak stoją w wodzie i naprawiają belki obruszone i inne tym podobne rzeczy. Odzywam się po polsku do oficerów: Jaka ofiara tych ludzi! Dziś naprawiają, jutro z przeziębienia febra, a w parę godzin i śmierć. A ci odzywają się: »Tak, ale tu idzie, ażeby armia przeszła«”.

Nad ranem 27 listopada na drugi brzeg przeprawiła się już jedna czwarta żołnierzy. Wtedy Rosjanie zorientowali się, gdzie znajduje się główna przeprawa, i zaczęli atak. 29 listopada Napoleon kazał podpalić mosty, podczas gdy na przeprawę czekało jeszcze 10 tys. maruderów. Nadjeżdżający kozacy zaczęli bezlitośnie siec ich szablami. Olbrzymie łupy z Moskwy wpadły teraz w ręce Rosjan.

W tym samym czasie cesarz rozprawił się z Cziczagowem, który zagroził przeprawie po drugiej stronie Berezyny. Tutaj decydującą rolę odegrali Polacy z dywizji Dąbrowskiego i korpusu dowodzonego przez gen. Zajączka. Podczas bitwy w gęstym lesie, pod huraganowym ogniem rosyjskiej artylerii, który łamał drzewa i strącał gałęzie wprost na głowy piechurów, wytrzymali ataki i zmusili Rosjan do odstąpienia. Uratowało to resztki Wielkiej Armii od całkowitego rozbicia i umożliwiło odwrót na Wilno. Osłaniał go korpus Zajączka, w którym ciągle jeszcze służyło 1,5 tys. zdolnych do walki żołnierzy. Korpusy Neya i Junota przestały istnieć. W innych było nierzadko od 100 do 800 żołnierzy.

Na początku grudnia nastały kilkudziesięciostopniowe mrozy. Przyzwyczajeni do surowego klimatu Polacy osłaniali armię widmo. Żołnierze maszerowali od ogniska do ogniska, przy każdym zostawiając po kilkudziesięciu zamarzniętych albo osowiałych z zimna żołnierzy. Wielu z tych, którzy przeżyli, zawdzięczało życie Polakom. Ścigający ich kozacy, a zwłaszcza partyzanci, nie odważali się atakować grupek osłanianych przez jadących w szyku i utrzymujących dyscyplinę żołnierzy.

Szczęście mieli ci, którzy mogli pożywić się koniną – często wycinaną z żywych, ale otępiałych od mrozu zwierząt. Porucznik Roman Sołtyk w okolicach Orszy spotkał grupkę żołnierzy stojących nad parującym kotłem. Zapłacił im za jedzenie, ale później wspominał: „Zaledwie przełknąłem pierwszą łyżkę, chwycił mnie nieodparty wstręt, zatem spytałem ich, czy zrobili go z koniny – pisał. – Odparli na to spokojnie, że jest to ludzkie mięso i że wątroba, która nadal leży w garnku, jest najsmaczniejsza”.



John Atkinson, „Odwrót Wielkiej Armii spod Moskwy”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MCGILL UNIVERSITY LIBRARIES

Do końca z cesarzem

3 grudnia Napoleon w biuletynie Wielkiej Armii zrzucił klęskę na rosyjski klimat. Dwa dni później, pod osłoną Polaków, szwoleżerów gwardii i ułanów nadwiślańskich, ruszył do Paryża, by zbierać nową armię. Wchodzący do Wilna żołnierze masowo umierali z ran, głodu, przejedzenia albo zamarzali na ulicach opici alkoholem. Reszta była tak zrezygnowana, że kiedy Murat, któremu Napoleon powierzył dowództwo, ogłosił alarm, żeby bronić miasta przed nadchodzącymi Rosjanami, stawiła się tylko stara gwardia, polska Legia Nadwiślańska i dywizja Loisona. Reszta wolała poddać się Rosjanom, niż wyjść na 20-stopniowy mróz.

Z Wielkiej Armii, która zaledwie pół roku wcześniej ruszała na Moskwę, przeżyło 200 tys. żołnierzy, z czego zaledwie połowa wciąż pozostawała w szeregach. Reszta zdezerterowała, ukrywała się przed Rosjanami i kurowała po dworach albo klasztorach. Z polskiego 5. korpusu wróciło ok. 2 tys. żołnierzy. Zaufanie do Napoleona zostało mocno nadszarpnięte, ale jego gwiazda dalej świeciła jasno na polskim firmamencie. Zresztą dla większości polskich żołnierzy wybór był prosty. Lepiej było walczyć i ginąć za cesarza Francuzów niż za rosyjskiego cara czy niemieckich władców. Na początku 1813 r. książę Józef Poniatowski miał już pod komendą 22 tys. żołnierzy. Wielu spośród nich złożyło broń dopiero ponad rok później pod Paryżem, a ochotniczy szwadron szwoleżerów płk. Jerzmanowskiego poddał się dopiero po Waterloo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bba3719406



Tomasz Stańczyk

1763–1813 / Zieleńce, Raszyn, Smoleńsk, Lipsk

Honor księcia Józefa

Jego życie to nie tylko rozrywki w pałacu Pod Blachą i bohaterska śmierć w bitwie pod Lipskiem. Książę Józef Poniatowski kilka razy musiał podejmować dramatycznie trudne decyzje



Józef Grassi. Portret księcia Józefa Poniatowskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Niewiele brakowało, by zajmowali się nim jedynie genealodzy. Przyszły bohater narodowy urodził się w Wiedniu, w 1763 r., a jego rodzicami byli austriacki generał Andrzej Poniatowski oraz Teresa Poniatowska, z książąt Kinskych. Mały Poniatowski rozmawiał z ojcem po polsku, a z matką po niemiecku. Miał 10 lat, gdy ojciec zmarł. Pozostawała więc konwersacja po niemiecku z matką i jej rodziną. Zapewne Józef Poniatowski wynarodowiłby się w wiedeńskim środowisku, gdyby nie stryj, Stanisław August Poniatowski, który objął go swoją opieką.

Znakomity historyk Szymon Askenazy w biografii księcia Józefa pisał: „Na polskość synowca król, sam skądinąd nie dość mający jej w sobie, pilne, chwalebne, dawał baczenie. Nie pozwalał mu żadną miarą zniemczeć się, zaustriaczyć, o Polsce mu prawił, do Polski sprowadzał, w Polsce przyszłe wskazywał mu powołanie: i pod tym pono względem najzbawienniejszą wyświadczył mu przysługę".

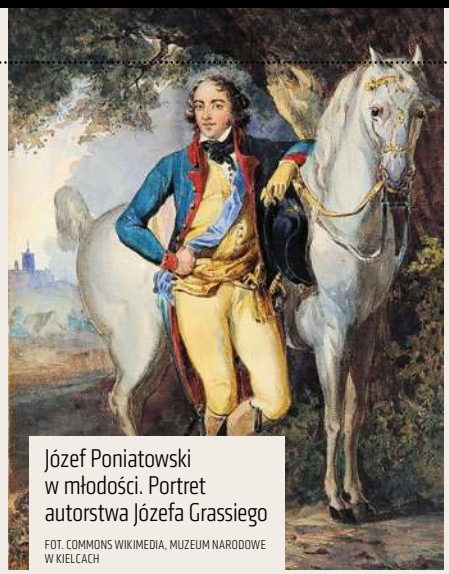
To jednak mogło nie wystarczyć. Józef Poniatowski powtarzał bowiem życiorys ojca (Andrzej Poniatowski w wieku 18 lat wstąpił do habsburskiego wojska), był zatem na dobrej drodze, by stać się Austriakiem. Stanisław August niechętnie zgodził się na jego służbę wojskową nad Dunajem, stawiając wszakże warunek, że na wezwanie wróci do Polski, by służyć krajowi. Profesor Jerzy Skowronek w biografii Józefa Poniatowskiego pisał, że staż w Austrii miał przygotować go do tego, by mógł stać się najpoważniejszym kandydatem do buławy hetmańskiej.

W 1788 r. książę Józef Poniatowski wziął udział w wojnie z Turcją, wykazując wielką odwagę i męstwo. Został wówczas ciężko raniony podczas szturmu na turecką twierdzę. Poniatowski nie miał jednak charakteru typowego zawodowego oficera. Askenazy oceniał, że książę był „uczuciowcem" i „nerwowcem", ze skłonnością do depresji. Nazywał tego wówczas podpułkownika kawalerii „naszym polskim Don Juanem", gdyż książę błyszczał na wiedeńskich salonach i zachwycał kobiety. Skowronek natomiast widział w księciu Józefie za dużo kobiecej miękkości, skłonność do uczuć efemerycznych, niezbyt silnych, ale mocno demonstrowanych – zgodnie z duchem epoki, a także tendencję do wygodnego życia i wesołych zabaw.

Powrót do Polski

Gdy Sejm Wielki uchwalił w 1788 r. powiększenie liczebności wojska z ok.

eprasa.pl bba3719406



Józef Poniatowski w młodości. Portret autorstwa Józefa Grassiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W KIELCACH

20 tys. aż do 100 tys. żołnierzy, Stanisław August uznał, że jest to moment, gdy książę Józef musi wrócić do kraju, by zacząć służyć ojczyźnie. Dwudziestoszścioletni podpułkownik deklarował, że jeśli jego umiejętności mogą się przydać ojczyźnie, wówczas wszystko dla niej poświęci. Nie omieszkał jednak podkreślić, że musi zrezygnować ze wspaniałej kariery w armii austriackiej. Niewątpliwie książę Józef kierował się patriotyzmem, lecz również wdzięcznością stryjowi, od którego otrzymał wsparcie finansowe i beneficja w Polsce.

Stanisław August chciał mu zagwarantować karierę wodzowską, poprzez którą – jak sądził Jerzy Skowronek – być może będzie wiodła droga do korony. Do polityki czuł jednak książę Józef wręcz odrazę: „Kłócić się w sejmie, słuchać ustawicznego skrzeczenia istot bezrozumnych, powodowanych prywatą, znosić obelgi ciskane pod osłoną patriotyzmu, udawać przed pierwszym lepszym, nie być nigdy sobą – jest to rzemiosło zgoła niezgodnie z moim charakterem". Król najpewniej myślał także o korzystnym małżeństwie dla bratanka. Kariera w Polsce i małżeństwo budziły jednak w księciu Józefie silną niechęć. „Cierpię – pisał – jestem nieszczęśliwy, życie mi ciąży, kiedy myślę o ofiarach tyrańskich, jakich wymagają ode mnie".

Książę Józef został mianowany generałem majorem, szefem gwardii pieszej koronnej, a później zastępcą dowódcy – a faktycznie dowódcą – dywizji stacjonującej w województwach kijowskim i bracławskim. Zajmował się solidnie szkoleniami, ćwiczeniami podległego mu wojska i podniesieniem jego zdolności bojowych. Był jednak świadomy, że nie ma wystarczających kompetencji. Askenazy pisał wręcz o wyraźnych brakach przygotowania teoretycznego i praktycznego. Poniatowski widział się zresztą bardziej jako dowódca pułku niż dywizji, nie mówiąc już o wyższych stanowiskach. Choć deklarował niechęć do polityki, to na czele swoich żołnierzy ochraniał posiedzenie sejmu 3 maja 1791 r., na którym uchwalono konstytucję.

Przed napaścią Rosji na Polskę, która nastąpiła w maju 1792 r., król mianował księcia Józefa generałem lejtnantem i dowódcą armii koronnej (mimo że bratanek prosił króla, by powierzył naczelne dowództwo komuś innemu, „bieglejszemu"). „Śmiało mogę powiedzieć – pisał książę, opisując wojny z Rosją – że jeden tylko odważyłem się wtedy oświadczyć, że nierozważnie jest z tak małymi siłami walkę rozpoczynać".

Pesymizm Józefa Poniatowskiego wobec starcia z armią rosyjską nie był spowodowany tylko tym, że była ona kilkukrotnie liczniejsza od armii Rzeczypospolitej. Książę Józef wspominał, że toczył wojnę bez kwatermistrzostwa, intendentury i sztabu generalnego, borykając się także z niesubordynacją żołnierzy.

18 czerwca 1792 r. doszło pod Zieleńcami do bitwy z Rosjanami. Poniatowski dwukrotnie opanował panikę w szeregach, za drugim razem sam prowadził żołnierzy do boju. W rezultacie oddziały rosyjskie zostały powstrzymane. Miesiąc później Stanisław August złożył akces do konfederacji targowickiej. Wieść o tym była szokiem dla księcia Józefa; początkowo nie mógł w nią uwierzyć. „Na wszystko byłem przygotowany – pisał do Izabeli Czartoryskiej – lecz nie na podobną nikczemność... Jestem zgnębiony, oszołomiony. Raczej należało bić się do zgonu, niż oddychać hańbą".

Nalegał na króla, by przyjechał do armii, skłaniał się nawet do porwania go w tym celu. A gdy Stanisław August zażądał zaprzestania prowadzenia działań wojennych, książę Józef wykonał rozkaz, lecz jednocześnie podał się do dymisji i nie uległ naciskom króla, by ją cofnął. „Wszystkie ofiary były mi łatwe, ta jest niepodobną. Powinność, przekonanie, przysięga, zaufanie publiczne, wszystko mnie wiąże, wszystko mnie zmusza być stałym w powziętym postanowieniu" – oznajmił.

W liście do Stanisława Augusta napisał, że połączył się on z ludźmi naznaczonymi piętnem niesławy, a nawiązując do przystąpienia króla do konfederacji targowickiej, wyznawał: „Mówiłem sobie, Wielki Boże! Czemuż przed tym nieszczęsnym dniem nie skonałem?".

Na żądanie króla Józef Poniatowski wyjechał za granicę i zgodnie z jego wolą powrócił, gdy w 1794 r. wybuchło powstanie kościuszkowskie. Tym razem miał nie tyle bronić ojczyzny, ile swoją osobą osłaniać bardzo niepopularnego stryja, bojącego się radykalnych władz insurekcji. Ale niepopularność króla przechodziła też na jego bratanka, zamieniając się w niechęć lub wręcz wrogość, gdyż oskarżono go o utratę odcinka obrony Warszawy, który opanowali Prusacy. Zamiast trwać na posterunku, miał bawić u króla lub kochanki. Inni bronili księcia Józefa, twierdząc, że spóźniony wprawdzie, ale wziął jednak udział w walce.

Jego tryb życia w Warszawie pod zaborem pruskim jeszcze bardziej przyczynił się do złej opinii o nim. Prowadził życie wesołe, wystawne, rozrzutne (na kredyt) w pałacu Pod Blachą oraz w letniej rezydencji w Jabłonnie. Powstał wtedy wierszyk: „Jeszcze Polak po polsku i pisze i czyta / Bo niecała Warszawa jest Blachą pokryta". Odmawiano mu więc polskiego patriotyzmu. Askenazy bronił księcia Józefa, twierdząc, że nie miał czego szukać wśród polskiej emigracji, byłby tam bo-



Wojciech Kossak, „Po bitwie pod Zieleńcami"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARTYZM. COM

eprasa.pl bba3719406

wiem niemile widziany, a i w legionach Dąbrowskiego na nic mógł liczyć.

Bożyszcze narodu

27 listopada 1806 r. wojska francuskie wkroczyły do Warszawy. W ślad za nimi pojawił się gen. Jan Henryk Dąbrowski. Spodziewano się, że to on, twórca Legionów Polskich, okryty sławą wojenną, stanie na czele wojska organizującego się w ojczyźnie. Jednak Napoleon, dążąc do pozyskania sobie arystokracji i ziemiaństwa, postawił na Józefa Poniatowskiego. Gdy w 1807 r. powstało Księstwo Warszawskie, Poniatowski został ministrem wojny. Podjął się ogromnie trudnego zadania budowy wojska, zorganizowania go, zaopatrzenia i wyszkolenia, mając przeciw sobie rozgoryczonego Dąbrowskiego i jawnie wrogiego gen. Józefa Zajączka. Ten ostatni napisał do Poniatowskiego skandaliczny list: „Wytłumacz sobie Pan raz na zawsze, że nie mam do odbierania od niego żadnych rozkazów, że niczego nie oczekuję od rządu polskiego, żem winien wszystko cesarzowi Francuzów".

Zajączek, Dąbrowski i Benedykt Łączyński, brat Marii Walewskiej, kochanki Napoleona, próbowali doprowadzić do zdymisjonowana księcia Józefa. Donoszono na niego do marszałka Davouta, któremu faktycznie podlegało powstające wojsko Księstwa Warszawskiego. Napoleon zorientował się, że są to intrygi, a sam marszałek, początkowo źle nastawiony do Poniatowskiego, rekomendował go na Wodza Naczelnego.

Na tym stanowisku Poniatowski zdał egzamin, gdy wojska austriackiego arcyksięcia Ferdynanda wkroczyły w granice Księstwa Warszawskiego. W boju pod Raszynem 19 kwietnia 1809 r. książę Józef, „zorientowawszy się, że sytuacja jest coraz krytyczniejsza, osobiście stanął na czele załamującego się batalionu, sformował go i z fajką w zębach, spokojny jak na przeglądzie, poprowadził go do zwycięskiego kontruderzenia w walce na bagnety" (Skowronek).

Bitwa była nierozstrzygnięta, a pobliskiej Warszawy nie było sensu bronić przed znacznie silniejszym przeciwnikiem. Wywołało to oburzenie jej mieszkańców. „Na własne uszy słyszeliśmy – wspominał gen. Ignacy Prądzyński, wówczas 17-letni żołnierz – okrzyki »zdrada«, którymi witano księcia, gdy się na koniu pokazał. W uszu mu trąbiono: »stryj sprzedał Polskę Moskalom, ten teraz Austriakom sprzedaje«".

Był to szczyt niepopularności księcia Józefa. A potem wszystko się nagle odmieniło za sprawą świetnie poprowadzonej przez niego kampanii galicyjskiej, dzięki której terytorium Księstwa Warszawskiego znacznie się powiększyło. „Ta kampania – stwierdzał Prądzyński – była najpiękniejszą kartą w życiu księcia Poniatowskiego, wyrobiła go na znakomitego wodza, oczyściła jego nieszczęśliwe nazwisko z wszelkiej kaźni i z człowieka cokolwiek podejrzanego zrobiła bożyszcze narodu«".

V Korpus w Rosji

W czerwcu 1812 r. Wielka Armia przekroczyła Niemen, rozpoczynając wojnę z Rosją. Książę Józef dowodził V Korpusem liczącym 36 tys. żołnierzy. Gdy Napoleon nakazał mu intensywne ściganie uchodzących oddziałów armii rosyjskiej, książę zwrócił jego uwagę nie tylko na brak możliwości samodzielnego działania z powodu obecności przy korpusie nieudolnego Hieronima Bonaparte, króla Westfalii, lecz także na fatalne zaopatrzenie w żywność, uniemożliwiające szybką akcję. Napoleon, nie kryjąc wściekłości, kazał przekazać Poniatowskiemu: „Cesarz widzi z ubolewaniem, że Polacy są tak złymi żołnierzami, tak źle nastrojeni, że podnoszą podobne skargi; cesarz spodziewa się, że więcej o tym nie usłyszy". Poniatowski bronił żołnierzy, podkreślając ich poświęcenie, i raz jeszcze przypominał o niedostatecznym zaopatrzeniu wojska. Nie przekonało to Napoleona, który zarzucał księciu Józefowi, że „maszeruje bardzo delikatnie, a głowę ma zbyt zajętą pięknymi warszawiankami".

Cesarz spojrzał jednak łaskawym okiem na V Korpus i jego dowódcę po walkach prowadzonych w dniach 16–18 sierpnia 1812 r. o Smoleńsk, w których polscy żołnierze odznaczyli się brawurą i determinacją. „Napoleon, świadek naoczny wysiłków wojska i wodza, na odbytej zaraz rewii starał się jak najzaszczytniej wyróżnić korpus V – pisał Askenazy – głośno dziękował i chwalił, rozdał kilkadziesiąt krzyży legii: były to, jak mówiono w wojsku, przeprosiny. Poniatowskiemu osobiście za niedawną swoją porywczość publicznie dawał zadośćuczynienie, okazując mu z naciskiem pełne uznanie, a nawet rzadką poufałość".

Jeszcze większą sławę zdobył V Korpus w bitwie pod Winkowem (Tarutinem) 18 października 1812 r. Rosjanie gwałtownie zaatakowali wówczas oddziały korpusu marszałka Murata. „W biwaku francuskiej jazdy, po nocnym bankiecie rozprzężonej, powstał popłoch powszechny – pisał Marian Kukiel, historyk wojskowości. – Pijani kawalerzyści poszli w rozsypkę. Rosjanie po złamaniu lewego skrzydła rzucili się na



Odcisk pieczęci Józefa Poniatowskiego jako ministra wojny Księstwa Warszawskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MATHIASREX MACIEJ SZCZEPAŃCZYK



January Suchodolski, „Śmierć Cypriana Godebskiego pod Raszynem". W centrum obrazu: książę Józef Poniatowski

FOT.COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

eprasa.pl bba3719406



Jean-Charles Langlois, „Bitwa pod Smoleńskiem 17 sierpnia 1812 r."

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAŁAC W WERSALU

Spas-Kuplia, aby owładnąć parowem, który dla Murata był jedyną drogą ocalenia". Wówczas korpus francuskiego marszałka uratowali Polacy Poniatowskiego, z poświęceniem osłaniając odwrót.

Jerzy Skowronek, oceniając kampanię Poniatowskiego, pisał, że od połowy września 1812 r. Poniatowski walczył już nieporównanie sprawniej niż przedtem, i nawet z polotem. „Swymi umiejętnościami i sprawnością dowodzenia nie odbiegał już od większości marszałków napoleońskich, którzy w tej wojnie popełniali nieraz błędy i rażące zaniedbania. Poza zasięgiem równorzędnych porównań pozostawali jedynie Ney, w niektórych momentach – Murat, a przede wszystkim Davout".

Napoleon czy Aleksander?

Powróciwszy z katastrofalnej wyprawy Napoleona na Moskwę, Poniatowski zabrał się do odtwarzania z popiołów wojska Księstwa Warszawskiego. Na początku lutego 1813 r. książę Józef opuścił Warszawę wraz z wojskiem i rządem, przenosząc się do Krakowa. Elity Księstwa Warszawskiego, także niektórzy ministrowie, uważając, że najwyższy czas już pertraktować z Aleksandrem I, naciskały na Poniatowskiego, by porzucił Napoleona. A rosyjski car za pośrednictwem swojego przyjaciela Adama Jerzego Czartoryskiego i innych osób kolejny raz próbował odciągnąć Poniatowskiego od cesarza Francuzów.

Szymon Askenazy stwierdzał, że w 1792 r. wybór Poniatowskiego był prosty: albo Stanisław August i targowiczanie, albo naród. Teraz jednak książę Józef miał przeciw sobie „pełnych najlepszej woli przewodników narodu" i znakomitą – jak uważał historyk – część społeczeństwa. A za sobą miał tylko żołnierzy.

Aleksander Fredro, wówczas porucznik, w „Trzy po trzy" wspominał: „Książę Józef Poniatowski nie miał wprawdzie znamiennych zdolności jako wódz, wiedzieliśmy o tym, a jednak pociągał ku sobie silnie serce żołnierskie. Może i w części dlatego, że to, co Polaka zawsze zachwyca: odwaga, postawa, ruch, sposób wyrażania się, były czysto narodowe, przeciągnięte wszakże połyskiem zachodniego rycerstwa. Na dzielnym koniu dzielny jeździec, niezgiętego męstwa, świetnego honoru, pięknej postaci, wąs czarny, czapka na bakier, był ideałem polskiego wodza. Gdyby był nad brzegiem piekła krzyknął »Za mną, dzieci« – w piekło skoczono by za nim".

Zanim Poniatowski zdecydował się dołączyć do Wielkiej Armii, podejmując marsz do Saksonii, spędził – jak sam powiedział – bezsenną noc, mając przed sobą dwa pistolety. Ponieważ nie wiedział, co robić, dwukrotnie miał sobie przykładać lufę jednego z nich do głowy.

Profesor Jerzy Skowronek powątpiewał w aż tak dramatyczną rozterkę Poniatowskiego, która miałaby doprowadzić go na skraj samobójstwa. „Decyzja Poniatowskiego – tłumaczył – aby wytrwać przy Francji, dowodziła zrozumienia tragizmu ówczesnego położenia sprawy polskiej i w pełni uzasadnionego politycznie i etycznie wyboru między faktyczną pełną kapitulacją a rozpaczliwym, ale w tej sytuacji usprawiedliwionym szukaniem przy boku Napoleona jeszcze jednej, ostatniej już szansy dla sprawy polskiej". Poniatowski mógł oceniać, że nie wszystko jest stracone. Cesarz pokonał przecież w maju 1813 r. dwukrotnie wojska rosyjsko-pruskie pod Lützen i Budziszynem.

W ariergardzie

Szansa dla Polaków miała się jednak rozwiać się pod Lipskiem, w wielkiej bitwie stoczonej w dniach 16–19 października 1813 r., w której wziął udział VIII Korpus Poniatowskiego. Na początku zmagań książę Józef został mianowany przez Napoleona na marszałka Francji. Według Skowronka przyjął ten honor „spokojnie i obojętnie". Być może podzielał obawy swoich oficerów, że takie uhonorowanie go oznacza koniec wojska polskiego i wcielenie jego żołnierzy do armii francuskiej.

19 października Napoleon zarządził odwrót, wyznaczając m.in. Poniatowskiemu rolę ariergardy. Cofając się z niewieloma już żołnierzami, książę Józef został kolejny raz podczas bitwy raniony, tym razem ciężko, i ledwo trzymał się w siodle. Zobaczywszy nadbiegających żołnierzy rosyjskich – a nie chcąc dostać się niewoli – skoczył na koniu do rzeki. Otrzymał tam ostatni postrzał i zsunął się do wody.

Legenda mówi, że ostatnie jego słowa brzmiały: „Bóg mi powierzył honor Polaków (i Bogu tylko go oddam)". Świadkowie ostatnich godzin życia Poniatowskiego zapamiętali go jednak mówiącego, że nie można splamić godności narodowej i trzeba umrzeć śmiercią mężnych. Tak właśnie poległ.



January Suchodolski, „Śmierć Józefa Poniatowskiego"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PINAKOTEKA ZAŚCIANEK

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bba3719406



Bazylika Narodzenia Pańskiego w Betlejem, fasada na wprost

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NEIL WARD

Spory o Grotę Narodzenia / Niszczejąca perła chrześcijaństwa

Betlejemski cud z kamienia



Anna Szczepańska

To, że przetrwała półtora tysiąca lat, można postrzegać w kategoriach cudu. Bazyliki Narodzenia Pańskiego w Betlejem nie zniszczyły nawet zaciekłe wojny toczone w Palestynie. W ostatnim czasie największym zagrożeniem okazują się jednak zupełnie prozaiczne kwestie

W Betlejem Boże Narodzenie świętuje się przez miesiąc. Obchody zaczynają się 24 grudnia od uroczystości katolickich. 6 stycznia świętowanie rozpoczynają Kościoły prawosławne oraz Kościoły: grekokatolicki, syryjski, etiopski i koptyjski. 18 stycznia święta Narodzenia Pańskiego obchodzi Kościół ormiański. Choć Betlejem znajduje się na terytorium muzułmańskiej w większości Palestyny, to przez jeden miesiąc w roku staje się centralnym punktem chrześcijańskiego życia duchowego. Już w połowie grudnia pojawiają się w Betlejem tłumy katolików, którzy pragną osobiście uczestniczyć w wyjątkowej ceremonii, którą jest pasterka sprawowana przez łacińskiego patriarchę Jerozolimy, w znajdującym się tuż obok bazyliki Narodzenia Pańskiego katolickim kościele św. Katarzyny Aleksandryjskiej.

Patriarcha witany jest kilka godzin przed Mszą św. na obrzeżach miasta przy Grobie Racheli. Stamtąd w pochodzie wszyscy udają się na plac Żłóbka, gdzie patriarcha wita się z wiernymi. Po Mszy św. w kościele św. Katarzyny procesja udaje się do Groty Narodzenia, gdzie celebrans umieszcza figurę nowo narodzonego Pana Jezusa.

W 2023 r. publiczne obchody Bożego Narodzenia w Betlejem zawieszono ze względu na trwającą wojnę w Strefie Gazy. Po dwóch latach, po ogłoszeniu rozejmu między Izraelem a Hamasem, miasto Betlejem poinformowało, że wraca do organizowania centralnych obchodów uroczystości Narodzenia Pańskiego. Do Betlejem, na plac Żłóbka – jak przekazał burmistrz miasta – ma wrócić choinka. Odbyć ma się również tradycyjny jarmark bożonarodzeniowy, a swą obecność na tegorocznej pasterce zapowiedział prezydent Palestyny, Mahmud Abbas.

W gaju Adonisa

Nazwa „Betlejem" pochodzi od greckiego słowa „Βηθλεέμ". W języku arabskim miejscowość nazywano Bayt Lahm, a w hebrajskim Bet Lehem. Najwcześniejsza wzmianka o tym miejscu pojawiła się w 1400 r. p.n.e. O Betlejem jako Bit-Lahmi pisał do faraona Amenhotepa III lub Amenhotepa IV egipski namiestnik Jerozolimy w jednym z tzw. listów z Amarny.

eprasa.pl bba3719406



Gerard van Honthorst, „Adoracja pasterzy”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, POMMERSCHES LANDESMUSEUM GREIFSWALD

Nazwa, w której pojawiają się człony -Lah, -Leh, skłania ku teorii, że było to pierwotnie miasto należące do Kananejczyków, gdyż Lahmu był czczonym przez nich bogiem, sługą najwyższego bóstwa Enkiego. Prawdopodobnie w trzecim tysiącleciu wzniesiono ku jego czci świątynię na dzisiejszym Wzgórzu Narodzenia. Około 200 r. p.n.e. tereny te podbili Filistyni, od których ziemia zwana dotychczas Kanaan zaczęła być określana jako Filistea – Palestyna.

Następnie Betlejem wchodziło w skład Zjednoczonego Królestwa Izraela, a po podziale tego państwa (po śmierci króla Salomona) miasto znalazło się w granicach Królestwa Judy. W Starym Testamencie nazywane jest Efrata, Betlejem Efrata bądź Betlejem judzkim. W Biblii Betlejem po raz pierwszy pojawia się w Księdze Rodzaju – to w drodze do tego miasta umarła podczas porodu Rachela, żona proroka Jakuba, syna Izaaka. Jej grób znajduje się tam po do dziś.

O tym, że Jezus Chrystus narodził się w Betlejem, jako pierwsi napisali ewangeliści Mateusz i Łukasz.

„Gdy zaś Jezus narodził się w Betlejem w Judei za panowania króla Heroda, oto Mędrcy ze Wschodu przybyli do Jerozolimy i pytali: »Gdzie jest nowo narodzony król żydowski? Ujrzeliśmy bowiem jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać mu pokłon«. Skoro to usłyszał król Herod, przeraził się, a z nim cała Jerozolima. Zebrał więc wszystkich arcykapłanów i uczonych ludu i wypytywał ich, gdzie ma się narodzić Mesjasz. Ci mu odpowiedzieli: »W Betlejem judzkim, bo tak napisał Prorok: A ty, Betlejem, ziemio Judy, nie jesteś zgoła najlichsze spośród głównych miast Judy, albowiem z ciebie wyjdzie władca, który będzie pasterzem ludu mego, Izraela«” (Mt 2, 1–6).

„W owym czasie wyszło rozporządzenie cezara Augusta, żeby przeprowadzić spis ludności w całym świecie. Pierwszy ten spis odbył się wówczas, gdy wielkorządcą Syrii był Kwiryniusz. Podążali więc wszyscy, aby się dać zapisać, każdy do swego miasta. Udał się także Józef z Galilei, z miasta Nazaret, do Judei, do miasta Dawidowego zwanego Betlejem, ponieważ pochodził z domu i rodu Dawida, żeby się dać zapisać z poślubioną sobie Maryją, która była brzemienna. Kiedy tam przebywali, nadszedł dla Maryi czas rozwiązania. Powiła swego pierworodnego Syna, owinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie, gdyż nie było dla nich miejsca w gospodzie” (Łk 2, 1–7).

Pomimo tych relacji stosunkowo krótko po śmierci Jezusa niektórzy musieli zacząć wątpić w to, że miasto Dawida było rzeczywiście miejscem narodzenia Mesjasza. Wskazuje na to choćby relacja Justyna Męczennika (żył ok. 100–167 r.). Polecał on, aby każdy, kto wątpi, że Jezus narodził się w Betlejem, sam się tam udał i zobaczył Grotę. Żyjący w III w. grecki filozof Orygenes z Aleksandrii pisał natomiast: „W Betlejem wskazano [mi] grotę, w której się narodził [Jezus], i żłób w grocie, w którym był owinięty w pieluszki”.

Kult miejsca narodzin Jezusa rósł w siłę. Do tego stopnia, że walczący z chrześcijaństwem cesarz Hadrian rozkazał posadzić w tej okolicy oliwny gaj ku czci Adonisa, kochanka pogańskiej bogini Afrodyty. Pisał o tym św. Hieronim ze Strydonu: „Betlejem […] było zacienione przez gaj, a w jaskini, gdzie kiedyś płakał mały Chrystus, opłakiwano kochanka Wenus”.

Próba wymazania pamięci o Grocie Narodzenia była oczywiście skazana na niepowodzenie; chrześcijanie wciąż czcili to miejsce. W sposób otwarty mogli to robić od czasu panowania Konstantyna Wielkiego, który w edykcie mediolańskim (313 r.) zrównał chrześcijaństwo z innymi religiami w Cesarstwie Rzymskim.

Pierwsi pielgrzymi z Europy zaczęli odwiedzać Palestynę w III stuleciu. Najstarsza znana relacja pochodzi z 333 r. Swą podróż, znaną jako „Itinerarium Burdigalense”, opisał anonimowy podróżnik zwany pielgrzymem z Bordeaux. Spisany po łacinie plan podróży zawiera informacje o tym, dokąd ten człowiek się udał i co widział. Podaje też dokładnie pokonane odległości i miejsca postojów. Relacja jest dość sucha, jednak przy miejscach znanych z kart Biblii pielgrzym opisuje szczegóły. W przypadku Betlejem zanotował: „Przy drodze, po prawej stronie, znajduje się grób, w którym leży Rachela, żona Jakuba. Dwie mile dalej, po lewej stronie, znajduje się Betlejem, gdzie narodził się nasz Pan Jezus Chrystus. Bazylika została tam zbudowana na rozkaz Konstantyna. Niedaleko stamtąd znajdują się groby Ezechiela, Asafa, Hioba, Jessego, Dawida i Salomona, których imiona są wyryte hebrajskimi literami na ścianie w zejściu do krypty”.

Cudem ocalona

Ziemia Święta była obszarem szczególnego zainteresowania matki Konstantyna, św. Heleny. To dzięki niej w miejscu, gdzie znajdowała się Grota Narodzenia, wzniesiono kościół. Budowa rozpoczęła się w 326 r. i trwała niemal 15 lat. Bazylikę poświęcił w 339 r. biskup Jerozolimy Makary.

Świątynia składała się z kilku głównych części: apsydy, pięciu naw i atrium. Apsyda miała kształt pięciokąta i otaczała podwyższenie, pod którym znajdowała się Grota Narodzenia – z tego miejsca można było ją bezpośrednio zobaczyć.

Budowla nie przetrwała jednak długo. W czasie jednej z samarytańskich rewolt w roku 566, kiedy przeciwko Bizancjum wystąpili także Żydzi, bazylika została splądrowana i spalona (Samarytanie buntowali się przeciwko Cesarstwu Bizantyńskiemu od ok. 100 lat; było to poniekąd pokłosie znacznie wcześniejszych wojen rzymsko-żydowskich). Odbudowy świątyni podjął się inny cesarz bizantyński, znany z realizacji monumentalnych planów architektonicznych – Justynian Wielki. Budowa nowej bazyliki została ukończona już po jego śmierci, tj. po 565 r.

eprasa.pl bba3719406



Plan bazyliki Narodzenia Pańskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BRITISH LIBRARY

Wielkie niebezpieczeństwo groziło Betlejem i samej bazylice w 614 r., kiedy Persowie najechali Palestynę. Jak głosi legenda, najeźdźcy pojawili się w świątyni, planując ją zniszczyć, ale wtedy ujrzeli na ścianach mozaiki. Przedstawiono na nich Trzech Mędrców ubranych w perskie szaty kapłanów zaratusztriańskich. Chosrow II Parwiz, perski władca dowodzący kampanią, miał się podobno wzruszyć takim widokiem i kazał oszczędzić świątynię. Kolejna groźba zawisła nad kościołem dwie dekady później, po zajęciu Betlejem przez wojska muzułmańskie pod wodzą kalifa Umara ibn al-Chattaba. Ten jednak pozwolił chrześcijanom zachować kontrolę nad bazyliką. Jednocześnie wyznawcy islamu wznieśli nieopodal meczet.

W VIII w. Betlejem przeszło w ręce islamskiej dynastii Umajjadów, a ok. 100 lat później – Abbasydów. Z tego okresu pochodzi relacja arabskiego geografa, który pisał, że w Betlejem znajduje się „bazylika Konstantyna, do której niepodobna jest żadna świątynia w okolicy". Również w IX w., kiedy część muzułmańskich uczonych zaczęła optować za zburzeniem chrześcijańskiego kościoła otoczonego taką czcią, duchowni opiekujący się bazyliką, aby zyskać ich przychylność, zezwolili na odprawianie islamskich modłów w części świątyni.

Nowy rozdział w dziejach Betlejem i bazyliki Narodzenia Pańskiego nastał w 1099 r., kiedy uczestnicy pierwszej wyprawy krzyżowej zdobyli Jerozolimę. W nieodległym Betlejem krzyżowcy – zwani na Bliskim Wschodzie łacinnikami albo Frankami – szybko zabrali się do renowacji świątyni. Dobudowano wtedy krużganki i nowy klasztor po północnej stronie bazyliki, a jej wnętrze udekorowano licznymi malowidłami. 25 grudnia 1100 r. w bazylice Narodzenia miało miejsce doniosłe wydarzenie: koronacja pierwszego łacińskiego króla Jerozolimy, Baldwina I.

Po odbiciu Ziemi Świętej z rąk muzułmanów przez krzyżowców doszło jednocześnie do pierwszych sporów pomiędzy różnymi grupami wyznającymi Chrystusa. Łacinnicy usunęli z bazyliki Narodzenia greckich duchownych, wprowadzając na ich miejsce księży z Zachodu (wtedy nie mówiono jeszcze o „prawosławnych" i „katolikach"). Rozłam w Kościele, który tlił się od dawna, a swoje apogeum osiągnął całkiem niedawno (w 1054 r.), był coraz bardziej wyraźny także w Ziemi Świętej. Spór o prawa do opieki nad miejscami świętymi, w tym nad bazyliką Narodzenia Pańskiego, który zaczął się u zarania XII w., trwał kolejne kilkaset lat, aż do ustanowienia przepisów znanych jako Status quo.

W 1187 r. wybitny muzułmański wódz Saladyn rozgromił siły Królestwa Jerozolimskiego, zwyciężając w bitwie pod Hittin. W niedługim czasie muzułmanie weszli do Jerozolimy oraz do Betlejem, a później zajęli większość terytoriów należących do krzyżowców. Betlejemska bazylika nie ucierpiała w trakcie walk; Saladyn nie mścił się na świątyni. Rozkazał jedynie powrót w jej mury greckich duchownych. Łacinników dopuścił do posługi kilka lat później. W tym czasie łaciński biskup Betlejem przebywał w Clamecy we Francji, gdzie zaprosił go władca Burgundii, Wilhelm IV, hrabia Nevers. Clamecy było siedzibą biskupstwa Betlejem aż do czasów rewolucji francuskiej.

Przez krótki czas, za panowania cesarza rzymskiego Fryderyka II, Betlejem znalazło się we władaniu władców łacińskich rządzących w Królestwie Jerozolimskim. W drugiej połowie XIII w. miasto z powrotem zajęli muzułmanie. W okresie panowania Mameluków, czyli aż do pierwszej połowy XVI w., chrześcijanie mieli w Ziemi Świętej ograniczone prawa. Nad bazyliką Narodzenia Pańskiego pieczę sprawowało wówczas wspólnie duchowieństwo greckie, katolickie, ormiańskie, koptyjskie, etiopskie i syryjskie. W 1347 r. franciszkanie otrzymali z powrotem dawny klasztor Kanoników Regularnych znajdujący się na północ od bazyliki. Pod koniec XV w. trwała gruntowna renowacja świątyni. Koszty remontów pokrywały państwa europejskie: Anglia, Burgundia i Wenecja.



Grota Narodzenia

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DARKO TEPERT DONATUS

Drzwi Pokory

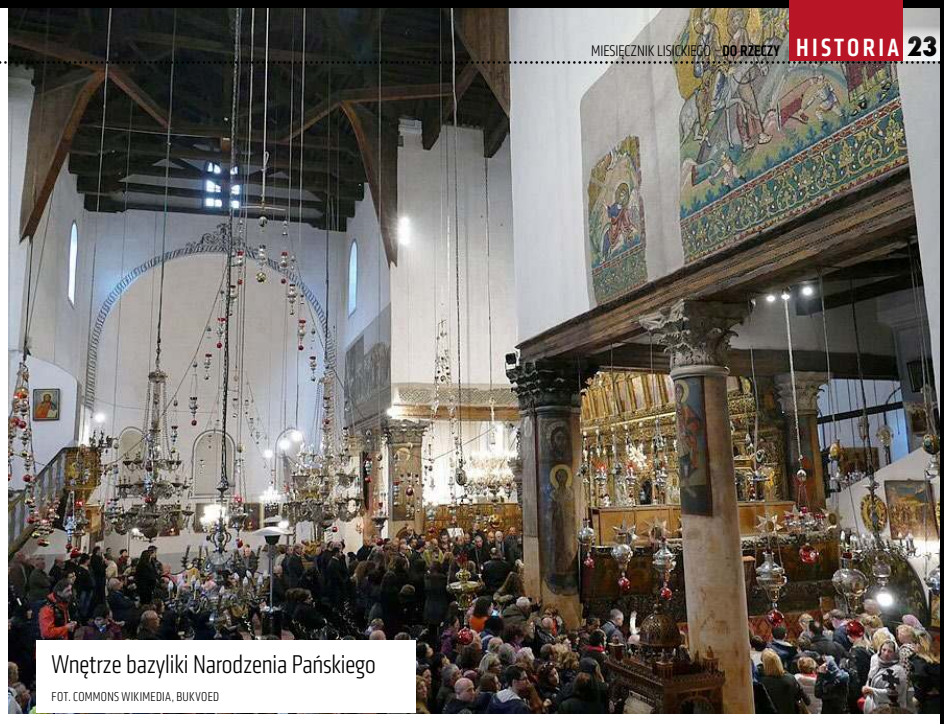
Po podbiciu sułtanatu Mameluków przez Turków osmańskich również Betlejem znalazło się w ich rękach. Bazylika była zaniedbywana, Turcy wykorzystywali jej wnętrza m.in. do urządzania targów. W końcu, aby uniemożliwić

eprasa.pl bba3719406

wprowadzanie na teren świątyni bydła i koni, zamurowano wejście, zostawiając tylko niewielkie drzwiczki, którymi zresztą do dziś wchodzi się do bazyliki. Są to tzw. Drzwi Pokory – nazwa wzięła się stąd, że aby przez nie przejść, trzeba pochylić głowę.

Od XVI w. narastały napięcia między duchowieństwem różnych wyznań. Wiodącą rolę odgrywali łacinnicy, Grecy lub Ormianie, w zależności od aktualnych nastrojów panujących w Konstantynopolu. W 1637 r. pełną władzę nad bazyliką zyskali Grecy, a opiekujący się dotąd Grotą Narodzenia franciszkanie zostali zmuszeni do jej opuszczenia. W tym samym czasie w pobliżu bazyliki powstał ormiański klasztor, a w samej świątyni trwały prace renowacyjne: naprawiono podłogę, dach, wstawiono nowy ikonostas, ocalono resztę bizantyńskich mozaik, ale przy okazji zakryta została większość łacińskich inskrypcji. Franciszkanie odzyskali „monopol" na opiekę nad bazyliką na nieco ponad sześć dekad w pierwszej połowie XVIII w., po czym znowu zostali zmuszeni oddać kontrolę prawosławnym.

Grecy na nowo dążyli do podkreślenia swej dominującej roli w świątyni. Łacinnicy dostali jedynie możliwość sprawowania pieczy nad Grotą Narodzenia (podobna sytuacja miała miejsce także w Jerozolimie, w bazylice Grobu Świętego). W 1847 r. papież Pius IX postanowił odzyskać dawną pozycję Kościoła katolickiego w Ziemi Świętej. W tym celu, po raz pierwszy od 1187 r., mianował łacińskiego patriarchę w Jerozolimie. Ten krok nie poprawił jednak sytuacji. Rywalizacja między prawosławnymi i katolikami, których wspierały zresztą odpowiednio Rosja i Francja, jeszcze się nasiliła. Do tego stopnia, że kilku greckich mnichów, chcąc usunąć ostatnie dowody władzy katolików nad bazyliką, ukradło srebrną gwiazdę przymocowaną do ołtarza w Grocie Narodzenia, na której znajdował się łaciński napis „HIC DE VIRGINE MARIA IESUS CHRISTUS NATUS EST" („Tutaj z Dziewicy Maryi narodził się Jezus Chrystus"). Z tego powodu tuż przed Bożym Narodzeniem doszło do gwałtownej bijatyki między mnichami greckimi i łacińskimi. Wydarzenia te stały się pośrednio jedną z przyczyn wybuchu wojny krymskiej w 1853 r.



Wnętrze bazyliki Narodzenia Pańskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUKVOED

Jednak rok wcześniej sułtan Abdul Mejid I przyznał łacinnikom pewne prawa do zarządzania miejscami świętymi i na własny koszt odtworzył srebrną gwiazdę z łacińskim napisem. Ponadto, chcąc zapobiec atakowi ze strony Rosji, wydał dekrety potwierdzające Status quo w miejscach świętych. Prawa własności i użytkowania, które wtedy ustalono, zostały wyłączone spod jurysdykcji sądów i na zawsze miały pozostać niezmienione. Tak naprawdę jednak wszystkie trzy główne strony sporu – katolicy, prawosławni i Ormianie – czuły się poszkodowane. Doszło nawet do tego, że wszyscy zaczęli sprowadzać do Betlejem młodych, silnych mnichów, którzy w razie czego mieli fizycznie bronić praw każdego wyznania do sprawowania opieki nad świątynią.

Strzały snajperów

Bazylika Narodzenia Pańskiego, pomimo prowadzonych co jakiś czas remontów, systematycznie niszczała. Do XVIII w. odpadła większość zdobień z czasów bizantyńskich. Jedną część świątyni „przerobiono" na stragany, gdzie sprzedawano pamiątki. Stan wybudowanej w VI w. bazyliki uległ dalszej degradacji po trzęsieniach ziemi, które miały miejsce w latach 30. XIX w. Po ogłoszeniu Status quo było jeszcze gorzej: jedni nie pozwalali drugim na wprowadzanie żadnych zmian. Do tego Grecy coraz zacieklej zaczęli dopominać się o oddanie im Groty Narodzenia. W 1873 r. próbowali zająć ją siłą przy pomocy przebywających akurat w mieście greckich marynarzy. To wydarzenie skłoniło do poważnego zastanowienia się nad egzekwowaniem Status quo. Ostatecznie, staraniem Francji, zostało ono włączone do traktatu berlińskiego z 1878 r. jako część prawa międzynarodowego.

Powołanie przez Ligę Narodów Mandatu Palestyny sprawiło, że nie wiadomo było, kto ma płacić za remonty zabytków. W tym czasie dach bazyliki Narodzenia Pańskiego znajdował się już w kompletnie opłakanym stanie, a dostająca się do środka woda zalewała mozaiki i freski. Zniszczeń nie udało się już naprawić. Sytuację pogarszała później rosnąca wrogość między Żydami a Palestyńczykami, zwłaszcza po utworzeniu Państwa Izrael. W 2002 r. w murach bazyliki schronili się palestyńscy bojownicy, a bazylika była ostrzeliwana przez izraelskich snajperów.

W 2012 r. bazylika Narodzenia Pańskiego została pierwszym palestyńskim obiektem wpisanym na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Niedawno palestyński prezydent Abbas ogłosił, że świątynia przejdzie gruntowny, największy od kilkuset lat remont. Aby tak się stało, potrzeba jednak współpracy Palestyńczyków, Izraelczyków oraz trzech kustoszy bazyliki: Greckiego Kościoła Prawosławnego, Ormiańskiego Kościoła Prawosławnego i zakonu franciszkanów.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bba3719406



Reżyser Stalina / 100 lat od premiery „Pancernika »Potiomkina«”

Diabelski pakt Eisensteina



Mikołaj Iwanow

Niezwykle utalentowany reżyser, człowiek absolutnie oddany sztuce kinowej, zawarł dożywotni pakt z bolszewickim diabłem i pozostał mu wierny do ostatnich dni swego życia

Gdyby ten sowiecki reżyser nakręcił w swoim życiu jeden jedyny film – „Pancernik »Potiomkin«” – to i tak zapisałby się w historii światowej kinematografii. Ten niemy obraz, mimo że był nakręcony 100 lat temu (premierę miał 21 grudnia 1925 r.), nadal uważany jest przez licznych krytyków za jeden z najlepszych filmów w historii kina. Dzięki „Pancernikowi »Potiomkinowi«” nazwisko Eisensteina stało się synonimem kina sowieckiego lat 20. minionego stulecia.

W 1958 r., podczas Wystawy Światowej w Brukseli, w ankiecie przeprowadzonej wśród filmoznawców z 26 krajów, „Pancernik »Potiomkin«” został uznany za najlepszy film wszech czasów. Obraz Eisensteina nie był jednak wyłącznie wybitnym dziełem sztuki. Było to również bardzo ważne narzędzie propagandy komunistycznej, nakręcone na polecenie partii. Eisenstein stworzył legendę bohaterskiego powstania, która zdecydowanie odbiegała od prawdy historycznej.

Ten przedstawiciel wyższych sfer Rosji imperialnej, fanatycznie oddany sztuce kinowej, zawarł dożywotni pakt

eprasa.pl bba3719406



FOT. BIBLIOTHECA HERTZIANA/MAX PLANCK INSTITUTE

z bolszewickim diabłem i pozostał mu wierny do ostatnich dni swego życia.

Fascynacja rewolucją

Siergiej Eisenstein urodził się w Rydze w 1898 r., w bardzo zamożnej rodzinie architekta Michaiła (Mojżesza) Eisensteina, ochrzczonego Żyda, który zrobił w tym antysemickim państwie wielką karierę i uzyskał tytuł szlachecki. Jego matka, Julia Koniecka, była natomiast rodowitą Rosjanką. Pochodziła z rodziny petersburskiego milionera Iwan Koniec-



Plakat filmu „Pancernik Potiomkin"

FOT. DOMENA PUBLICZNA

kiego, właściciela firmy żeglugowej. O statusie dziadka Eisensteina świadczy fakt, że po śmierci (w 1904 r.) został on pogrzebany w Ławrze Aleksandra Newskiego, gdzie chowano również carów.

W 1906 r., podczas pierwszej rewolucji rosyjskiej, rodzina wyjechała do Paryża, gdzie Siergiej po raz pierwszy w życiu zobaczył film. Gdy dwa lata później Eisensteinowie wrócili do Rosji, chłopak rozpoczął naukę w gimnazjum, pobierał również lekcje gry na fortepianie i jazdy konnej, uczył się trzech języków: angielskiego, niemieckiego i francuskiego.

W trakcie rewolucji bolszewickiej Siergiej Eisenstein był 19-letnim studentem Piotrogrodzkiego Instytutu Inżynierów Cywilnych. Jego rodzina uciekła za granicę, by ratować życie. Ojciec zmarł na wygnaniu w Berlinie, natomiast matka dożyła sędziwego wieku i odeszła dopiero w 1949 r.

Natomiast Siergiej, zafascynowany wydarzeniami rewolucyjnymi, pozostał w Rosji. Czy było w tym coś nadzwyczajnego? Dzieci rosyjskich elit chętnie uczestniczyły w ruchu bolszewickim. Fascynowała ich niezwykła ideologia, obietnica zbudowania „raju na ziemi". Okrutna, upokarzająca rzeczywistość Rosji carskiej potęgowała te ciągoty. Lenin i jego powieszony za próbę zabicia cara brat byli dziećmi wysokiego urzędnika, Trocki – synem bogatych przedsiębiorców żydowskich, Dzierżyński wywodził się z kolei z bogatej polskiej szlachty kresowej. Postawa późniejszego reżysera nie powinna zatem dziwić.

Cyrk na scenie

Wiosną 1918 r. Eisenstein na ochotnika wstępuje do Armii Czerwonej. Jako inżynier zostaje oficerem Wojskowego Oddziału Budowlanego Okręgu Piotrogrodzkiego. Eisenstein walczy ze swą jednostką na wielu frontach wojny domowej. Buduje fortyfikacje, a w przerwach między bitwami wystawia amatorskie przedstawienia (w Połocku dołączył nawet do Wydziału Teatralnego Departamentu Politycznego Frontu Zachodniego). W swojej autobiografii napisał: „Rewolucja dała mi to, co było dla mnie najcenniejsze w życiu – uczyniła ze mnie artystę. Talent i chęć były, ale dopiero rewolucyjny wir dał mi to, co najważniejsze – wolność samostanowienia".

Po demobilizacji Eisenstein znalazł pracę jako scenograf w trupie Pierwszego Teatru Robotniczego „Proletkult". Jak wielu innych zafascynował się ideą niszczenia dawnej sztuki i „rewolucjonizowania" teatru. „Proletkult" był masowym ruchem na rzecz stworzenia zupełnie nowej, proletariackiej kultury, całkowicie odrębnej od sztuki „burżuazyjnej". W ramach tego ruchu powstawały liczne organizacje kulturalne i edukacyjne, które dążyły do tego, by robotnicy sami tworzyli sztukę i literaturę, czerpiąc z własnych doświadczeń. Jednym z czołowych ideologów tego ruchu był wybitny poeta Władimir Majakowski.

Swoje wykształcenie teatralne Eisenstein otrzymał w ramach „Proletkultu". W 1921 r. przyjęto go do Państwowych Wyższych Warsztatów Reżyserskich, prowadzonych przez Wsiewołoda Meyerholda – czołowego sowieckiego reformatora sceny teatralnej. Już po dwóch latach studiów 25-letni Eisenstein rozpoczyna samodzielną pracę jako reżyser. Na scenie teatru „Proletkultu" wystawia swobodną interpretacją sztuki Aleksandra Ostrowskiego „Dość głupoty w każdym mędrcu", przekształcając tę klasyczną komedię w tzw. montaż atrakcji. Koncepcję tę opracował sam Eisenstein i przedstawił ją w artykule o tym samym tytule, opublikowanym w czasopiśmie „LEF". Reżyser tłumaczył w nim: „Atrakcją jest wszystko, co jest w stanie wywołać u widza silne »wpływy sensoryczne«; »montaż« w tym przypadku oznacza artykulację różnych elementów »atrakcji«, wybranych arbitralnie, ale podporządkowanych rozwojowi tematu dzieła". W „Dość głupoty w każdym mędrcu" z oryginału pozostały jedynie

eprasa.pl bba3719406

imiona i nazwiska autora oraz głównych postaci. Cała reszta była „montażem atrakcji". Scena stała się areną cyrkową – nad głowami widzów rozciągnięto linę, na której tańczyli aktorzy.

Po teatrze przyszedł czas na film. Eisenstein rozpoczął swoją karierę filmową od ponownego montażu filmów zachodnich. Była to wówczas w ZSRS powszechna praktyka. Jego pierwszy w pełni samodzielny film pt. „Strajk" ukazał się w kwietniu 1925 r. Był to obraz nakręcony w ramach jego nowatorskiej koncepcji. Reżyser przedstawił w nim łańcuch niekończących się „atrakcji", silnie oddziałujących na widza, wykorzystując w tym celu ostre i nietypowe ujęcia kamery. „Strajk" został pozytywnie przyjęty przez sowiecką krytykę filmową. Nazwano go „rewolucyjnym" i „innowacyjnym" filmem.

Do Hollywood!

Swój słynny „Pancernik »Potiomkin«" Eisenstein nakręcił w bardzo dziwnych okolicznościach. Po sukcesie „Strajku" bolszewicy ostatecznie uznali go za „swojego" i polecili mu stworzyć film o rewolucji 1905 r. Scenariusz napisała Nina Agadżanowa-Szutko, jednak w czasie realizacji filmu Eisenstein prawie całkowicie odrzucił oryginalny scenariusz. Zdjęcia kręcono m.in. na starym pancerniku „Dwunastu Apostołów", który w tamtym czasie służył jako skład amunicji. Premiera filmu odbyła się w grudniu 1925 r. w Teatrze Bolszoj, podczas uroczystej gali poświęconej 20. rocznicy rewolucji 1905 r. Niezwykłe kadry i sposób montażu sprawiły, że film został uznany za arcydzieło kina światowego.

Na przełomie lat 20. i 30. kino przeżywało prawdziwą rewolucję – narodziny filmu dźwiękowego. Dlatego partia, traktująca kino jako kluczowe narzędzie propagandy komunistycznej, wysyła swojego najwybitniejszego reżysera do Hollywood, by nauczył się tam od najlepszych kręcenia filmów udźwiękowionych. Po przybyciu do USA Eisenstein podpisuje kontrakt z amerykańską wytwórnią Paramount.

Scenariusze Eisensteina (m.in. do filmu „Złoto Suttera") spotkały się z uznaniem Theodore'a Dreisera, Uptona Sinclaira, Charliego Chaplina i Walta Disneya, ale Paramount wstrzymał się z produkcją. Z USA Eisenstein pojechał do Meksyku, gdzie spędził rok, kręcąc epicki film „Viva Mexico!", poświęcony walce narodu meksykańskiego o podmiotowość. I to właśnie w Meksyku reżyser przeżył swój największy zawód miłosny. Jak twierdzą jego rosyjscy biografowie, Eisenstein aż do 33. roku życia był prawiczkiem, gdy nagle doznał „olśnienia", że jest homoseksualistą. Jego burzliwy romans z młodym meksykańskim przewodnikiem Palomino Cañedo do dziś budzi wiele dyskusji i kontrowersji.

Po trzech latach pobytu w wolnym świecie Eisenstein wraca do Związku Sowieckiego. W 1932 r. był to już jednak zupełnie inny kraj, gdzie nie było już tych wolności dla pracy twórczej, które istniały jeszcze w latach 20.

W 1935 r., na Pierwszej Ogólnozwiązkowej Konferencji Twórców Kinematografii, Eisenstein wystąpił z obszernym referatem, w którym próbował określić swoje miejsce w nowej sytuacji politycznej i zrewidować swoje teorie montażu w świetle nowych wymogów kina dźwiękowego. Rzeczywistość okazała się jednak o wiele bardziej brutalna, niż spodziewał się reżyser.



Siergiej Eisenstein (drugi z lewej) i Walt Disney (drugi z prawej) w Hollywood

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RIA NOVOSTI

Wiosną 1935 r. Eisenstein na polecenie partii rozpoczął prace nad filmem „Łąki Bieżyńskie" (na podstawie scenariusza Aleksandra Rżeszewskiego). Była to historia pioniera Pawlika Morozowa, który został zamordowany przez własnego dziadka za zadenuncjowanie ojca spiskującego przeciw kolektywizacji. Jak zwykle Eisenstein odrzucił pierwotny scenariusz i odchodząc od tematu tzw. walki klasowej na wsi, skoncentrował się na walce syna z ojcem. Reżyser zamierzał stworzyć głęboką opowieść o konflikcie pokoleń i epok. Film się nie zachował, a praktycznie wszystkie materiały zostały zniszczone. Sądząc jednak po scenariuszu, zrekonstruowanych fragmentach i składzie ekipy filmowej (Eisenstein współtworzył scenariusz z Isaakiem Babelem, a muzykę skomponował awangardowy kompozytor Gawriił Popow), można przypuszczać, że „Łąki Bieżyńskie" były mocnym kandydatem do miana arcydzieła.

Kierownictwo studia filmowego ostro skrytykowało reżysera za zmianę pierwotnej koncepcji scenariusza, oskarżając go o „uleganie formie biblijnej". W rezultacie Eisenstein został zmuszony do przerobienia scenariusza, wymiany kilku aktorów i rezygnacji ze sceny zniszczenia cerkwi i przekształcenia jej w klub, która wywołała największą krytykę.

Już na etapie zdjęć rozpoczęła się zaciekła kampania przeciwko Eisensteinowi i jego filmowi. Na niezliczonych zebraniach partyjnych i radach artystycznych urzędnicy krytykowali reżysera. Borys Szumiacki, szef sowieckiej kinematografii, opublikował w „Prawdzie" miażdżący artykuł, potępiając w nim Eisensteina za „brak zrozumienia klasy robotniczej" i wykorzystanie symboliki religijnej w filmie. Na polecenie Głównego Zarządu Kinemato-

eprasa.pl bba3719406

grafii prace nad produkcją filmu wstrzymano, a Eisenstein został zmuszony do złożenia w prasie publicznej samokrytyki.

Groźny jak Stalin

Ostatnie lata jego życia były swoistym platonicznym „romansem" ze Stalinem. Wódz ZSRS osobiście przeczytał i pochwalił scenariusz filmu „Iwan Groźny", w którym nie bez podstaw dostrzegał aluzje do swojego stylu rządzenia krajem. Było to tuż przed wybuchem wojny. Wydawało się, że niemiecki atak na długo zatrzyma plany realizacji tego filmu. A jednak już we wrześniu 1942 r., gdy Wehrmacht zbliżał się do Stalingradu, sowiecki dyktator osobiście nakazał rozpocząć zdjęcia.

Eisenstein stworzył w tych niezwykle trudnych warunkach majestatyczną tragedię. Iwan Groźny w wykonaniu wybitnego aktora Nikołaja Czerkasowa został przedstawiony jako władca jednoczący ziemie rosyjskie. Potworne okrucieństwa popełnione w trakcie tego dzieła pokazano jako zło konieczne, jednocześnie Groźny jawi się widzom jako władca dręczony straszliwą samotnością i wątpliwościami.



Kadr z filmu „Iwan Groźny" Siergieja Eisensteina

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MOSFILM

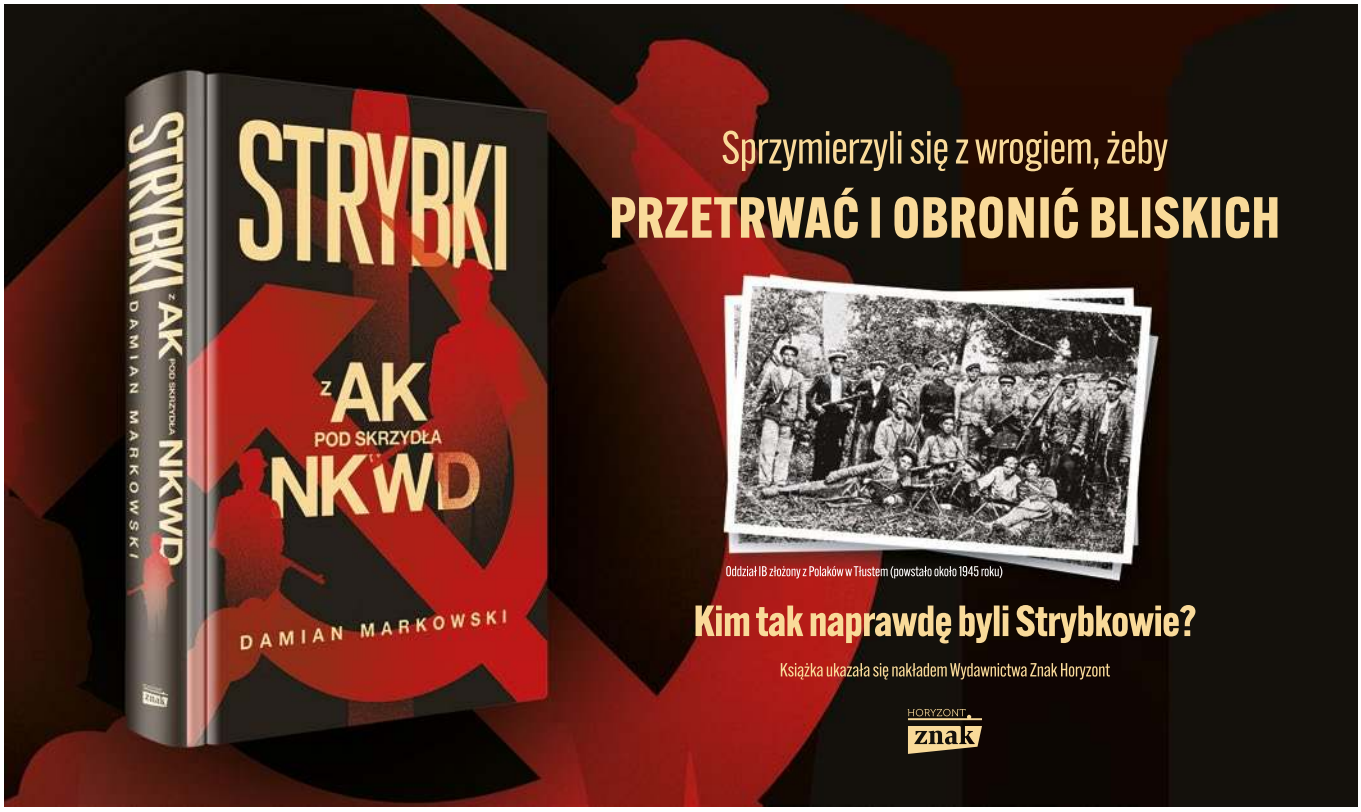
Pierwsza część opowieści Eisensteina o Iwanie Groźnym miała swoją premierę w styczniu 1945 r. i spotkała się z uznaniem zarówno krytyków partyjnych, jak i samego Stalina. Rok później Eisenstein otrzymał za ten film Nagrodę Stalinowską Pierwszej Klasy. „Iwan Groźny" został też doceniony na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Locarno i uzyskał nagrodę za najlepsze zdjęcia.

Zupełnie inaczej wyglądała sprawa z drugą częścią tego filmu (pt. „Spisek bojarów"). Została ona ostro skrytykowana przez partyjną propagandę. Gazeta „Prawda" pisała na ten temat: „Reżyser Siergiej Eisenstein wykazał się ignorancją w przedstawianiu faktów historycznych, pokazując postępową armię »opryczników« Iwana Groźnego jako bandę degeneratów, niczym Ku Klux Klan, a Iwana Groźnego, człowieka o silnej woli i charakterze, jako człowieka słabego i bez kręgosłupa, coś w rodzaju Hamleta".

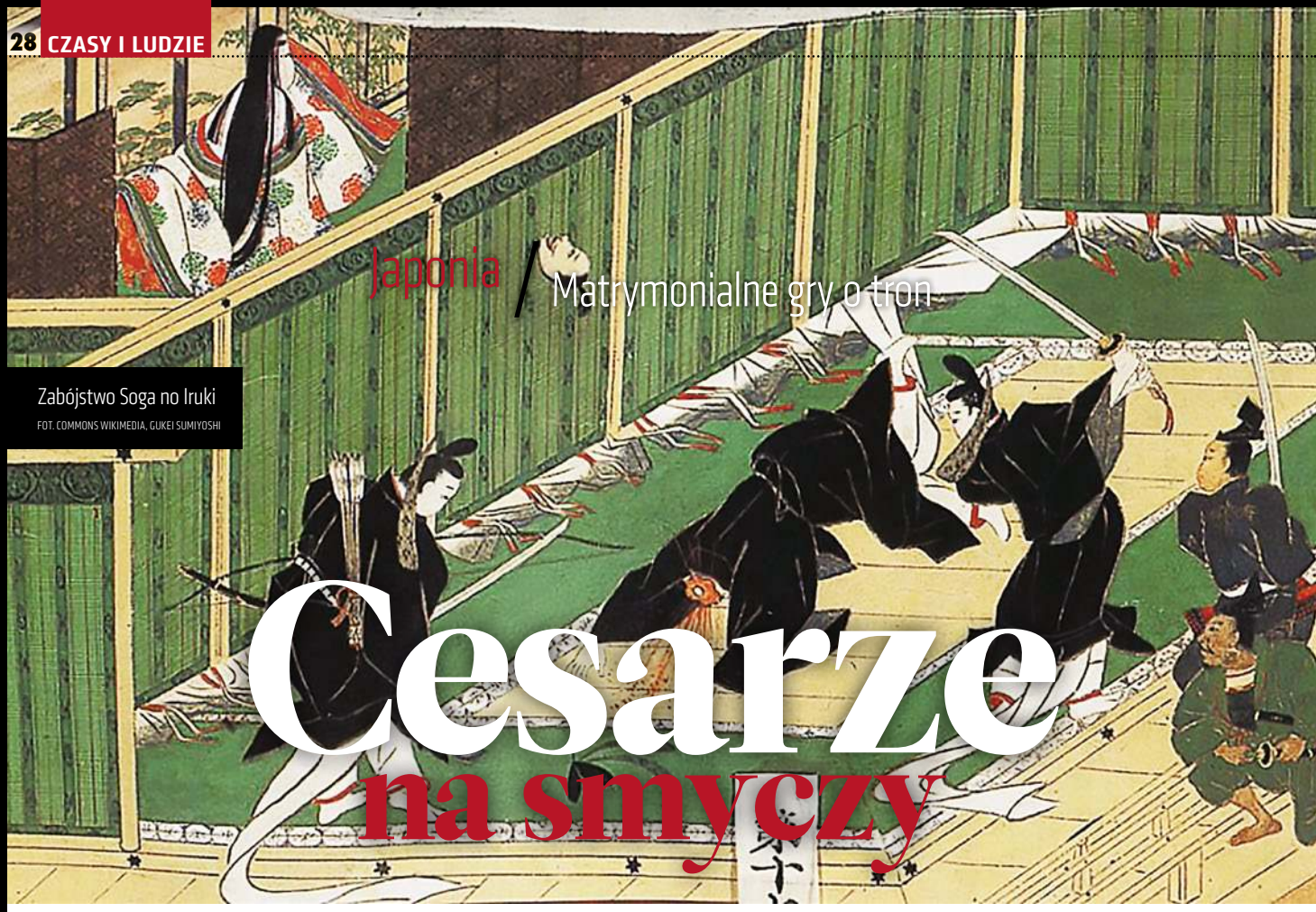
Eisenstein mocno przeżywał taki odbiór „Spisku bojarów". Pracował nad jego poprawkami do końca życia – zmarł na zawał serca 11 lutego 1948 r., w wieku zaledwie 50 lat. Mocno ocenzurowana wersja filmu ukazała się dopiero w 1958 r., 10 lat po śmierci reżysera i pięć lat po zgonie Stalina.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl bba3719406



Zabójstwo Soga no Iruki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GUKEI SUMIYOSHI

Japonia / Matrymonialne gry o tron

Cesarze na smyczy



Łukasz Czarnecki

Klan Fujiwarów wynalazł genialną metodę ubezwłasnowolniania kolejnych japońskich cesarzy z pomocą swoich płodnych córek

Gdyby zadać pytanie: „Kto jest najbardziej niezależnym monarchą na świecie?”, prawidłowa odpowiedź brzmiałaby: „Cesarz japoński, bo nic od niego nie zależy”. A przecież japoński ród panujący jest najdłużej zasiadającą na tronie w nieprzerwany sposób dynastią w dziejach ludzkości. Co prawda, przypisywana mu przez tradycyjną historię Krainy Wschodzącego Słońca metryka licząca XXVII wieków jest akurat fikcyjna, ale przy mających już oparcie w faktach ponad 1500 latach sukcesji nawet brytyjscy Windsorowie sprawiają wrażenie grupki nuworyszy, którzy dopiero co weszli na przyjęcie dla koronowanych głów. Równocześnie kompetencje cesarza Japonii są tak ograniczone, że w porównaniu z nim pełniący głównie funkcje symboliczne i ceremonialne król Karol III wydaje się wszechmocnym jednowładcą.

Paradoksalnie to właśnie słabość potomków bogini Amaterasu stanowiła czynnik, który pozwolił im zachować tron przez wszystkie zawieruchy dziejowe, które przez półtora millennium pustoszyły Wyspy Japońskie. Jako że prawdziwy ośrodek władzy znajdował się poza cesarskim pałacem, ambitni wodzowie i politycy nie musieli usuwać jego dotychczasowych lokatorów.

W historii Japonii dochodziło niekiedy do sytuacji kuriozalnych z europejskiego punktu widzenia. W XVI w. dynastia cesarska, pozostająca nominalnie suwerenem Kraju Kwitnącej Wiśni, stoczyła się de facto do poziomu żebraków, gnieżdżących się w ruinach pałacu. A po śmierci jednego z ówcześnie panujących latami przekładano koronację następcy, ponieważ dwór… nie miał pieniędzy na zorganizowanie odpowiedniej uroczystości. W lepszych czasach, za panowania silnych szogunów, takich jak przedstawiciele rodu Tokugawa, cesarze żyli de facto w areszcie domowym, a gdy ostatni szogunat upadł i rozpoczęła się przemiana Japonii w nowoczesne państwo, to mimo że rewolucja prowadzona była w imię przywrócenia cesarzowi pełni władzy, po jej zwycięstwie rządy objęła tak naprawdę grupa wpływowych mężów stanu, tzw. oligarchia Meiji. Będący oficjalnie wszechmocną głową państwa tennō życiowe ambicje realizować mógł, co najwyżej pisząc wiersze (stworzył ich w ciągu swego życia ok. 100 tys.).

Tak naprawdę jedynymi kwestiami, w których potomkowie Amaterasu mieli cokolwiek do powiedzenia, były sprawy

eprasa.pl bba3719406

dotyczące rodzimej religii shinto oraz kultury. To właśnie w otoczeniu monarchy pielęgnowano sięgającą korzeniami epoki Heian (794–1185) wysublimowaną kulturę dworską. Paradoksalnie to ten okres dziejów Japonii był sceną wydarzeń, które na dobre pozbawiły ród panujący jakiejkolwiek realnej władzy. A głównymi aktorami w odgrywanej na owej scenie przez blisko trzy wieki tragikomedii byli przedstawiciele możnego rodu Fujiwara.

Narodziny dynastii

Historia drogi Fujiwarów do władzy zaczyna się w połowie VII w. n.e. Państwo japońskie znajdowało się wówczas na etapie niemowlęcym. Ród cesarski był tylko jednym z kilku potężnych klanów władających archipelagiem. Uznawano go co najwyżej za „pierwszego pośród równych". Kolejni monarchowie na drodze nieustannych przepychanek z lokalnymi możnowładcami przesuwali zasięg swej władzy dalej i dalej, lecz zadanie to stanowiło orkę na ugorze. Marzący o pozycji jednowładców cesarze tęsknie spoglądali na sąsiednie Chiny dynastii Tang, gdzie zasiadający na Tronie Smoka Synowie Niebios stanowili niepodważalnych hegemonów.

Począwszy od poprzedniego stulecia, najbardziej wpływową rodziną arystokratyczną Japonii pozostawał odpowiedzialny za zaszczepienie na wyspach buddyzmu ród Soga. Gdy w 642 r. umarł cesarz Jomei, wywodzący się z tej możnej familii potężny minister Soga no Iruka siłą osadził na tronie zamiast cesarzewicza wdowę po zmarłym – Kōgyōku, przy której boku stał odtąd jako wszechmocna szara eminencja. Postępowanie patriarchy klanu Soga wzbudziło niepokój w szeregach cesarskiej dynastii. Lękliwie szeptano, że ten pozbawiony zahamowań polityk wkrótce sam sięgnie po godność monarszą. W tej sytuacji syn Jomeia, książę Nakano Ōe, postanowił działać. Wraz z przyjacielem i zausznikiem, dworzaninem Nakatomi no Kamatari, 12 lipca 645 r. w obecności cesarzowej wdowy dobyli mieczy i zaszlachtowali ministra.

A jednak książę nie zagarnął tronu dla siebie, lecz zostawił go wujowi (sam



Bogini Amaterasu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, UTAGA

sięgnął po koronę dopiero 18 lat później). Natomiast Nakatomi no Kamatari od razu zaczął czerpać frukty z udziału w zamachu stanu, stając się jednym z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w Japonii. Gdy władzę, jako cesarz Tenji, objął w końcu jego przyjaciel, dawnego spiskowca wyniesiono do najwyższej rangi dworskiej i nadano mu nowe nazwisko – Fujiwara. W ten sposób narodziła się familia, mająca przetrwać



Fujiwara Kamatari

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

i zachować wpływy aż do czasów współczesnych. „Ostatnim z Fujiwarów" nazywano księcia Konoe Fumimaro, dwukrotnego premiera Japonii, współodpowiedzialnego za japońskie zbrodnie z czasów drugiej wojny światowej. W 1945 r. wolał popełnić samobójstwo, niż zostać osądzonym przez aliantów.

Protoplasta klanu dał się poznać jako wierny sługa dynastii cesarskiej, biorący udział w przeprowadzaniu tzw. wielkiej reformy, której celem było scentralizowanie państwa, umocnienie pozycji monarchy i przemienienie Japonii w kraj ze sprawnie działającą administracją, gdzie drogę do kariery otwierałaby zasługi osobiste, a nie szlacheckie pochodzenie. Reformatorzy planowali przeszczepienie na grunt ojczysty rozwiązań chińskich, nie biorąc jednak pod uwagę, że były one dostosowane do kraju znajdującego się na o wiele wyższym poziomie rozwoju cywilizacyjnego niż Kraj Kwitnącej Wiśni.

Sieć synekur

Śmiałe założenia szybko rozbiły się o rzeczywistość. Powstał system będący całkowitym wypaczeniem ustroju Państwa Środka. W Cesarstwie Japońskim pojawiło się bez liku urzędów, ministerstw i biur do spraw spraw wszelakich, tyle że monopol na obsadzanie wszystkich tych stanowisk objęła grupa przedstawicieli garstki arystokratycznych rodów. Wszystko wskazuje na to, że w Japonii epoki Heian nie przeprowadzono nigdy (sic!) egzaminów z myśli konfucjańskiej, które stanowiły w Chinach podstawowe źródło naboru urzędników.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak szybko system rządowy zaczął się zamieniać w sieć pozbawionych rzeczywistych funkcji synekur obsadzonych przez zupełnych dyletantów, niemających pojęcia o świecie poza stolicą (w roku 794 zostało nią miasto Heian-kyō).

Paradoksalnie, choć protoplasta klanu poświęcił karierę umacnianiu władzy i autorytetu cesarskiego, przez następne wieki jego potomkowie robili wszystko, by podporządkować sobie ród panujący. Co ciekawe, w trakcie trwających trzy stulecia zmagań z innymi arystokratycznymi familiami oraz wpływowym

eprasa.pl bba3719406



Cesarz Tenji

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSEUM OF FINE ARTS, BOSTON

klerem buddyjskim Fujiwarowie nigdy nie uciekali się do jawnej przemocy. Żaden z nich nie poprowadził armii przeciw swym przeciwnikom – likwidowano ich za pomocą intryg dworskich.

Symptomatyczne są losy Michizane, słynnego kaligrafa i męża stanu z przełomu wieków IX i X. Polityk ten cieszył się poparciem ekscesarza Uda, co było solą w oku Fujiwarów. Rozpuścili więc plotkę, jakoby słynny uczony spiskował przeciw tronowi. Zręcznie sącząc jad do ucha monarchy, doprowadzili do objęcia przez Michizane „zaszczytnego" stanowiska komisarza rządu w kwaterze głównej na wyspie Kiusiu, co oznaczało de facto wygnanie i śmierć polityczną. W roku 901 nieszczęsny minister wyjechał, by objąć posadę „pośrodku niczego". Po dwóch latach tęsknoty za dworem pękło mu serce i w 902 r. najsłynniejszy uczony swoich czasów zmarł.

Co ciekawe, Michizane „zemścił się" zza grobu na winnych swojego upadku. Wkrótce po jego śmierci w stolicy doszło do serii niewytłumaczalnych wydarzeń i nagłych zgonów. Wśród ofiar znalazł się m.in. następca tronu, trupem padł również jeden z najbardziej prominentnych Fujiwarów. Uznano, że winny jest duch wygnańca i aby go udobruchać, oficjalnie cofnięto ciążące na nim zarzuty i pośmiertnie przywrócono go na dawne stanowisko. Niewiele to jednak pomogło, upiór srożył się przez następne kilkadziesiąt lat – dopóty, dopóki zaznanych za życia krzywd nie wynagrodzono mu awansem na stanowisko wielkiego ministra stanu. Dopiero wtedy odpuścił. Będąc martwym, Michizane miał zresztą zrobić jeszcze większą karierę niż za życia. Do dziś czczony jest bowiem w Japonii jako bóg nauki i kaligrafii. W czasie sesji egzaminacyjnych poświęcone mu chramy wypełniają śmiertelnie przemęczeni studenci modlący się o pomyślne zdanie egzaminów.

Do X w. Fujiwarowie usunęli z planszy wszelkich konkurentów do władzy, całkowicie uzależnili od siebie ród panujący i odebrali mu rzeczywisty wpływ na państwo, pozostawiając jedynie prerogatywy ceremonialne oraz religijne. Przez następne stulecie trzymali Japonię w garści, a jedyne walki, które toczyli, miały miejsce w łonie ich własnej familii, co zresztą było jedną z przyczyn ich późniejszego upadku. Jak jednak udało im się osiągnąć tak wysoką pozycję?

Sługa panem

W roku 858 na tron wstąpił ośmioletni cesarz Seiwa. Na czas jego niepełnoletności wyznaczono regenta z klanu Fujiwara. Rzecz raczej niebudząca większych kontrowersji, ale jednak ambitny arystokrata odmówił zrzeczenia się przyznanych mu uprawnień, kiedy już monarcha wszedł w dorosłość. Co więcej, zadbał o to, by władca ożenił się z panną z jego familii. Gdy cesarzowa powiła syna, liczącego sobie zaledwie 26 lat ojca niemowlęcia zmuszono do abdykacji. Nowym cesarzem został jego synek, pochodzący po kądzieli z rodu Fujiwara. W imieniu dziecka władzę znów latami sprawował jako regent krewniak od strony matki. Ledwie zaś chłopczyk wszedł w wiek męski, również na nim wymuszono zrzeczenie się tronu. Doszło jednak do niespodziewanego zwrotu akcji, bo zamiast kolejnego dziecka koronowano dobiegającego 60. wiosny księcia. W ten sposób na scenie pojawił się cesarz Kōkō.

Podstarzały mężczyzna okazał się monarchą tak nieudolnym, że dla dobra państwa trzeba było czym prędzej odebrać mu realną władzę i przekazać ją kanclerzowi, który to urząd specjalnie przy tej okazji powołano. Było to wbrew założeniom „wielkiej reformy", ponieważ w ustanowionym przez nią ustroju takiego stanowiska w ogóle nie przewidziano. A jakie nazwisko nosił kanclerz sprawujący rządy w imieniu cesarza Kōkō? Oczywiście Fujiwara!

W ciągu następnego stulecia ambitna familia wypracowała perfekcyjny system, który de facto czynił kolejnych cesarzy jej zakładnikami. Klucz stanowiło jak najściślejsze spowinowacenie się z rodem panującym. Klan wyspecjalizował się w dostarczaniu panującym małżonek, z czasem zdobywając wręcz niemal monopol w tej dziedzinie. A jak owa polityka matrymonialna przekładać się miała na kontrolę nad cesarstwem? Od panien z klanu Fujiwara nie wymagano, by kierowały mężami, stawiając im



Świątynia buddyjska z epoki Heian w Uji, XI w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARTIN FALBISONER

eprasa.pl bba3719406

W pewnym momencie eksmonarchowie uświadomili sobie, że będąc na emeryturze, mają więcej swobody niż za swoich rządów!

za cel jak najszybsze wydanie na świat następcy tronu. Gdy już do tego doszło, ojciec cesarzowej wymuszał na zięciu abdykację i doprowadzał do koronacji wnuka, w którego imieniu sprawował odtąd rządy jako regent.

Kiedy chłopiec dorastał, dziadek nosił już tytuł kanclerza. Zastąpić go mógł na tym urzędzie teść młodego monarchy, ponieważ jak najszybciej żeniono chłopaka z kolejną panną z Fujiwarów (swoją drogą wielożeństwo było wtedy normą), będącą z reguły jego ciotką lub kuzynką. A gdy para doczekała się syna, cesarza przymuszano do zrzeczenia się insygniów i cały cykl można było zaczynać na nowo! Z biegiem czasu ród panujący coraz bardziej uzależniano od powinowatej familii. Jeśli cesarzowa zachodziła w ciążę, to przenosiła się do domu ojca. Następca tronu zwykle wychowywał się w willi dziadka, a niekiedy była ona również miejscem jego koronacji. Niektórzy cesarze na stałe pomieszkiwali kątem u teściów!

Łatwo sobie wyobrazić efekty takiego chowu wsobnego. Japońscy kronikarze dyskretnie woleli nie wdawać się we wstydliwe szczegóły, ale wielu dzisiejszych historyków uważa, że niejeden potomek Amaterasu zasiadający na tronie w epoce Heian musiał być niedorozwinięty. Brytyjski historyk Ivan Morris w swojej książce „Świat Księcia Promienistego" za symptomatyczne uznał to, że nieliczni cesarze przejawiający przebłyski własnej woli i inicjatywy za matki mieli kobiety spoza klanu Fujiwara.

Familii udało się do tego stopnia domknąć system i obsadzić wszystkie stanowiska swymi zausznikami (jeden z ówczesnych pamiętnikarzy napisał, że zarządzali Japonią jak własnym folwarkiem), że wszelkie próby wybicia na niezależność z góry skazane były na niepowodzenie. I choć przez większość okresu dominacji Fujiwarów kolejni władcy godzili się z losem marionetek, to nie oznacza to, że niektórzy z nich nie marzyli skrycie o samodzielności. Gdy cesarz Ichijō abdykował, swojemu następcy zostawił pudełko z kilkoma drobiazgami. Po otwarciu znaleziono w nim poemat: „Że orchidee mogą zakwitnąć – taką miałem nadzieję / Ale jesienne wichry zniszczyły je wszystkie / Że czyny cesarza mogą błysnąć w świecie – takie miałem życzenie / Ale ministrowie matacze narobili w kraju zamieszania". Gdy wiersz zobaczył Michinaga, najpotężniejszy przedstawiciel familii (żyjący na przełomie wieków X i XI) wpadł w szał, ponieważ doskonale wiedział, do kogo pije eksmonarcha.



Fujiwara Michinaga

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KIKUCHI YŌSAI

Na rozkaz

Przez trzy dekady faktyczna władza nad Japonią spoczywała w jego rękach, przy czym Michinaga nie bawił się nawet w szukanie konstytucyjnych pretekstów dla utrzymywania takiego stanu rzeczy. Urząd regenta pełnił tylko dwa lata, jeszcze krócej był wielkim ministrem stanu, większość kariery spędził, zajmując nieeksponowane stanowiska. Co nie zmienia faktu, że gdy rozkazywał skakać, to wszyscy – na czele z cesarzem – pytali jak wysoko.

Michinaga wydał za mąż za monarchów aż cztery swoje córki. Rzut oka na jego drzewo genealogiczne wprowadza w konfuzję i uświadamia nam, jak cudaczne efekty potrafiła przynieść matrymonialna polityka klanu Fujiwara. Oto bowiem był on teściem dwóch cesarzy, dziadkiem trzeciego, równocześnie dziadkiem i pradziadkiem (sic!) czwartego oraz dziadkiem i teściem piątego!

Michinaga zapisał się w historii jako najpotężniejszy z Fujiwarów. Ale czy był wybitnym mężem stanu? Został po nim pamiętnik, w którym bez owijana w bawełnę napisał, że pożądał władzy dla samej władzy. Swoje wpływy wykorzystywał w sposób bezwstydny. Kiedy budował dla siebie nową rezydencję, wymusił na namiestnikach prowincji dostarczenie (za darmo!) materiałów i ludzi, a wznoszący gmach robotnicy wdzierali się do willi mieszkających po sąsiedzku arystokratów, by wynosić z nich te elementy konstrukcji, które szczególnie podobały się ich pracodawcy.

Aby klan Fujiwara mógł w ten sposób kontrolować cesarzy, potrzebna mu była duża liczba atrakcyjnych i płodnych panien na wydaniu. W połowie XI w. nastąpiła jednak czarna seria i przez dłuższy czas kolejne dziewczęta z familii umierały młodo lub okazywały się bezpłodne. W efekcie tron zaczął raz za razem przypadać władcom niespowinowaconym z tą rodziną. Co gorsza, w pewnym momencie eksmonarchowie uświadomili sobie, że będąc na emeryturze, mają więcej swobody niż za swoich rządów! Wykorzystując jako bazy klasztory, do których wstępowali po abdykacji, zaczęli rywalizować z Fujiwarami o wpływy.

Ostateczny cios przyszedł spoza stolicy. Na prowincji wykuwała się nowa klasa – wojowniczy właściciele ziemscy. W XII w. samurajowie zobaczyli, jaką dysponują siłą, i sięgnęli po władzę, odbierając ją arystokratom. Ironia losu polegała na tym, że nowy ustrój – szogunat – który w roku 1185 zastąpił stare porządki, został wprowadzony przez samurajski klan Minamoto. W poprzednich wiekach znany był on jako Kły i Pazury Fujiwarów z racji pełnienia funkcji zbrojnego ramienia familii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bba3719406



Hercka Haft

FOT. WIKIMEDIA COMMONS, ADOBE STOCK/12 KREDEK

Druga wojna światowa / Piekło w Neu-Dachs

Niemiecki „targ niewolników”



Sebastian Reńca

17 stycznia 1945 r. esesmani wyprowadzili z jaworznickiego podobozu KL Auschwitz więźniów i pognali ich w kierunku Mysłowic, Katowic, Blachowni i dalej. Na trasie marszu co parę metrów leżał w przydrożnym rowie trup w pasiakach

Wśród tych, którzy szli ośnieżonymi śląskimi drogami, był m.in. urodzony w 1925 r. w Bełchatowie Hercka Haft. Żył, ponieważ przez ostatnie miesiące walczył dla esesmanów na ringu. Walczył za chleb oraz życie. I wygrywał – miał co jeść i mógł dalej żyć. Miał też swego anioła stróża w czapce z trupią czaszką. Znamy tylko jego nazwisko – Schneider. A że w KL Auschwitz-Birkenau i jego podobozach esesmanów o tym nazwisku było wielu, nie sposób ustalić, który z nich opiekował się „Żydowską Bestią” (takie przezwisko nosił w lagrze Haft). Hercka szedł na początku kolumny; Schneider uprzedził innych esesmanów, że nie może mu się stać krzywda, ponieważ pracuje dla niego.

Zanim jednak Hercka Haft trafił do obozu w Jaworznie, przywieziono go do Auschwitz-Birkenau. Stał się tam numerem 144 738.

„Pierwsza noc w Birkenau miała być początkiem najcięższego etapu obozowej gehenny Harry’ego. Następnego dnia mężczyźni zostali skierowani do pracy w krematorium. U ich stóp wyładowywano wozy pełne nagich ciał mężczyzn, kobiet i dzieci przywiezionych wprost z komór gazowych. Mieli je wrzucać do pieca. Harry usiłował nie patrzeć na twarze umarłych, ale nie mógł się powstrzymać – pisał Alan Scott Haft w książce o swym ojcu pt. »Harry Haft. Historia boksera z Bełchatowa«. – Trzeba było dwóch mężczyzn, żeby wrzucić do ognia dorosłego, ale ciałami dzieci Harry miał się zajmować sam. Po raz pierwszy pożałował, że okazał się dostatecznie silny, żeby pracować, a tym samym pozostać przy życiu. Więź, jaką odczuwał z pomordowanymi, sprawiała, że czuł się zarazem martwy i żywy. Nie mógł powstrzymać się od liczenia wrzucanych do pieca zwłok. Woń palonego mięsa towarzyszyła mu nieustannie, nawet po powrocie do baraków”.

Gdy Harry spalił mężczyznę, który przed chwilą oszalał, widząc trupa swojej żony, i zaatakował strażnika, za co został zastrzelony, odmówił następnego dnia pracy w krematorium. O dziwo, nie zginął. Wstawił się za nim esesman Schneider, który wysłał go do pracy w „kanadzie” (w magazynie). Za ocalenie życia Harry „organizował” dla Niemca klejnoty znalezione w ubraniach i bagażach. A gdy w jego pryczy znaleziono ukrytą butelkę, trafił na przesłuchanie, które polegało przede wszystkim na zadawaniu więźniowi tortur. Chłopak nie wydał Schneidera, który wysłał go następnie do podobozu

eprasa.pl bba3719406

w Jaworznie. Tam Harry narodził się jako bokser.



Więźniowie podobozu KL Auschwitz Neu-Dachs

FOT. MUZEUM W JAWORZNIE

Ring w piekle

Podobóz KL Auschwitz Neu-Dachs mieścił się w pobliżu kopalni. Harry fedrował z Polakami, cywilnymi robotnikami. Któregoś dnia dowiedział się, że Schneider, który został przeniesiony do Jaworzna, chce z niego zrobić „gwiazdę". „Dostarczysz rozrywki moim kolegom: oficerom i szeregowym żołnierzom. Zostaniesz bokserem. W niedziele będziemy urządzali walki. Zaczynamy za tydzień przed kwaterą oficerów" – usłyszał Haft.

„Przed siedzibą SS utworzono prowizoryczny ring, wbijając w ziemię cztery drewniane słupki z otworami, przez które przeciągnięto linę. Wokół wytyczonego w ten sposób kwadratowego placu szybko zbierał się tłum. Żołnierze zajmowali miejsca na złożonych z trzech czy czterech rzędów krzeseł trybunach. Jedli, pili, rozmawiali i śmiali się jak podczas prawdziwego sportowego widowiska. Kilku żydowskich więźniów grało na instrumentach strunowych jakąś melodię" – pisał syn Harry'ego.

Osiemnastoletni Harry z łatwością pokonał pierwszego przeciwnika, który dwukrotnie leżał na deskach. W ostatnią niedzielę Haft walczył z sześcioma więźniami. Za każdym razem wygrywał. Tamci przegrali, nie tylko walki, lecz także życie. Nie mieli swych „opiekunów" w czapkach z trupimi czaszkami. Z obozowego szpitala przewieziono ich do Auschwitz, gdzie czekała ich śmierć przez zagazowanie. W takich transportach co miesiąc trafiało do oświęcimskiego obozu 200 więźniów z Jaworzna.

Gdy na przełomie lat 1944 i 1945 do Jaworzna zbliżała się Armia Czerwona, Niemcy wygnali więźniów. Harry przetrwał ten marsz „zebr" – tak właśnie o biedakach w pasiakach eskortowanych przez esesmanów mówili „zwykli Niemcy". W kolejnych obozach udało mu się dożyć do końca wojny. Wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie znów boksował, m.in. z samym Rockym Marciano, który go znokautował.

Ponad pół wieku później w Hollywood powstanie o nim film. Barry Levinson wyreżyseruje obraz zatytułowany „Niepokonany".

Bez wymówek

Ben Foster, przygotowując się do roli Harry'ego Hafta, schudł blisko 30 kg. Nie tylko zrzucił wagę, lecz także słuchał relacji ocalałych, by „nasycić się ich głosami". Aktor zapytany został przez dziennikarza „Guardiana", co myśli o Hafcie – niektórzy uznają go za zdrajcę, ponieważ by przeżyć, walczył dla Niemców na ringu. Foster odpowiedział:

– Myślę, że moim zadaniem w zawodzie aktora jest obrona mojej postaci, a nie szukanie wymówek i niekoniecznie rozplątywanie węzła etycznej dwuznaczności. James Cagney ma trafne zdanie na temat naszej pracy – aktorów: trzeba twardo stąpać po ziemi i mówić prawdę, a prawda wcale nie jest taka prosta ani wygodna.

I dalej Foster mówił w tym samym wywiadzie:

– Nie ma prostej odpowiedzi na to, przez co przeszedł Harry. Przeżył i zrobił to z miłości, i chciał zobaczyć swoją ukochaną, dziewczynę, którą kochał. To ciekawe, słuchałem godzinami relacji świadków Holokaustu i to było w nich zawarte. W dużej mierze to była nadzieja na zobaczenie kogoś, kto być może odszedł, i wyobrażona nadzieja, że znów będą razem. Chcę tylko zobaczyć mojego syna. Chcę tylko zobaczyć moją żonę.

Ukochana Hafta miała na imię Leth i tak jak on była z Bełchatowa. Harry odnalazł ją w USA dopiero na początku lat 60. Moment, gdy się spotkali, tak opisał syn boksera: „Leth i ojciec patrzyli na siebie i płakali. Mój ojciec był najtwardszym facetem na świecie, nigdy wcześniej nie widziałem go płaczącego. A teraz stał i szlochał".

Ben Foster w ramach przygotowań do filmu odwiedził były niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny Auschwitz-Birkenau. Zapytany o to, jaki wpływ wywarło na niego to miejsce, chwilę zastanowił się nad odpowiedzią:

– Musiałem położyć ręce na poręczach i nasłuchiwać... Widzisz te stosy dziecięcych bucików, widzisz stosy ludzkich rzeczy, ich szczoteczki do zębów. Stają się one przedmiotami, które wymykają się wszelkim myślom.

Foster nie był w Jaworznie, ponieważ praktycznie nie ma tam śladu po podobozie KL Auschwitz Neu-Dachs. Zresztą mało kto o nim wie. Większości osób



Ben Foster jako Harry (Hercka) Haft w filmie „Niepokonany" Barry'ego Levinsona

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl bba3719406



Selekcja na rampie obozu Auschwitz

FOT. BERNHARD WALTER/YAD VASHEM

interesujących się historią obóz w Jaworznie kojarzy się w okresem powojennym i jednym z jego komendantów – Salomonem Morelem.

– Do dnia dzisiejszego z pierwotnego obozu zachował się układ drogi, która przebiegała przez teren Neu-Dachs i prowadziła od bramy do końca zabudowań, w części obozu przeznaczonej dla więźniów. Mniej więcej w połowie tej drogi była brama oddzielająca część baraków dla więźniów od terenów zaplecza – mówi Przemysław Dudzik, dyrektor Muzeum Miasta Jaworzna. – Dziś stoi tu obelisk z wizerunkiem tej bramy, w otoczeniu kilku słupów, które ustawiono w czerwcu 1943 r. Słupy te przeniesiono z linii ogrodzenia kilka lat temu. Opodal znajdowały się murowane budynki warsztatów i garaży, z uwagi na ich stan zostały wykorzystane w procesie rozbudowy na potrzeby nowych działalności gospodarczych. Obiekty te nie były objęte żadną formą ochrony konserwatorskiej.

Relacje polskich więźniów tego niemieckiego obozu zachowały się w Żydowskim Instytucie Historycznym, Instytucie Pamięci Narodowej oraz oczywiście w Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. Jednak żaden z nich nie napisał książki wspomnieniowej o tym miejscu. Takie książki zostały wydane nie tylko w USA, lecz także w dawnej Czechosłowacji oraz we Francji.

Gnomy, które uciekły z piekła

Henry Bulawko został aresztowany w Paryżu w listopadzie 1942 r. Powód? Rzekome ukrywanie gwiazdy Dawida, którą miał zakryć trzymaną książką i płaszczem przeciwdeszczowym. Przez obóz przejściowy w Drancy, gdzie – jak pisał w swoich wspomnieniach – przeczytał „Cichy Don" Michaiła Szołochowa, w lipcu 1943 r. trafił w jednym z transportów do Auschwitz-Birkenau. Pociąg wyruszył z Francji 18 lipca. Był to transport oznaczony numerem 57. W kierunku okupowanej Polski wieziono w nim tysiąc osób – zarówno kobiet, dzieci, jak i mężczyzn.

Pociąg dojechał na miejsce 20 lipca 1943 r. Jak pisał Bulawko, po otwarciu wagonów on i jego współtowarzysze zobaczyli dziwne postaci w pasiastych ubraniach, które swym zachowaniem przypominały „straszne gnomy, które uciekły z piekła", a za nimi esesmanów z bronią i ujadającymi owczarkami niemieckimi. Krzyki i bicie.

Po selekcji do obozu skierowano 191 kobiet (kilkadziesiąt z nich trafiło do bloku 10 – doświadczalnego) oraz 369 mężczyzn. Wśród nich był 25-letni Bulawko. Tego dnia od razu zgładzono 440 osób z francuskiego transportu. Ci, którzy przeżyli, poszli za radą więźniów, którzy pracowali przy transporcie i szeptem mówili im, by pytani przez Niemców o zawód mówili, że są np. krawcami, bo „bezużyteczni", jak kupcy czy bankierzy, na pewno pójdą na śmierć.

W baraku Bulawko doznał kolejnego szoku, gdy kapo, który tak jak on był Żydem, zaczął swą przemowę od słów: „Skur..syny, zamknijcie gęby, kiedy mówię, że ma być cisza!". Bulawko nie rozumiał: przecież ten człowiek nie jest z SS, więc dlaczego tak krzyczy i bije? Kapo dalej przemawiał: „Ja tu rządzę i każdy, kto nie jest mi posłuszny, nie przetrwa długo. Musicie pracować i słuchać poleceń. Dla więźniów krnąbrnych mamy specjalne komando, niebiańskie komando. Krematorium, dym i anioły".

Bulawko i inni nowi więźniowie w końcu zrozumieli, dokąd trafili. Po kilku dniach przewieziono go, wraz z innymi więźniami, do Jaworzna. W Neu-Dachs było podobnie jak w Auschwitz. Praca, bicie, marne jedzenie. Ale była jedna zasadnicza różnica: w podobozie nie było ani komory gazowej, ani krematorium. Żeby pozbyć się trupów, raz w tygodniu przyjeżdżała po nie ciężarówka z Oświęcimia.

Obóz powstał z inicjatywy niemieckiej spółki energetycznej Energieversorgung Oberschlesien A.G. (EVO), która budowała elektrownię „Wilhelm", rozbudowywała elektrownię „Fryderyk-August" oraz nadzorowała wydobycie węgla w pobliskich kopalniach.

Wątpliwy awans

Francuski Żyd poczuł się pierwszego dnia jak na targu niewolników. Jemu i innym nowo przybyłym więźniom stojącym na placu kazano rozebrać się do naga. Następnie zaczęli ich oglądać esesmani w towarzystwie cywilów, którzy dotykali mężczyzn, oceniali ich mięśnie oraz siłę ich ramion, wymieniając się spostrzeżeniami na ten temat. Najsilniejsi od razu trafili do kopalni.

Początkowo Bulawko pracował przy rozbudowie obozu, m.in. stawiał kolejne baraki. Jednak szybko został mianowany Vorarbeiterem. Po latach napisał, że najwyraźniej esesman musiał uznać, iż wie, jak używać kija. Francuz był funkcyjnym przez osiem dni. Jego obowiązki polegały na prowadzeniu komanda do pracy w kopalni, a po szychcie na przyprowadzeniu więźniów do obozu. Gdy esesmani zobaczyli, że więźniowie nie słuchają się go, a on nie potrafi wymusić posłuszeństwa biciem, zdegradowali go, pobili i wysłali do pracy w elektrowni, gdzie niemieccy cywile będący majstrami nie szczędzili więźniom obelg i razów. „Nasze warunki pracy są mniej więcej takie same jak wolnych pracowników, z tą różnicą, że tych drugich się nie bije; mogą najeść się do syta i odpocząć bez obawy, że zostaną zabici na miejscu. My musimy przetransportować w sześć osób belkę lub szynę, którą pracownicy cywilni transportują w osiem lub dziesięć osób" – wspominał Bulawko.

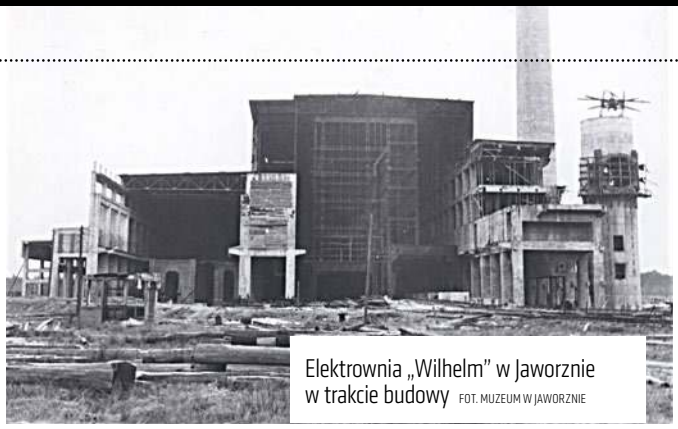
Szybko w słowniku Bulawki pojawia się słowo „organizacja". Zasada znana z niemal wszystkich wspomnień więźniów niemiec-



Henry Bulawko

FOT. USHMM

eprasa.pl bba3719406



Elektrownia „Wilhelm" w Jaworznie w trakcie budowy FOT. MUZEUM W JAWORZNIE

kich kacetów. Chodziło o dwie sprawy: organizowanie lepszej roboty i załatwianie dodatkowego jedzenia. Ciężka praca oznaczała większe prawdopodobieństwo śmierci. Natomiast ciężka praca i głód równały się pewnej śmierci. Żeby przeżyć, należało unikać jednego i drugiego. Bulawko do najlepszych organizatorów zaliczał Greków, którzy potrafili np. ukraść pełną miskę psa, który był tak nażarty, że jej nie tknął, ale gdy chcieli zabrać mu ją ludzie, rzucał się na nich.

Jedynym esesmanem w Jaworznie, który miał psy – dwa owczarki niemiecki – był SS-Rottenführer Paul Kraus, który nazywany był przez więźniów „Łapka" lub „Rączka" z powodu braku kilku palców u lewej ręki. Esesman chodził po obozie z psami i często szczuł nimi więźniów.

Na przełomie lat 1943 i 1944 Bulawko trafił do obozowego lazaretu. Przebywał w nim kilka tygodni i – jak pisał – mogło mu to ocalić życie. Poznał tam Leona Steinberga, Żyda z Sosnowca o blond włosach. „Byłem w sali, którą Leon się opiekował. Pewnego dnia usłyszałem, jak nuci hebrajską piosenkę, i zacząłem ją nucić razem z nim. Szpital, do którego nie mieli wstępu esesmani, z wyjątkiem lekarzy, wyglądał jak niebiańska przystań pośród morderczego piekła Jaworzna" – wspominał Bulawko, który od razu zaprzyjaźnił się ze Steinbergiem. W czasie jednej z selekcji chorych więźniów Leon ukrył Henry'ego w latrynie i okłamał esesmanów, że na sali są wszyscy więźniowie. Z czasem Steinberg stał się łącznikiem pomiędzy francuskimi więźniami a polskim ruchem oporu w obozie.

Bulawko do końca życia opowiadał o niemieckim obozie. Zmarł w 2011 r. w wieku 93 lat.

Jak na targu niewolników

Czechosłowacki komunista Miloš Nový trafił do KL Auschwitz wcześniej niż Bulawko, bo 30 kwietnia 1943 r. W połowie czerwca Nový stał z innymi więźniami na obozowym placu, a SS-Hauptsturmführer dr Horst Fischer wybierał tych, którzy pojadą do nowego podobozu w Jaworznie. Był tam również SS-Untersturmführer Bruno Pfütze, komendant podobozu Neu-Dachs. Czech, tak jak Francuz, również kojarzył tamten moment w życiu obozowym z targiem niewolników.

Nový pisał w swej książce „Návrat nežádoucí", że Pfütze „zjawił się skoro świt, aby sprawdzić swój »towar« przed wyjazdem, jak na średniowiecznym targu niewolników. Ponieważ chodziło o budowę nowego obozu, interesowali go głównie murarze, cieśle, stolarze, ślusarze, elektrycy i inni fachowcy. Ci wykwalifikowani robotnicy byli przeważnie Czechami i Polakami, natomiast do najcięższych prac ziemnych, przy kopaniu rowów, planowaniu i transporcie materiałów, wyznaczano wyłącznie Żydów". Wyjazd nastąpił 15 czerwca 1943 r. po południu. Był to pierwszy transport więźniów do obozu w Jaworznie.

Codzienność w obozie oznaczała nieustanne krzyk i bicie. Nový zapisał, że więźniowie cierpieli nie tylko przez esesmanów, kapo i Vorarbeiterów, „ale nade wszystko od Lagerältestera Brodniewicza, więźnia numer 1, rodowitego poznaniaka". Bruno Brodniewicz nie był jedynym sadystą w Jaworznie. Nový zapamiętał, że gdy na początku lipca do obozu przywieziono transport greckich Żydów, kapo Hieronim Sakowski tylko w ciągu jednego dnia zabił dziewięciu z nich.



Pomnik na terenie, na którym znajdował się podobóz KL Auschwitz Neu-Dachs FOT. COMMONS WIKIMEDIA/HANZO HATTORI

Wśród największych sadystów, którzy byli więźniami funkcyjnymi, Nový wymienia też oberkapo Zigmunda Kittela. Czech pisał, że ten Polak z pochodzenia, który niemal słowa nie znał po niemiecku, po podpisaniu volkslisty stał się Niemcem, który pastwił się nad wszystkimi więźniami, bez względu na ich narodowość. Wyróżniał się tym, że był „zawsze starannie wystrojony, w lśniących oficerkach i z pedantycznie wydepilowanymi brwiami (w samym środku obozu koncentracyjnego!)". W swym chorym umyśle Kittel uważał, że biciem więźniów zwróci na siebie uwagę kobiet, które nie były więźniarkami, ale pracowały w kopalni. Zdarzało się, że kiedy pobity więzień już leżał na ziemi, Kittel skakał po nim.

Miloš Nový pisał, że praca w kopalniach była straszna i ponad siły wyczerpanych i niedożywionych więźniów, którzy nigdy wcześniej nie mieli nic wspólnego z fedrowaniem. Ponadto „odsetek wypadków […], złamań rąk, nóg, stłuczeń i innych urazów był również bardzo wysoki, podobnie jak przypadków zatrucia gazem kopalnianym" – wspominał Czech. I dodawał: „Wyposażenie i ubrania więźniów pracujących w kopalniach były skrajnie niewystarczające: jedna para bielizny, w której więzień pracował w kopalni, a potem w tej samej spał w bloku (!), płócienny drelich, żadnego swetra nawet zimą, płócienne buty z drewnianą podeszwą". A przecież górnicy więźniowie musieli na dole stać po kolana w wodzie. Odzież, buty i bielizna nigdy nie wysychały, ponieważ w bloku nie wolno ich było suszyć.

Nový, tak jak Haft i Bulawko, przeżył marsz śmierci z Jaworzna i przetrwał następne miesiące w niemieckich obozach, do których trafił. Wolność, w postaci amerykańskich żołnierzy, nadeszła w Buchenwaldzie 11 kwietnia 1945 r. „Więźniowie padali sobie w ramiona, całowali się, nikt nie wstydził się łez. Nawet starsi mężczyźni płakali z radości" – pisał Nový.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bba3719406

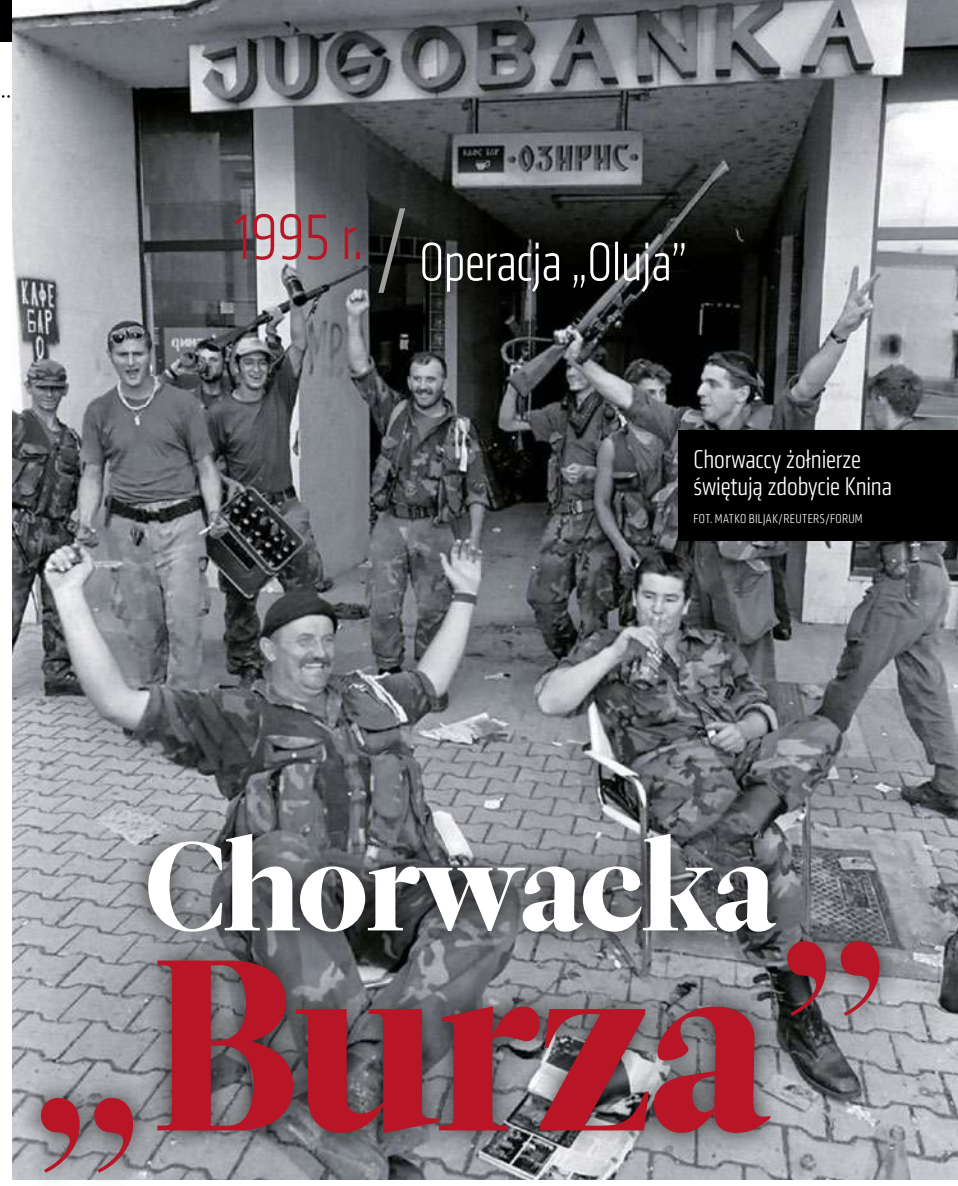


Sławomir Koper

1995 r. / Operacja „Oluja”

Chorwacka „Burza”

Latem 1995 r. Chorwaci postanowili siłą rozstrzygnąć spór o Krajinę. Tamtejsi Serbowie apelowali do rządu w Belgradzie, ale ich błagania spotkały się z milczeniem. Sami musieli się zmierzyć z operacją „Oluja”



Chorwaccy żołnierze świętują zdobycie Knina
FOT. MATKO BILJAK/REUTERS/FORUM

Ekspansja turecka na Bałkanach zadecydowała o powstaniu Pogranicza Wojskowego (Vojna Krajina) zamieszkiwanego przez uciekinierów spod władzy półksiężyca. Była to ludność mieszana etnicznie, a do oddziałów trafiali ludzie o rozmaitych umiejętnościach i doświadczeniu. W miejscowościach nadmorskich sprawnie budowali jednostki morskie zabierające do 50 wioślarzy – wojowników uzbrojonych w broń strzelecką i białą. Nazywano ich uskokami, gdyż zbiegli (uskoczyli) z terenów islamskich. Łodzie uskoków, przypominające kozackie czajki, szybko stały się postrachem Adriatyku.

Analogia do Kozaków z kresów dawnej Rzeczypospolitej nie jest przypadkowa – uskocy prowadzili podobny tryb życia jak mieszkańcy Dzikich Pól. Tak jak oni znajdowali się w stanie permanentnej wojny z imperium osmańskim i utrzymywali się z tego, co sami zdobyli. Uznawali luźne zwierzchnictwo władz z Wiednia, ale nie zwracali uwagi na rozkazy wydawane przez dowódców niepochodzących z ich wyboru. A że zamieszkiwali pogranicze, przylgnęła do nich nazwa graniczarów.

Kres ich świetności przyniosły austriackie zwycięstwa nad Turcją. W 1754 r. cesarzowa Maria Teresa ograniczyła swobody uskoków. W zmienionej sytuacji politycznej pogranicze przestało spełniać dotychczasową funkcję i bitnych graniczarów przeznaczono do innych zadań: tłumili powstania w obrębie monarchii, walczyli również na innych frontach. Zlikwidowano dawny samorząd, ale przetrwała wolność religijna i osobista.

Zniesienie pańszczyzny w 1848 r., powstanie konstytucyjnych i dualistycznych Austro-Węgier (1867) oraz wprowadzenie powszechnej służby wojskowej (1868) zadecydowały o losach Pogranicza Wojskowego. Region stał się anachronizmem i w 1871 r. zapadła decyzja o demilitaryzacji prowincji i Pogranicze Wojskowe połączono z Chorwacją i Slawonią.

Pod koniec XIX w. ludność prawosławna na terenie Pogranicza Wojskowego stanowiła 47 proc. mieszkańców. Dane nie były jednak kompletne, nie obejmowały bowiem ludności prawosławnej uznającej zwierzchnictwo Rzymu ani małżeństw mieszanych. Obszar osadnictwa graniczarów sięgał aż do Adriatyku i Kvarneru, a przy granicy z Bośnią przewaga ludności prawosławnej była zdecydowana. Tereny zamieszkiwane przez Serbów chorwackich przylegały do prawosławnych enklaw w Bośni i tworzyły serbską wyspę w środku przyszłej Jugosławii. Czasy królestwa Karadjordjeviciów i druga wojna światowa namnożyły wzajemne krzywdy, które za czasów komunistycznych rządów Josifa Broza-Tity pozostawały w uśpieniu.

Rewolucja kołków

Według spisu z 1981 r. ludność prawosławna stanowiła ponad 70 proc. tamtejszej populacji, a enklawa przylegała do terenów zamieszkanych przez Serbów bośniackich. Miało to określone kon-

eprasa.pl bba3719406

sekwencje, które ujawniły się w chwili rozpadu Jugosławii.

Ryszard Bilski, autor książki „Kocioł bałkański", ciekawie zilustrował sytuację etniczną na pograniczu chorwacko-bośniackim. Stosunki narodowościowe porównał do znanej na tych terenach potrawy zwanej bośniackim garnkiem. Przepis jest prosty. Rozmaite składniki należy włożyć do jednego naczynia, zalać wodą i gotować na dużym ogniu pod szczelnym przykryciem. Ciśnienie rośnie, para nie ma ujścia. Gdy zmarł Broz-Tito, zabrakło człowieka dociskającego pokrywkę garnka, a kryzys gospodarczy z lat 80. zwiększył płomień pod naczyniem i gwałtowny wybuch pozostawał wyłącznie kwestią czasu.

Bieda sprzyja nacjonalizmowi – Serbowie z Krajiny nie chcieli podlegać Chorwacji i gdy w 1990 r. miejscowi liderzy przybyli do Belgradu, ówczesny prezydent Serbii, Slobodan Milošević, przedstawił plan secesji. Jego autorem był federalny minister spraw wewnętrznych – człowiek odpowiedzialny za porządek w Jugosławii. Mieszkańcy mieli zdobyć broń myśliwską (część dyskretnie dostarczono z Belgradu) i zablokować drogi. Zwalone drzewa i stojące w poprzek ciężarówki tworzyły barykady uniemożliwiające transport kołowy.

W kwietniu i maju 1990 r. w Chorwacji odbyły się wybory parlamentarne i samorządowe. Zdecydowane zwycięstwo odniósł blok prawicowy z Franjem Tudjmanem na czele, co dla Serbów z Krajiny było ostatnim sygnałem do secesji. Termin wystąpienia wybrano starannie. W sierpniu w Splicie rozgrywano mistrzostwa Europy w lekkiej atletyce, jednocześnie trwał sezon turystyczny i na wybrzeżu dalmatyńskim wypoczywały tłumy turystów zagranicznych. Gdy w Krajinie pojawiły się barykady, zapanowała ogólna konsternacja. Serbowie po demonstracji siły odblokowali drogi, ale nikt w Zagrzebiu nie miał wątpliwości, że za rebelią w Krajinie stoją politycy z Belgradu.

Chorwacka telewizja wyemitowała animowane filmy propagandowe sugerujące, że zamieszanie spowodowała banda pijanych Serbów. Pojawiło się nawet określenie „rewolucja kołków" – aluzja do materiału użytego przy budowie barykad i poziomu umysłowego uczestników zajść. W rzeczywistości nikt nie miał złudzeń, że rozpoczęła się walka o niepodległość i integralność Chorwacji.



Franjo Tudjman

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARK REINSTEIN, TPORTAL.HR

Bojówki Marticia

22 grudnia 1990 r. parlament chorwacki uchwalił nową konstytucję, inne nacje zostały zepchnięte do roli mniejszości narodowych. Serbowie z dnia na dzień stali się obywatelami drugiej kategorii, toteż na wiosnę liderzy z Krajiny przystąpili do akcji. Bojówki pod wodzą sierżanta milicji Milana Marticia przejęły broń z magazynów i wyznaczyły granice Serbskiego Okręgu Autonomicznego. 31 marca siłą zajęto gmach dyrekcji Parku Narodowego w Plitvicach, a w strzelaninie zginęli jeden Serb i jeden Chorwat. 25 maja referendum w Chorwacji przyniosło przytłaczający sukces zwolennikom oddzielnego państwa (94 proc. poparcia) i miesiąc później parlament w Zagrzebiu ogłosił niepodległość kraju.

W lipcu na teren Krajiny wkroczyły siły jugosłowiańskiej armii federalnej wspierane przez lokalne bojówki. Chorwatom zakazano pobytu na terenie okręgu autonomicznego, a w ciągu kilku miesięcy została opanowana cała prowincja. Serbowie siłą usuwali Chorwatów, dochodziło do morderstw, gwałtów i rabunków. Około 200 tys. Chorwatów opuściło domy i uciekło na północ. Na ich miejsce napłynęło prawie 100 tys. Serbów z Bośni. Chorwacja utraciła czwartą część terytorium, ale gorsze od strat terytorialnych były skutki ekonomiczne.

W rękach Serbów znalazły się główne drogi prowadzące do Dalmacji i dojazd do najważniejszych terenów turystycznych (Split, Makarska, Hvar, Dubrownik) został sparaliżowany. Jeszcze gorsze efekty przyniosły zablokowanie transportu do portu Ploče koło Dubrownika oraz przejęcie kontroli nad rurociągiem naftowym. Państwo chorwackie nie mogło istnieć bez turystyki, handlu morskiego i paliwa. Chorwaci wprawdzie ewakuowali Krajinę, ale uważali, że to wyłącznie przejściowe ustępstwo. Nie mieli wyjścia – armia federalna górowała nad nimi liczebnością i wyposażeniem, a sytuację pogorszyło wprowadzenie przez ONZ embarga na dostawy broni do krajów byłej Jugosławii. Dla Serbów nie miało to większego znaczenia, natomiast Chorwaci musieli się posiłkować nielegalnymi zakupami.

W lutym 1992 r. w Krajinie pojawiły się pierwsze oddziały błękitnych hełmów, ale obecność sił ONZ wcale nie oznaczała zawieszenia broni. Wraz z atakiem na Bośnię dążący do rozstrzygnięcia Serbowie rozpoczęli ostrzał chorwackiego wybrzeża, który z przerwami trwał do końca roku. Chorwaci nie pozostawali dłużni i co chwila dochodziło do wymiany ognia. Taka sytuacja trwała przez trzy lata.



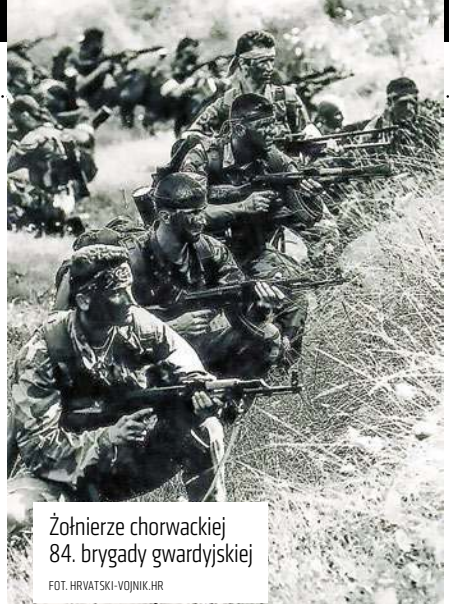
Milan Martić

FOT. FACEBOOK.COM/ HRVATSKA POVIJEST

Atak o świcie

Zagrzeb starannie przygotował uderzenie na Krajinę. Oddziały bośniackich Chorwatów zaatakowały tereny przylegające do granicy republiki, kolejno zdobywano górskie szczyty dominujące nad stolicą Krajiny, Kninem, aż wreszcie obsadzono masyw Dinara.

eprasa.pl bba3719406



Żołnierze chorwackiej 84. brygady gwardyjskiej

FOT. HRVATSKI-VOJNIK.HR

Pod ogniem artylerii znalazły się drogi łączące Krajinę z enklawami serbskimi w Bośni. Serbowie złożyli kategoryczny protest w Zagrzebiu, ale Tudjman miał wyśmienite alibi. To przecież bośniaccy Chorwaci strzelali przez granicę, a nie armia podległa Zagrzebiowi. Knin znalazł się w potrzasku, zdany na łaskę i niełaskę Chorwatów, ale Tudjman musiał się spieszyć, by wykorzystać sprzyjającą koniunkturę polityczną. Wiedział, że ze strony społeczności międzynarodowej spotkają go sankcje, ale okazja do odebrania Krajiny była najlepsza z możliwych.

Dzięki masowym zakupom broni osiągnął przewagę militarną, a 200 tys. chorwackich uciekinierów stanowiło potężne lobby w stolicy. Artyleria chorwacka mogła w każdej chwili rozpocząć ostrzał stolicy Krajiny. Liderzy z Knina odrzucali porozumienie opracowane przez europejskich ekspertów. Serbskie państewka w Krajinie i Bośni połączyły się w jedno mimo protestów Zachodu. Taka szansa mogła się więcej nie powtórzyć. Na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych przedstawiciel Chorwacji oficjalnie zaprzeczył pogłoskom na temat przygotowywanej ofensywy, ale w konflikcie jugosłowiańskim wszystkie strony składały fałszywe deklaracje. Tudjman wiedział, że liczą się tylko fakty dokonane, i wydał rozkaz do ataku.

O świcie 4 sierpnia 1995 r. ruszyła chorwacka ofensywa „Oluja" („Burza"). Sto tysięcy żołnierzy wspomaganych przez czołgi i lotnictwo wdarło się na tereny serbskie. Atakowano z dwóch stron – od Zagrzebia (oddziały pancerne) i z terenu Bośni. Po dwóch dniach serbska enklawa została przecięta na pół, a w ręce Chorwatów dostał się Knin. Armia Krajiny stawiała zadziwiająco słaby opór, chociaż na chorwackie miasta ponownie odpalono rakiety. Szczególnie mocno zaatakowano zabytkowy Szybenik, lecz był to tylko gest rozpaczy. Aktywność większości oddziałów ograniczyła się wyłącznie do zabezpieczenia drogi ucieczki dla ludności cywilnej. Tam, gdzie Serbowie zdecydowali się walczyć, Chorwaci mieli trudniejszą przeprawę. 9 sierpnia padł ostatni punkt serbskiego oporu – Drvar nad Uną. Krajina wróciła pod władzę Zagrzebia.

Chorwacki atak spotkał się z paniczną reakcją ludności cywilnej, Serbowie masowo rzucili się do ucieczki, zabierając ze sobą najcenniejszy dobytek. W kierunku Bośni ciągnęły rzesze uchodźców poruszających się samochodami, traktorami, a nawet wozami konnymi. I chociaż chorwackie władze zapewniały, że cywilom nic nie grozi (z wyłączeniem zbrodniarzy wojennych), to nikt nie chciał czekać na zwycięzców. Obawiano się zemsty za czystki etniczne i wysiedlenie tysięcy chorwackich mieszkańców enklawy. Pamiętano o rozstrzelaniu kilkuset rannych mężczyzn ze szpitala w Vukovarze oraz o masowych zbrodniach popełnionych na bośniackich Chorwatach. Panika była tym większa, że za oddziałami regularnej armii chorwackiej szły formacje utworzone z uciekinierów z Krajiny. Serbowie woleli nie czekać na żądnych zemsty byłych sąsiadów i w ciągu kilku dni zbiegło ponad 200 tys. ludzi. Krajina przestała być serbskim terytorium, do prowincji napłynęli chorwaccy wygnańcy i uciekinierzy z Bośni.



Tytuł z chorwackiej gazety: „Nie ma już tzw. Krajiny!" i znaczek upamiętniający zdobycie Knina

FOT. VEČERNJI LIST

Milczenie Miloševicia

Relacje dziennikarskie koncentrowały się na przypadkach grabieży, mordów i tragedii ludności cywilnej. Wzajemna nienawiść spowodowała, że nie obyło się bez samosądów, a ich ofiarą padali najczęściej ludzie starsi, którzy nie chcieli opuszczać rodzinnych stron. Odnotowano ataki lotnicze i artyleryjskie na kolumny uchodźców, napastnicy rabowali, palili, gwałcili kobiety. Dowódcy chorwaccy starali się zachować karność, ale nie zawsze potrafili utrzymać w ryzach swoich podkomendnych. Mimo kategorycznego zakazu zdarzały się przypadki wykorzystywania sił ONZ jako żywych tarcz. Trzech żołnierzy UNPROFOR (Duńczyków) zginęło w trakcie natarcia Chorwatów. Było to bardzo kłopotliwe dla Zagrzebia – chorwaccy politycy mieli i tak wystarczająco dużo problemów.

Natychmiast po rozpoczęciu natarcia Francja, Włochy, Wielka Brytania, Niemcy i Rosja potępiły Chorwację, natomiast swoje błogosławieństwo dał Waszyngton, co wywołało konsternację w szeregach NATO. Bill Clinton uznał, że z Serbami można rozmawiać tylko przy pomocy siły, ale lepiej, żeby zrobili to sami Chorwaci. Logiczną kontynuację tej polityki stanowiły późniejsze naloty na Jugosławię w obronie kosowskich Albańczyków.

Bezpośrednio po zdobyciu Knina pojawił się tam osobiście prezydent Tudjman. Oficjalnie ogłosił powrót enklawy do Chorwacji i koniec samozwańczej Republiki Serbskiej. Atmosferę radosnego święta przyćmił tylko apel arcybiskupa Zagrzebia proszącego krajanów o zaniechanie gwałtów i rabunku.

Podczas chorwackiej ofensywy Bel-

eprasa.pl bba3719406

grad prowadził wyjątkowo pasywną politykę. Od pewnego czasu w przemówieniach Miloševicia nieobecna była zresztą wielkoserbska retoryka. Prezydent Serbii nabrał wody w usta, w ogóle nie wspominał o Tudjmanie, co wcześniej mu się nie zdarzało. I gdy Chorwaci zdobywali Krajinę, a kraje europejskie głośno protestowały – Belgrad milczał. O pomoc apelował szef krajińskiego MSZ, jednak nie otrzymał odpowiedzi. Gdy wreszcie w Belgradzie doszło do protestów, rząd Jugosławii (po trzech dniach) skrytykował zachodnioeuropejskie demokracje za to, że nie zapobiegły chorwackiej inwazji. Ta zadziwiająca wypowiedź została poparta mobilizacją, ale wojska wysłano wyłącznie na granice kraju. Ani razu nie wspomniano o możliwości pomocy militarnej dla Krajiny, a wszelkie złudzenia rozwiał rzecznik chorwackiego MSZ gen. Ivan Tolj. Apelując do Serbów z Krajiny, poprosił o zaprzestanie oporu. Stwierdził, że nikt im nie przyjdzie z pomocą, gdyż są tylko drobną monetą w serbsko-chorwackich rozliczeniach…

Los enklawy przesądziły ostatecznie rokowania w Dayton – terytorium zostało przyznane w całości Chorwacji. Zwycięzcy zagwarantowali prawo do powrotu wygnańcom serbskim, wiedząc jednak, że wróci tylko znikoma ich liczba. Rok później rząd z Zagrzebia zorganizował uroczyste obchody pierwszej rocznicy odzyskania Krajiny. Ukoronowaniem imprezy był bieg ultramaratoński z Biogradu do Knina. Setki uczestników pokonały nocą 90 km, by na mecie stanąć przed obliczem Tudjmana. Trudno się oprzeć wrażeniu, że przypominało to nieco uroczystości z czasów marszałka Broza-Tity.

Zanim w Chorwacji wybudowano autostrady, dla turystów ciągnących tłumnie do Dalmacji Krajina przedstawiała koszmarny widok. Inaczej odbieramy ślady wojny na ekranie telewizora, inaczej – widząc je na własne oczy. Zniszczone domy, opuszczone wsie, napisy informujące o zaminowaniu terenu. Wszystko na tle pięknych krajobrazów i wspaniałej przyrody. Co najmniej 200 tys. Serbów opuściło na zawsze ziemię ojców.



Serbowie uciekają z Krajiny

FOT. SRPSKA-MREZA.COM/KRAJINA

Bez nich duże obszary prowincji jeszcze długo będą straszyły pustką.

Ciągła nienawiść

Wydawać by się mogło, że tyle lat po zakończeniu wojen bałkańskich, gdy Chorwaci weszli do NATO i Unii Europejskiej, a Serbowie kandydują do udziału we wspólnym rynku, rany zadane podczas walk będą się zabliźniać. Nic bardziej mylnego. Po części wpłynęła na to inwazja Putina na Ukrainę. Serbowie zawsze byli prorosyjscy – zarówno ze względu na religię, jak i sentymenty z przeszłości, gdy carska Rosja miała wyzwolić ludy bałkańskie spod jarzma tureckiego. Natomiast Chorwaci prezentują orientację zachodnią z powodu dawnej przynależności do monarchii Habsburgów i wyznawania katolicyzmu.

W 2023 r., dzień przed rocznicą operacji „Burza", serbska telewizja RTS wyemitowała film fabularny „Oluja" nakręcony przez Miloša Radunovicia. Oficjalnie obraz miał beznamiętnie pokazać „prawdę o wypędzeniu 250 tys. Serbów z Krajiny". Twierdzono również, że film jest pozbawiony akcentów politycznych. Oczywiście było inaczej – reżyser przedstawił bezwzględnych chorwackich morderców, którzy napadli na miłujących pokój Serbów mieszkających w pobliżu Knina. Podwładni Tudjmana chcieli tylko mordować, gwałcić i rabować spokojnych cywilów.

Symptomatyczne, że do roli jednego z najbardziej okrutnych Chorwatów zatrudniono serbsko-duńskiego aktora, Slavka Labovicia, który nawet bez charakteryzacji wygląda jak zawodowy zabójca na usługach gangsterów. Czarno-biała narracja jest serwowana widzom przez większość filmu. Na chorwackich czołgach powiewają państwowe flagi, a ich załogi strzelają z karabinów maszynowych do bezbronnych cywili. Oczywiście jednoznacznie pozytywnymi bohaterami są krajińscy Serbowie, a szczególnie pewna zaawansowana wiekowo dama, która prowadzi ogień z pistoletu maszynowego do najeźdźców (?), a następnie wykonując akrobatyczny skok, chowa się w ziemiance.

Natrętna propaganda była widoczna we wszelkich produkcjach historycznych, czego nie brakuje także w polskich filmach. Szkoda tylko, że seanse „Olui" stały się obowiązkowe dla uczniów serbskich szkół. Nie rokuje to dobrze na przyszłość…

Warto pamiętać, że niespełna cztery lata po operacji „Burza" Serbia stała się jedynym europejskim krajem, na który wojska NATO zrzucały bomby. Nie był to przypadek.



Podpisanie układu w Dayton

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/NATO

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

BIBLIOGRAFIA:

Bilski R., ***„Kocioł bałkański";*** *Jędrysik M., Warszawski D.,* ***„Wojna w Chorwacji, Polacy na linii ognia",*** *„Gazeta Wyborcza" 181/1995;* ***„Klęska Serbów",*** *„Gazeta Wyborcza" 182/199; Kuczyński M.,* ***„Krwawiąca Europa",*** *Warszawa; Milla S.,* ***„U filmu »Oluja« Hrvati su prikazani kao zločinci bez ikakvih emocija, a hrvatskog vojnika glumi srpski nacionalist", „Večernji list".***

eprasa.pl bba3719406



1939 r. / O początkach konspiracji, która stała się światowym fenomenem

Warszawa, skrzyżowanie ulic Nowy Świat i Świętokrzyskiej, zima 1940 r. FOT. NAC

Służyć zwycięstwu Polski



Marek Gałęzowski

Pierwszy etap w tworzeniu nie tylko podziemnego wojska, lecz także Polskiego Państwa Podziemnego rozpoczął się w chwili decyzji o poddaniu Warszawy

Znika natomiast Tokarzewski. Wszyscy to rozumieją, żegnają się z nim, krótki uścisk dłoni" – zapisywał ppłk Wacław Lipiński pod datą 27 września 1939 r., ostatniego dnia obrony Warszawy. To usunięcie się w cień oficera, który do sztabu obrony stolicy dołączył zaledwie kilka dni wcześniej, przedarłszy się wprost z pola bitwy nad Bzurą, miało swój symboliczny wymiar. Oto ponownie przechodził do konspiracji ten, który blisko 30 lat wcześniej współtworzył inną, mającą na celu zerwanie zaborczych kajdan i wybicie się Polski na niepodległość. Jeden z tych, dzięki którym w listopadzie 1918 r. powstała ona – by żyć.

Z mandatu Rzeczypospolitej

Obrona stolicy przed Niemcami jeszcze trwała, gdy do miasta przybył samolotem z Rumunii mjr Edmund Galinat, szczęśliwie nie napotykając na swojej drodze Luftwaffe, panującej w powietrzu od początku wojny. Celem jego misji było przekazanie pełnomocnictwa Naczelnego Wodza, marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza, do zorganizowania walki w formie konspiracyjnej na całym obszarze państwa polskiego, już niemal w całości okupowanego przez Niemcy i Związek Sowiecki. Galinat przekazał rozkaz Naczelnego Wodza dowodzącemu obroną Warszawy gen. Juliuszowi Rómmlowi, ten zaś powierzył jego realizację i otrzymane pełnomocnictwo właśnie gen. Michałowi Tokarzewskiemu-Karaszewiczowi. Taka była przyczyna owego wspomnianego przez Lipińskiego „zniknięcia" tego oficera 27 września 1939 r., w chwili decyzji o poddaniu Warszawy. Tego bowiem dnia utworzył on, wraz z grupą oficerów WP, organizację konspiracyjną pod nazwą Służba Zwycięstwu Polski. Dzięki pełnomocnictwu Naczelnego Wodza zyskiwała ona w chwili powstania wyjątkowy status wśród wszystkich innych konspiracji, które w następnych tygodniach spontanicznie powstawały na terenie obydwu okupacji. Jak trafnie bowiem stwierdzał Marek Ney-Krwawicz, badacz dziejów armii podziemnej, „ona jedna miała już w chwili powstania mandat najwyższych władz Rzeczypospolitej do działania w ich imieniu".

Poza gen. Tokarzewskim-Karaszewiczem wśród założycieli SZP znaleźli się m.in. kpt. Tadeusz Kruk-Strzelecki, który odpowiadał za organizację prasy i propa-

eprasa.pl bba3719406



Rozmowy o kapitulacji Warszawy. Czwarty z lewej: Stefan Starzyński, prezydent miasta. Z prawej: gen. Tadeusz Kutrzeba FOT. IPN

gandy, z czasem stając się twórcą Biura Informacji i Propagandy; mjr Antoni Sanojca przewidziany na szefa oddziału organizacyjnego; mjr Wacław Berka – szef wywiadu; mjr Franciszek Niepokólczycki, wkrótce dowódca Związku Odwetu, prowadzącego walkę bieżącą z okupantem niemieckim, i jedyna kobieta w tym gronie – Janina Karasiówna, odpowiadająca za zorganizowanie wewnętrznej łączności konspiracyjnej. Szybko dołączył do nich także płk Stefan Rowecki, który objął funkcję szefa sztabu. Tokarzewski wspominał: „Wysoko ceniłem zawsze jego żołnierskość, otwartą głowę i piękne serce, jego postawę ideową i charakter, był od lat moim przyjacielem i ufałem mu. Objaśniwszy go o stanie rzeczy w kraju, o naszej pracy i zamierzeniach, zaproponowałem, aby został z nami".

Początkowo Tokarzewski spotkał się z odmową. Rowecki tłumaczył mu, że „jest za bardzo żołnierzem bojowym, aby móc się wżyć w pracę konspiracyjną i walkę podziemną, że widzi swoje miejsce tylko w wojsku liniowym […]. Po względnie krótkiej dyskusji na ten temat, w której go zresztą nie przekonałem, wyjąłem pełnomocnictwo od Rómmla, pokazałem mu i wydałem mu rozkaz zostania w kraju oraz objęcia stanowiska zastępcy i szefa sztabu w SZP. Bez wahania, a tym mniej cienia sprzeciwu [u]słuchał". Sam Rowecki powód włączenia się do działalności konspiracyjnej żartobliwie wyjaśnił swojej kuzynce Halinie Królikowskiej: „Znalazł się tu taki czarodziej, który mnie skłania do zostania w kraju. Waham się, bo ja do kreciej roboty nie nadaję się, ja jestem dobry do walki z Rómmlem. Może mnie jednak oczaruje…". Chociaż o decyzji Roweckiego decydowało jego poczucie obowiązku, to urok dawnego legionowego dowódcy z I Brygady nie pozostawał na pewno bez znaczenia.

Następnym krokiem Tokarzewskiego, który przyjął pseudonimy Stolarski i Torwid, było stworzenie komend wojewódzkich na terenie Generalnego Gubernatorstwa, na ziemiach polskich wcielonych bezpośrednio do III Rzeszy – a więc m.in. Śląska, Wielkopolski, Pomorza i północnej części Mazowsza – oraz pod okupacją sowiecką. Pierwszym zadaniem zajął się sam, udając się w podróż po miastach centralnej Polski.

Przed wyjazdem z Warszawy okazało się, że trzeba jeszcze zdobyć dla dowódcy obuwie, gdyż poprzednie uległo zniszczeniu we wrześniu, a drugiego nie posiadał. Kiedy wyznaczony do załatwienia tej prozaicznej sprawy adiutant generała, Ryszard Jamontt-Krzewicki, podał mistrzowi szewskiemu dokładne informacje, potrzebne do wykonania odpowiednich butów, ten zapytał go, czy gen. Tokarzewski nie poszedł do niewoli. Pytanie zaskoczyło świeżo upieczonego konspiratora, który – wyraźnie zmieszany – odpowiedział, że takiego generała nie zna, a buty są dla niego. Znaczące spojrzenie szewca wskazywało, że raczej nie został przekonany.

Walka na każdym polu

Tokarzewski wyjechał samochodem z Warszawy zapewne ok. 14 października, w towarzystwie trzech osób. Przez Grójec udał się najpierw do Radomia, a następnie do Lublina, Kielc i Krakowa, a później Katowic (w więc już na obszar wcielony do III Rzeszy), by przez Zagłębie Dąbrowskie i Częstochowę szczęśliwie wrócić do Warszawy. W tej podróży posługiwał się podrobionymi papierami, świadczącymi o wykonywaniu przezeń zawodu lekarza (rzeczywiście niegdyś krótko studiował medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim). Miały się one przydać w Krakowie, gdy przebywając w mieszkaniu przy ul. Straszewskiego 24, musiał postawić diagnozę i zalecić odpowiednie leki choremu na anginę, którym był… niemiecki oficer.

Misja przyniosła uznanie zwierzchności dowódcy SZP m.in. przez Organizację Orła Białego i Krakowską Organizację Wojskową dowodzoną przez płk. Adama Eplera, jednego z ostatnich oficerów polskich, który zszedł z placu boju z Niemcami i Sowietami – 6 października 1939 r. pod Kockiem. Uznała ją tzw. organizacja Kaerge, której nazwa pochodziła od pierwszych liter nazwisk jej twórców – pułkowników Tadeusza Komorowskiego, Klemensa Rudnickiego, Edwarda Godlewskiego – bohaterskich uczestników wrześniowych bojów z Niemcami, zdecydowanych dalej walczyć.



Michał Tokarzewski-Karaszewicz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CENTRALNE ARCHIWUM WOJSKOWE

eprasa.pl bba3719406



Stefan Rowecki. Zdjęcie z okupacyjnej kenkarty FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Na pozostałe obszary okupowane gen. Tokarzewski wysłał oficerów WP, którzy mieli zainicjować działalność konspiracyjną we wszystkich przedwojennych województwach Polski. Do Łodzi wyruszyli kolejno płk Stanisław Sosabowski, przyszły dowódca Samodzielnej Brygady Spadochronowej, i płk Edward Pfeiffer, a po niepowodzeniu ich misji – ppłk dypl. Leopold Okulicki. To on był komendantem i twórcą struktur Okręgu Łódzkiego ZWZ, podporządkowując sobie liczne powstałe tam samorzutnie organizacje. Swoją funkcję pełnił do września 1940 r., kiedy zagrożony aresztowaniem wrócił do Warszawy, by później pojechać do Lwowa, gdzie wpadł w ręce NKWD. Do Torunia i Bydgoszczy udał się płk Tadeusz Majewski „Śmigiel", a na obszary znajdujące się pod okupacją sowiecką wyruszyli: do Wilna – przejściowo wówczas okupowanego przez Litwę – płk dypl. Janusz Gaładyk, a do Lwowa – mjr dypl. Aleksander Klotz. Na początku 1940 r. dołączył do nich „Śmigiel", któremu zlecono budowę konspiracji na Wołyniu; wkrótce zginął on z rąk sowieckich.

Wszyscy niemal oficerowie sztabu SZP, a także emisariusze Tokarzewskiego-Karaszewicza wywodzili się ze środowiska piłsudczyków, co było przekonującym dowodem, że rola uczestników czynu niepodległościowego z czasów pierwszej wojny światowej, a później uczestników wojen o granice Rzeczypospolitej okazała się decydująca w tworzeniu fundamentów Polskiego Państwa Podziemnego.

Najważniejszym celem opracowanego w październiku statutu SZP było podjęcie walki z okupantami na każdym polu i wszelkimi środkami, przygotowanie kadr wojskowych oraz utworzenie ośrodków tymczasowej władzy w kraju. Jednak w planach gen. Tokarzewskiego SZP miała być nie tylko organizacją wyłącznie wojskową, lecz także łączyć w sobie funkcje polityczne. Było to wynikiem przekonania, że w kraju powinna istnieć jedna nadrzędna organizacja kierująca całością oporu. Dlatego też Tokarzewski zaczął tworzyć równoległy pion cywilny SZP już 5 października 1939 r., decydując o utworzeniu Rady Głównej Obrony Narodowej. Jej przewodniczącym został wybitny działacz PPS Mieczysław Niedziałkowski, który równocześnie objął funkcję drugiego zastępcy „Torwida" i komisarza cywilnego przy Dowództwie Głównym SZP. Rada Główna Obrony Narodowej była niewątpliwie pierwszą reprezentacją polityczną powstającego w Polsce podziemia, a wyrażone przez nią stanowisko, „że walka przeciw Niemcom i Rosji o niepodległość Polski trwa. Toczyć się ona będzie aż do ostatecznego naszego zwycięstwa. Każdy dobry Polak ma obowiązek i zaszczytne prawo wziąć w niej udział", pozostało wiążące dla ugrupowań politycznych Polski podziemnej w ich dalszych działaniach.

Złączyć prawych Polaków

Tymczasem jednak historia organizacji stworzonej przez gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza dobiegała kresu. Jego działalność spotkała się z niechęcią rządu RP na uchodźstwie na czele z gen. Władysławem Sikorskim. Niezależnie od wrogości premiera wobec piłsudczyków Sikorski – co zresztą naturalne – dążył do podporządkowania władzom na uchodźstwie podziemia w okupowanym kraju. Pierwszym krokiem było przygotowywanie projektu stworzenia organizacji konspiracyjnej, a następnie powołanie 13 listopada 1939 r. Komitetu Ministrów dla spraw Kraju. Jego zadaniem było „czuwanie nad wszystkimi sprawami, związanymi z krajem, z tajnymi wysiłkami narodu, zmierzającymi do wyzwolenia Rzeczypospolitej z okupacji wroga". Sikorski mianował komendanta głównego Związku Walki Zbrojnej – został nim gen. broni Kazimierz Sosnkowski, jeden z najwybitniejszych piłsudczyków, którego pozycja w ostatnich latach przed wojną uległa jednak pełnej marginalizacji.

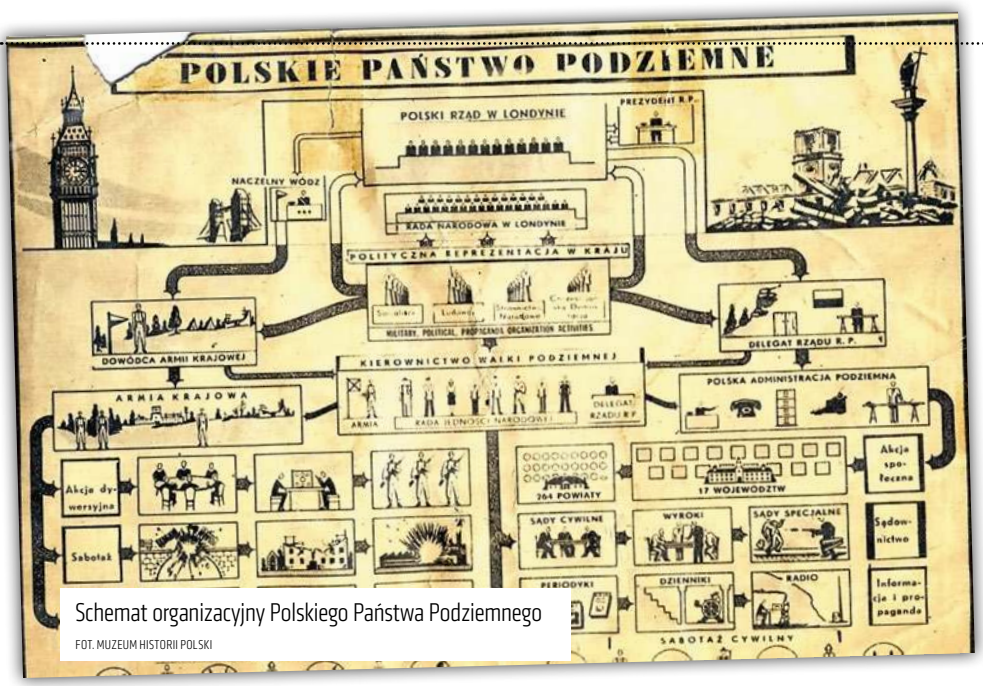
W pierwszej instrukcji z 4 grudnia 1939 r., której adresatem był obywatel „Rakoń" – czyli płk Stefan Rowecki, Sosnkowski informował o utworzeniu ZWZ jako organizacji wojskowej o charakterze apolitycznym, jednolitym, ogólnonarodowym, ponadstanowym, „skupiającej w swych szeregach bez względu na różnicę przekonań politycznych i społecznych, wszystkich prawych Polaków, pragnących walczyć orężnie z okupantami w warunkach pracy konspiracyjnej i odpowiadających pod każdym względem wysokim moralnym wymaganiom, jakie stawia wobec jednostki podobna praca".

Sosnkowski deklarował też, że przy rekrutowaniu członków „nie ma środowisk uprzywilejowanych. Obowiązuje w tym zakresie na terenie kraju równość startu i równość praw dla wszystkich stronnictw". Wśród form działania organizacji wymieniono m.in. „podtrzymanie uczuć nienawiści do okupanta i żądzy wzięcia odwetu […], stosowanie



Kazimierz Sosnkowski FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl bba3719406



Schemat organizacyjny Polskiego Państwa Podziemnego

FOT. MUZEUM HISTORII POLSKI

represji względem osób podtrzymujących z okupantami stosunki towarzyskie, organizacyjne i polityczne, aż do karania w wypadku jawnej i oczywistej zdrady […], [i] prowadzenie w okresie trwania okupacji akcji bojowo-dywersyjnej na terenie kraju". Wśród innych zadań wymieniano „szkolenie wojskowe kadr oddziałów wojskowych; gromadzenie środków walki zbrojnej; przygotowanie powstania zbrojnego na tyłach armii okupacyjnych, które nastąpi z chwilą wkroczenia regularnych wojsk polskich do kraju".

„Nagroda" dla twórcy podziemia

Instrukcja z 4 grudnia 1939 r. faktycznie zakończyła dzieje Służby Zwycięstwu Polski i zapoczątkowała działalność ZWZ, chociaż informacja o tym dotarła do kraju dopiero na początku następnego roku. W praktyce doszło do przekształcenia organizacji gen. Tokarzewskiego-Karaszewicza w nową, dlatego SZP słusznie jest uznawana za pierwszy etap w tworzeniu nie tylko podziemnego wojska, lecz także Polskiego Państwa Podziemnego.

Zgodnie z poleceniami generałów Sikorskiego i Sosnkowskiego strukturę ZWZ ustalono, dzieląc obszar kraju na sześć obszarów, których komendanci mieli bezpośrednio porozumiewać się z komendantem głównym ZWZ w Paryżu. Okazało się to nierealne, nie wszystkie też komendy zostały obsadzone. 16 stycznia 1940 r. zmieniono tę formę organizacji w ten sposób, że dowódcą na terenach okupowanych przez Niemców został gen. Stefan Rowecki, z prawem wyznaczenia komendantów obszarów nr 1 z siedzibą w Warszawie, nr 4 w Krakowie, nr 5 w Poznaniu i nr 6 w Toruniu, a na obszar południowej części okupacji sowieckiej z siedzibą we Lwowie mianowano Tokarzewskiego-Karaszewicza. Ostatnia decyzja była zadziwiająca, ponieważ generał był tam powszechnie znany jako dowódca pierwszej odsieczy Lwowa w listopadzie 1918 r., w czasie wojny polsko-ukraińskiej, a w latach międzywojennych – długoletni dowódca tamtejszego okręgu wojskowego.

Tokarzewski miał świadomość złej woli, która spowodowała wydanie takiego rozkazu, jednak karnie się mu podporządkował. Do chwili wyjazdu z Warszawy, który nastąpił 22 lutego 1940 r., wspierał Roweckiego w pracach organizacyjnych. W nocy z 6 na 7 marca 1940 r. podjął próbę przejścia na obszar okupacji sowieckiej, lecz natychmiast po znalezieniu się na drugim brzegu Sanu dostał się w ręce Sowietów. Początkowo nierozpoznany został zesłany do łagru w rejonie Archangielska, a po zidentyfikowaniu trafił na złowrogą Łubiankę, skąd uwolniono go po układzie Sikorski-Majski. Służył później w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, okazując jak wcześniej wybitną ofiarność i obowiązkowość. Nigdy nie żywił żalu o wysłanie go na stracony posterunek, a jedynie – jak mówił po latach – o „brzydotę, nieżołnierskość sposobu", w który został usunięty.

*

Jak to się stało, że polski sprzeciw wobec niewoli nie tylko trwał przez całą okupację niemiecką, lecz także rozwinął się w Polskie Państwo Podziemne, niemające precedensu w dziejach świata? – pytał pisarz Ferdynand Goetel, redaktor konspiracyjnego „Nurtu". I odpowiadając, wymieniał dwie główne tego przyczyny. Pierwszą było „mocne poczucie zobowiązania, jakie ogół polski żywił dla własnego państwa. To rozstrzygnęło o samorzutnym niemal zejściu do podziemia skasowanych przez Niemców instytucji, jak szkoły, organizacje i związki. Pojęcie patriotyzmu nie starczy, aby wytłumaczyć ówczesny stan umysłów. Przyświecała mu bowiem trzeźwa świadomość spraw, których ciągłość musi być utrzymana, aby życie narodu nie zostało złamane".

Drugi powód Goetel dostrzegał we wzrastającym napięciu emocjonalnym społeczeństwa polskiego, pobudzanym „nie tylko swoistym wielu Polakom zamiłowaniem obywatelskiej wolności i politycznej niezależności, lecz gwałtami godzącymi w ludzką godność, tak brutalnie poniewieraną przez Niemców. Kto przebywał w Polsce podczas okupacji, wie, że Niemcy uczynili doprawdy wszystko, aby porywczość Polaków, przygasłą po wrześniowej klęsce, obudzić i rozpłomienić".

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl bba3719406



Wiesław Adamczyk podczas promocji książki „Kiedy Bóg odwrócił wzrok", 2010 r.

FOT. PAWEŁ KULA/PAP

1940–1945 / Wojenna tułaczka Adamczyków

Z Sarn na Sybir

eprasa.pl bba3719406



Piotr Włoczyk

Wiesław Adamczyk do końca życia przeżywał tragedię, która spotkała jego rodzinę w Związku Sowieckim. Swój wolny czas poświęcał jednak również na dokumentowanie dramatów innych małych zesłańców. Efektem jego pracy są poruszające opowieści o cierpieniach polskich dzieci rzuconych na nieludzką ziemię

Sierpień 1942 r. Do portu w irańskim Pahlevi (obecnie Bandar-e Anzali) dopływa statek transportowy „Kaganowicz", nazwany tak na cześć jednego z najkrwawszych bolszewików. Statek przybył do Iranu z sowieckiego Krasnowodzka (dziś ten turkmeński port nad Morzem Kaspijskim nazywa się Turkmenbasza). Na jego pokładzie znajdowało się 4,5 tys. Polaków, którzy na mocy układu Sikorski-Majski mogli uciec z „sowieckiego raju". Pasażerowie statku przedstawiali sobą tak straszny widok, że władze portowe odmówiły „Kaganowiczowi" wpłynięcia do portu, obawiając się wybuchu epidemii. Wśród ewakuowanych Polaków znajdowali się dziewięcioletni Wiesław Adamczyk, jego 16-letnia siostra Zofia oraz ich matka Anna, którzy dwa lata wcześniej zostali deportowani z Sarn na kresach II RP.

– Byliśmy zagłodzeni i zawszeni. Ja miałem wtedy gnidy na powiekach – mówił Wiesław Adamczyk w rozmowie ze mną w 2014 r. – Burty były pokryte ekskrementami i krwią ludzi, którzy zmuszeni byli załatwiać się w ten sposób. Toalety statku zarezerwowane były jedynie dla załogi. Podczas podróży wielu schorowanych Polaków wypadło za burtę i zginęło podczas korzystania z takiej „toalety". Mama, gdy tylko się zorientowała, jak bardzo niebezpieczne jest takie załatwianie potrzeb, zabroniła mi się zbliżać do krawędzi statku. Kazała mi korzystać z garnka, ale ja wstydziłem się go używać przy innych. „Kaganowicz" nie mógł wpłynąć do portu, więc Brytyjczycy przewieźli nas na ląd swoimi łodziami.

Wiesław Adamczyk (1933–2018) wstrząsającą tragedię swojej rodziny opisał w autobiografii „Kiedy Bóg odwrócił wzrok". Los innych polskich dzieci, które przeżyły w ZSRS istne piekło, nie był mu obojętny, więc przez całe życie zbierał materiały na temat tych małych tułaczy. Tak powstała kolejna książka Adamczyka – „Kwiaty polskie na wygnaniu" (napisana wraz z Barbarą Dominiczak i Ewą Ledóchowicz), opowiadająca o gehennie 12 polskich dzieci deportowanych do ZSRS.

Suchary i kosztowności

Niedługo po zejściu z pokładu „Kaganowicza" rodzeństwu Adamczyków zawalił się cały świat – zmarła ich matka. – Nasza 45-letnia mama doprowadziła nas do wolności, ale sama jej nie zaznała. Mama w Sowietach straciła zdrowie. Zmarła z głodu, chorób i wycieńczenia. Ja miałem wtedy dziewięć lat. Zostałem sierotą. Wcześniej straciłem ojca, który był kapitanem rezerwy Wojska Polskiego. Zginął w Katyniu. Zostali mi tylko starsza o siedem lat siostra Zosia i o 11 lat starszy brat Jurek, który służył wtedy w armii Andersa – wspominał mój rozmówca.

Był to trzeci rok tułaczki tej rodziny. Adamczykowie zostali wywiezieni na Wschód w maju 1940 r., w ramach trzeciej fali deportacji z kresów II RP. NKWD zabrało rodzinę z jej domu w Sarnach, niedaleko granicy z ZSRS.

– Mieliśmy piękny duży dom, niczego nam nie brakowało. Ojciec dostał tę ziemię za udział w wojnie z bolszewikami. Pamiętam, że strasznie mnie uderzyło, jak kapitan NKWD przeklinał przy mojej mamie i siostrze. W moim domu przecież takie zachowanie było nie do pomyślenia! – mówił Wiesław Adamczyk. – NKWD-zista powiedział mojej mamie: „U nas wielki kraj, u nas wszystko jest, niczego ze sobą nie bierzcie. Mamy nawet zapałki". Miałem wtedy tylko siedem lat, ale wiedziałem przecież, że zapałki to coś normalnego. Zastanawiałem się, co to za głupota, że ten człowiek chwali się czymś tak zwyczajnym? I choć ciężko w to uwierzyć, to te przechwałki w sprawie zapałek były kłamstwem. Po tym, gdy już wywieźli nas do Sowietów, okazało się, że wcale nie było tam zapałek. Musieliśmy rozpalać ogień w ten sam sposób co ludzie pierwotni tysiące lat temu.

Anna Adamczyk wiedziała, z jakim systemem ma do czynienia, więc odpowiednio wcześniej przygotowała rodzinę na wywózkę. Najważniejsze były trzy worki sucharów i schowane w nich kosztowności na czarną godzinę. Gdy matka pakowała tobołki, sołdaci demolowali gabinet głowy rodziny – oficera Wojska Polskiego. Wiesław Adamczyk ostatni raz widział ojca we wrześniu 1939 r.

– Nie mogłem zrozumieć, dlaczego



Wiesław i Zofia Adamczykowie z ojcem Janem, Łuck, 1939 r.

FOT. ARCHIWUM RODZINNE WIESŁAWA ADAMCZYKA

eprasa.pl bba3719406

wyjeżdża na wojnę. Czułem, że wojna to coś okrutnego. Pamiętam tylko z tego pożegnania, że pocałował mnie w czoło i powiedział, żebym zajął się mamą. Nie mogłem pojąć, jak mały chłopiec może się zająć dorosłą mamą. Ojciec musiał przeczuwać, że stanie mu się coś złego – wspominał autor „Kiedy Bóg odwrócił wzrok".

Wiersz córki

Podróż na Wschód wagonem bydlęcym trwała trzy tygodnie. Mały Wiesio na resztę życia zapamiętał warunki sanitarne, które przygotowały dla Polaków sowieckie koleje: – W naszym wagonie była nas masa. W podłodze była dziura... Nie mogłem zrozumieć, jak to jest, że i starzy, i młodzi załatwiają swoje potrzeby przy innych. Bardzo się wstydziłem, gdy widziałem, że mama i siostra musiały korzystać z tej dziury. Przecież mama zawsze przypominała mi: „Wiesiu, jak idziesz do łazienki, zamknij drzwi i umyj ręce". Byliśmy w drodze donikąd. To było przerażające. Na końcu tej drogi czekał na nas mały kołchoz w Szarmamulzaku. Trafiliśmy do północno-wschodniego Kazachstanu. To był step. Żyli tam Kazachowie zajmujący się hodowlą bydła. Dostaliśmy lepiankę do podziału z inną rodziną. Latem doświadczaliśmy pustynnych upałów, a zimą doskwierał nam syberyjski mróz. Każdy musiał tam pracować, bo inaczej nie dostałby jedzenia. Miałem siedem lat, ale zmuszony byłem zbierać odchody bydła. Dostawałem za to chleb bez smaku i ser z muchami.

Wiesław Adamczyk tłumaczył, że zbieranie odchodów nie było taką prostą kwestią: – Trzeba je bowiem podnosić w odpowiednim momencie, żeby nie wyschły za bardzo i żeby można je było zmieszać ze słomą. Taka mieszanka służyła potem do opalania lepianek, a niekiedy nawet jako budulec.

NKWD cały czas nie dawało Adamczykom zapomnieć o sobie, nachodząc rodzinę i pokazując, że bezpieka nie pozwoli na żadne nieprawomyślne zachowania. Na szczęście Kazachowie okazywali Polakom mnóstwo życzliwości.

– To byli złoci ludzie. Bez ich zrozumienia i pomocy nie przetrwalibyśmy tego ciężkiego czasu. Oni nienawidzili



Anna Adamczyk, Sarny, 1926 r.
FOT. ARCHIWUM RODZINNE WIESŁAWA ADAMCZYKA

Sowietów tak samo jak my. Stracili przez nich swoją ziemię – mówił Wiesław Adamczyk. – Warunki, w jakich żyliśmy, były nie do wytrzymania. Wszystkie lepianki były zapchlone i zawszone. Do tego jeszcze męczyły nas pluskwy. Mama cały czas zabiegała w NKWD, żebyśmy mogli zmienić miejsce pobytu. Starała się o przeniesienie z kołchozu w Szarmamulzaku do leżącego nieopodal miasteczka Semiozierska. W końcu po ok. dwóch miesiącach pozwolono nam się przenieść do Semiozierska.

I to właśnie z tego okresu zsyłki pochodzi wiersz siostry Wiesława – Zofii, która nie wiedząc, że jej ojciec Jan był ofiarą zbrodni katyńskiej, wyczekiwała jakichkolwiek informacji o jego losie.

Wiersz powstał 13 marca 1941 r. i zatytułowany został najzwyczajniej w świecie – „Tatusiowi".

W noc cichą, ciemną,
W noc pełną wdzięku i pełną uroku,
Pełną spokoju, pełną ukojenia,
Żegnałam Ciebie, kochany tatusiu
Na wojnę okropną i łez, i cierpienia.
Tyś odszedł od nas, bo Ojczyzna zwała,
Tyś poszedł z radością, z uśmiechem na ustach.
Tyś walczył o jej wolność, lecz ona skonała.
Skonała zlana krwią i w zadanych ranach.
A co się wtedy z Tobą, drogi tatku, stało,
Czemuś nie wrócił w swe rodzinne progi,
Czy Cię nieszczęście od nas odepchało,
Czy los okrutny, straszliwy złowrogi.
[...]
I tak mijają ciężkie, trudne chwile,
Ciebie od nas, Tatusiu, całkiem rozłączono
My na Syberii, a Ty gdzieś na sowieckiej ziemi
Prosisz Boga, by Cię wrócił na Ojczyzny łono.
A ja, Tatusiu, w każdej chwili życia
Myślę i tęsknię okropnie do Ciebie,
Czekam, jak czekam naszego spotkania,
Więc gorąco się modlę do Boga na niebie.
[...]

Pytania żony

– W Semioziersku zamieszkaliśmy w domu należącym do starego rosyjskiego małżeństwa, państwa Pietrowiczów. Pan Iwan był bardzo dobrym człowiekiem. Szczerze nienawidził komunistów, ale jednocześnie bardzo się ich bał. Dzięki niemu mieliśmy ryby – łowiliśmy z nim karpie w leżącym koło naszej chałupy stawie – opowiadał w rozmowie ze mną Wiesław Adamczyk. – Pani Pietrowicz wyglądała na osobę, która straciła zmysły – miała nieobecny wzrok. Jak wyjaśnił nam jej mąż, wszystko przez to, że komuniści wymordowali jej całą rodzinę. Pan Pietrowicz nie wspominał dobrze czasów caratu, ale mówił, że żyło się im wtedy lepiej niż za bolszewików. Bardzo się ze sobą zaprzyjaźniliśmy. Pan Pietrowicz wypytywał o nasze życie w Polsce, bo propaganda sowiecka twierdziła, że tylko w Sowietach jest dobrze, a wszędzie indziej panują warunki niewolnicze. Bardzo go dziwiło, gdy mówiłem, że u nas przed wojną niczego nie brakowało i żyło się bardzo dobrze.

Anna Adamczyk cały czas liczyła, że jej mąż żyje i wróci do rodziny. Nieustannie wypytywała o jego los NKWD. Funkcjonariusze bezpieki za każdym razem mieli tę samą odpowiedź: nic o nim nie wiadomo.

Mały Wiesio nauczanie domowe zawdzięczał siostrze. Nastoletnia Zofia wkładała wiele wysiłku, by jej młodszy brat wiedział, skąd pochodzi i za jakie wartości poszedł walczyć ich ojciec. I chociaż ten dziewięcioletni chłopiec wiele już rozumiał, to nie był w stanie pojąć, jak to możliwe, że ZSRS jest aż tak nieludzką ziemią.

– Pytałem matkę: Czy my jesteśmy w piekle, tylko o tym nie wiemy? Gdyby wziąć 100 amerykańskich profesorów historii, którzy uczą o komunizmie, to jestem pewien, że żaden z nich nie wie, czym tak naprawdę był komunizm. Trzeba było tam żyć i widzieć to na własne oczy – mówił Adamczyk. – Wydawało

eprasa.pl bba3719406



Wiesław Adamczyk na cmentarzu Piatichatki podczas nabożeństwa za pomordowanych polskich oficerów, Charków, 1998 r. FOT. ARCHIWUM RODZINNE WIESŁAWA ADAMCZYKA

mi się, że Pan Bóg nas nie widział i nie słyszał przez te dwa lata. Nie miałem innego wytłumaczenia. Widziałem, jak mama modliła się na tej nieludzkiej ziemi o powrót ojca, na własnej skórze odczułem, co to znaczy głód, smród i nędza. Proszę się zatem nie dziwić, że po takich doświadczeniach człowiek może zacząć kwestionować miłość Boga do ludzi.

Mimo że układ Sikorski-Majski otworzył Polakom możliwość wyjścia z ZSRS, sowiecka bezpieka cały czas robiła Adamczykom problemy. Rodzina nie mogła się od NKWD doprosić dokumentów, które pozwoliłyby jej legalnie odbyć podróż do obozu tworzącej się polskiej armii.

– Mama wcześniej słyszała w NKWD, że prędzej zobaczy własne uszy niż Polskę. Mój starszy brat wielokrotnie był namawiany przez Sowietów do wstąpienia do Armii Czerwonej. Jeżeliby się zgodził, to zamykałoby to nam możliwość wyjazdu z tego kraju. Brat jednak twardo odmawiał i czekał na możliwość dołączenia do polskiej armii. W końcu mu się udało. My jednak wciąż nie mogliśmy dostać od NKWD dokumentów, więc mama postanowiła, że pojedziemy na południe bez oficjalnej zgody. Sprzyjało nam wtedy to, że stacje kolejowe oraz pociągi pełne były ludzi takich jak my i NKWD nie nadążało ze sprawdzaniem wszystkich podróżujących po „sowieckim raju" – mówił Adamczyk. – Musieliśmy się dostać do Krasnowodzka nad Morzem Kaspijskim. W linii prostej nie wydaje się to może bardzo daleko, ale kręta droga przed nami liczyła ok. 4 tys. km. Oczywiście napotkaliśmy problem z kupnem biletów, ponieważ nie mieliśmy dokumentów na podróż. Mama miała jednak jeszcze schowane na czarną godzinę resztki biżuterii, dzięki której udało nam się przekupić sprzedawcę biletów na dworcu. Bez tej biżuterii nie mielibyśmy szans wydostać się z ZSRS. Mama wiedziała, jak o nas zadbać.

W Teheranie, po śmierci matki, dzieci odnalazła ich krewna, Joan Siepak, służąca w amerykańskim szpitalu wojskowym na przedmieściach stolicy Iranu. Niedługo w Teheranie zjawił się starszy brat Jurek, służący w armii gen. Andersa, i odszukał rodzeństwo. Wiesław i Zofia pozostali w Iranie do końca 1945 r. Następnie przenieśli się do USA, gdzie zbudowali nowe życie. Wiesław Adamczyk pracował w Ameryce jako chemik i doradca podatkowy, a po przejściu na emeryturę zajął się popularyzacją wiedzy o tragedii mieszkańców Kresów.



Od lewej: Zofia, Wiesław i Jerzy Adamczykowie, Teheran, 1943 r. FOT. ARCHIWUM RODZINNE WIESŁAWA ADAMCZYKA

Wyzwalający komunikat

Autor „Kiedy Bóg odwrócił wzrok" przez długie lata dusił w sobie dramat swojej rodziny i nie był w stanie spisać bolesnych wspomnień. Kluczowym momentem w jego życiu był 13 kwietnia 1990 r., gdy ZSRS wystosował historyczny komunikat. „Potwierdzenie przez Gorbaczowa sowieckiej winy za zbrodnię katyńską wstrząsnęło światem, a dla mnie było to jak zerwanie tamy. Zalały mnie bolesne wspomnienia wydarzeń, które jako małe dziecko przeżywałem pół wieku temu – wspomnienia, które upływ czasu zamroził i głęboko ukrył, ale nigdy mnie ich nie pozbawił. Przed mymi oczami rozgrywały się koszmarne wizje egzekucji ojca i nie mogłem się uwolnić od ustawicznego przeżywania dręczących szczegółów z deportacji i uwięzienia, które stały się udziałem mojej rodziny – pisał Adamczyk w swojej autobiografii. – Na powrót pogrążałem się w bólu po przedwczesnej śmierci matki, która poświęciła życie dla ratowania swych dzieci z sowieckiej niewoli [...]. Zawsze pragnąłem móc odwiedzić miejsce pochówku ojca i oddać mu cześć, zanim umrę. Gdybym opisał moją odyseję wcześniej, byłaby to opowieść bez zakończenia. Nie chciałem napisać takiej opowieści. Po oświadczeniu Gorbaczowa poczułem, że powinienem opowiedzieć światu o tragedii, która za sprawą Związku Radzieckiego dotknęła moją rodzinę i naród polski".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bba3719406

Obraz Jana Peszki / Kalectwo księcia zwiastunem nawrócenia Polski?



Józef Peszka, „Mieczysław I (Mieszko) podczas świętego obrzędu postrzyżyn odzyskuje wzrok”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Jak Polska odzyskała wzrok



Leszek Lubicki

Pierwszy o ślepocie Mieszka I i odzyskaniu przez niego wzroku napisał Gall Anonim. Później w swoich kronikach powtórzyli to kolejni dziejopisarze, aż w końcu zajął się tym tematem zdolny polski malarz. Jak rozumieć te zastanawiające opowieści?

Nie znamy dokładnej daty narodzin Mieszka I. Możemy założyć, że miało to miejsce ok. 935 r. (plus minus kilka lat). Oglądając obraz Józefa Peszki (1767–1831), od razu zauważymy, że coś nam tutaj nie pasuje. I wcale nie chodzi o „odzyskanie wzroku”. Tego po prostu nie da się wprost namalować i dlatego malarze historyczni nadawali swoim dziełom pełne tytuły, aby publiczność wiedziała, któremu wydarzeniu z dziejów Polski poświęcony jest obraz.

Na pewno zwrócimy uwagę na ubiory osób widocznych na płótnie i zadamy sobie pytanie, czy w połowie X w. ludzie w naszym kraju tak się ubierali. Oczywiście, że nie. Gdy popatrzymy na drugi plan, gdzie artysta umieścił wysokie, murowane budowle, tym bardziej zwątpimy, czy aby na pewno obraz ten odnosi się do czasów dzieciństwa późniejszego pierwszego historycznego władcy Polski. Na tym obrazie rażą zarówno niehistoryczne stroje, jak i wycinek miejskiego pejzażu. Raczej możemy mówić tu o szatach zgoła fantastycznych, wziętych z imaginacji artysty, która często nawiązywała do „wczesnoromantycznej symboliki i neosarmackiej wyobraźni”. Ale – jak powiadał Paweł Jasienica – „artysta nie jest uczonym i nie musi zdradzać źródeł swojej wiedzy czy inspiracji”.

Jeżeli już jednak pogodzimy się z tym brakiem ścisłości historycznej w wyrażeniu postaci i otoczenia, to możemy się skupić na zagadnieniu, o którym ten obraz opowiada. Z samego tytułu malowidła („Mieczysław I podczas postrzyżyn odzyskuje wzrok”) dowiadujemy się, że wydarzenia rozgrywają się na dworze panującej wczesnopiastowskiej dynastii, a przed chwilą miały miejsce postrzyżyny młodego Mieszka. Najważniejsza jednak jest informacja, że chłopiec odzyskał

eprasa.pl bba3719406

wówczas wzrok. Musiał więc do czasu tego obrzędu być niewidomy.

Postrzyżyny

Zanim przejdziemy do ślepoty Mieszka, najpierw przypomnijmy sobie, czym były dawniej postrzyżyny. To starosłowiański obrzęd, podczas którego „chłopcu obcinano włosy i nadawano nowe imię. Rytuał oznaczał koniec pierwszego etapu dzieciństwa i wejście do grona mężczyzn. Na Rusi dokonywało się to już w wieku 2–3 lat, w Polsce – 7. Pełną dorosłość, tzw. wiek sprawny, młodzieniec osiągnął w wieku 14–15 lat" (Rosik, 2007). Zwyczaj ten, choć pogański, był pielęgnowany także w późniejszych wiekach. Sam biskup Wincenty Kadłubek w XIII stuleciu uznawał pewne starosłowiańskie obyczaje, w tym także postrzyżyny, za godne pochwały przejawy rodzimej kultury.

Zwróćmy uwagę na kwestię nadawania nowych imion w czasie tego obrzędu. Ciekawie tę kwestię zaprezentował wybitny polski mediewista Gerard Labuda w swojej monografii o Mieszku I: „Mistrz Wincenty powtarzając za Anonimem Gallem »gadkę«, że Mieszko urodził się ślepy i dopiero w siódmym roku życia odzyskał wzrok, tak sobie tłumaczył wywód imienia: »Nazwany zaś został «Mieszka», to jest «zmieszanie», ponieważ rodzice skłopotali się, gdy urodził się ślepy. Albo w znaczeniu ukrytym (mistice), ponieważ od niego, zda się, został poczęty posiew walki duchowej".

Jeszcze osobliwiej rzecz tłumaczył nieco później-szy uczony, autor „Kroniki Wielkopolskiej": „Ziemomysł z żony swej zrodził syna, który urodziwszy się niewidomym, przez siedem lat wychowywał się w ślepocie. Polacy widząc to, nadto zaniepokojeni, że król Ziemomysł w przeciągu siedmiu lat nie spłodził innego syna, mówili: »Oto znowu zamieszka w królestwie!«. Mieszka bowiem, czyli zamęt, nazywa się od rozruchu. Wiedzieli bowiem, że po śmierci Chościska, któ-



Siemiomysł, ojciec Mieszka I

FOT. DOMENA PUBLICZNA, ILUSTRACJA Z KRONIKI MIECHOWITY

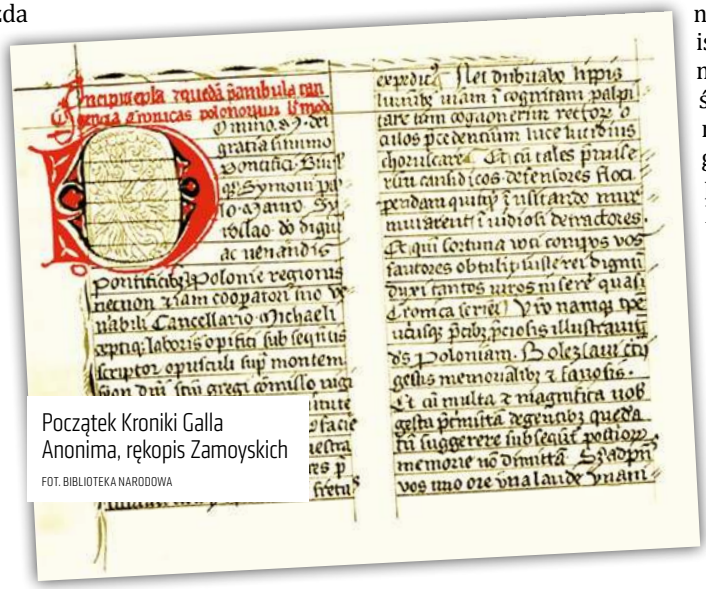
rego pożarły myszy, w państwie polskim powstały liczne rozruchy, toteż lękali się ponownego ich wybuchu i dlatego ślepego syna królewskiego nazwali Mieszkiem".

Wątek ten rozwinął Jan Długosz, łącząc nadanie imienia z uroczystością postrzyżyn: „Kiedy nadszedł dzień naznaczony i szukano odpowiedniego imienia, aby je nadać chłopcu, spodobało się ojcu i dostojnikom nazwać go Mieszkiem, co w języku polskim znaczy »mieszanie« albo »poruszenie«, dlatego że z powodu ślepoty swej rdzenia był przyczyną zamieszania dla rodziców i narodu polskiego".

Artysta nie ma obowiązku zdradzać źródeł swojej inspiracji, jednak w tym przypadku nie ma wątpliwości, co było bodźcem dla namalowania tego obrazu. Peszka odniósł się do kroniki Galla Anonima. Dla lepszego zrozumienia przedstawionego na płótnie wydarzenia warto zacytować obszerniejszy fragment dzieła Galla:

„Ten zaś Siemomysł spłodził wielkiego i sławnego Mieszka, który pierwszy nosił to imię, a przez siedem lat od urodzenia był ślepy. Gdy zaś dobiegała siódma rocznica jego urodzin, ojciec, zwoławszy wedle zwyczaju zebranie komesów i innych swoich książąt, urządził obfitą i uroczystą ucztę; a tylko wśród biesiady skrycie z głębi duszy wzdychał nad ślepotą chłopca, nie tracąc z pamięci [swej] boleści i wstydu. A kiedy inni radowali się i wedle zwyczaju klaskali w dłonie, radość dosięgła szczytu na wiadomość, że ślepy chłopiec odzyskał wzrok. Lecz ojciec nikomu z donoszących mu o tym nie uwierzył, aż matka, powstawszy od biesiady, poszła do chłopca i położyła kres niepewności ojca, pokazując wszystkim biesiadnikom patrzącego już chłopca. Wtedy na koniec radość stała się powszechna i pełna, gdy chłopiec rozpoznał tych, których poprzednio nigdy nie widział, i w ten sposób hańbę swej ślepoty zmienił w niepojętą radość.

Wówczas książę Siemomysł pilnie wypytywał starszych i roztropniejszych z obecnych, czy ślepota i przewidzenie chłopca nie oznacza jakiegoś cudownego znaku. Oni zaś tłumaczyli, że ślepota oznaczała, iż Polska przedtem była tak jakby ślepa, lecz odtąd – przepowiadali – ma być przez Mieszka oświeconą i wywyższoną ponad sąsiednie narody. Tak się też rzecz miała istotnie, choć wówczas inaczej mogło to być rozumiane. Zaiste ślepą była przedtem Polska, nie znając ani czci prawdziwego Boga, ani zasad wiary, lecz przez oświeconego [cudownie] Mieszka i ona także została oświeconą, bo gdy on przyjął wiarę, naród polski uratowany został od śmierci w pogaństwie. W stosownym bowiem porządku Bóg wszechmocny najpierw przywrócił Mieszkowi wzrok cielesny, a następnie udzielił mu [wzroku] duchowego, aby przez poznanie rzeczy widzialnych doszedł do uznania niewidzialnych i by przez znajomość rzeczy



Początek Kroniki Galla Anonima, rękopis Zamoyskich

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl bba3719406



Mieszko I. Rysunek Jana Matejki z „Pocztu królów i książąt polskich"

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

[stworzonych] sięgnął wzrokiem do wszechmocy ich stwórcy".

Światło w oczach

Opis tego cudownego przywrócenia wzroku został przytoczony także przez mistrza Wincentego, jednak podany on został w dużym skrócie. Omówienie tej kwestii znajdziemy również w kronice Jana Długosza: „Kiedy nadszedł dzień naznaczony i szukano odpowiedniego imienia, aby nadać je chłopcu, spodobało się ojcu i dostojnikom nazwać go Mieszką, co w języku polskim znaczy zamieszanie albo poruszenie, dlatego że z powodu swej ślepoty od urodzenia był przyczyną zamieszania dla rodziców i narodu polskiego […], że po śmierci jego ojca, księcia Siemomysła, zapanuje w Polsce większy zamęt niż ten, jaki nastąpił po śmierci Popiela […]. Podczas gdy wszyscy weselili się, sam jeden książę Siemomysł, rozważając w duszy i myślach ślepotę dopiero co postrzyżonego syna, wzdychał głęboko, cichym łkaniem winiąc siebie samego o nieszczęście dziecka. Do pogrążonego w takim bólu cudownym trafem przybył nagle posłaniec, oznajmiając, że syn Mieszko odzyskał całkowitą władzę wzroku. Podczas gdy książę i współbiesiadnicy raczej nie dowierzali, niż wierzyli, księżna, matka chłopca, wybiegła od ucztujących z komnaty, pragnąc sprawdzić zwiastowaną nowinę. Kiedy weszła do sypialni, gdzie czuwano nad chłopczykiem, i ujrzała, że w gałkach [jego] oczu poprzednie mgliste ciemności rozeszły się i znikły, a zajaśniało prawdziwe światło, porażona radością upadła na ziemię, a podniesiona przez służbę, po odzyskaniu przytomności porwała chłopca w ramiona i niesie pokazać mężowi i ucztującym, wiedząc, że jeśli nie ujrzą dziecka naocznie, w żaden sposób nie uwierzą w cud, jaki się zdarzył".

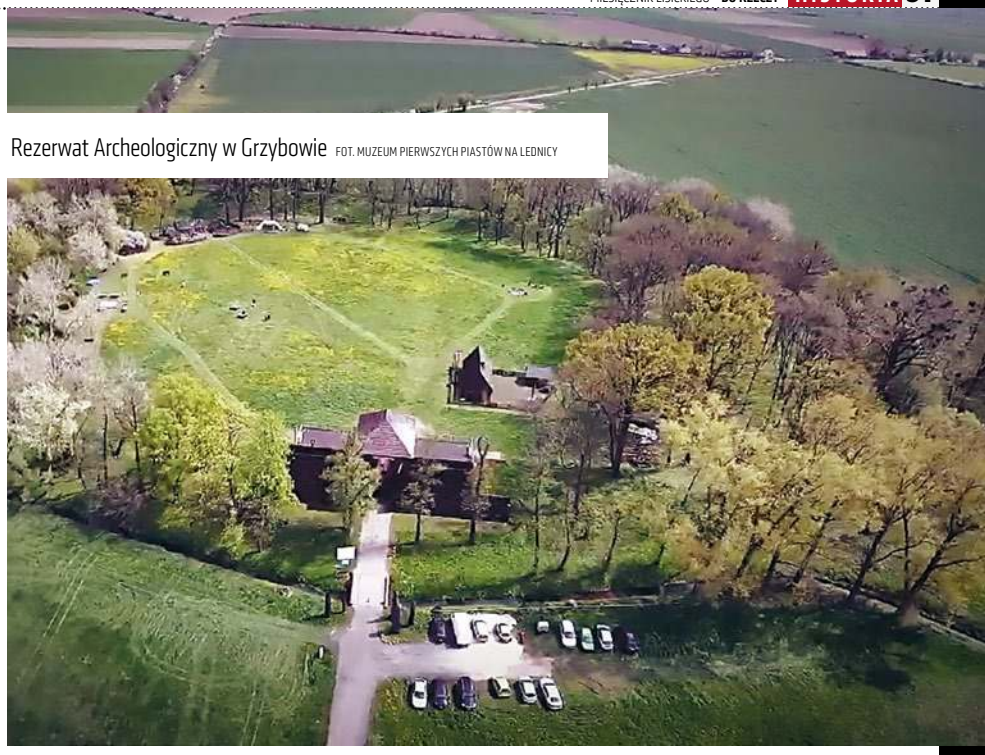
Z podobnie cudowną sytuacją mamy do czynienia w chwili postrzyżyn syna legendarnego Piasta, Siemowita. Tam jednak cud nie dotyczy samego chłopca. Tajemniczy przybysze, którzy dotarli na ucztę wydaną z okazji postrzyżyn Siemowita (pradziada Mieszka I), rozmnażają jadło, którego u biednego chłopa z podgrodzia właśnie zabrakło. To oni dokonują postrzyżyn chłopca i – jak pisze Gall Anonim – „nadali mu imię Siemowita na wróżbę przyszłych losów. Młody Siemowit, syn Piasta Chościskowica, wzrastał w siły i lata i z dnia na dzień postępował i rósł w zacności do tego stopnia, że król królów i książę książąt [tj. Pan Bóg] za powszechną zgodą ustanowił go księciem Polski, a Popiela wraz z potomstwem doszczętnie usunął z królestwa".

Wróćmy jeszcze na chwilę do nadanego chłopcu po postrzyżynach imienia Mieszko. „W swoim czasie najwięcej rozgłosu zyskała hipoteza poczęta dla niemieckiego narodowego socjalizmu, iż tym pierwszym imieniem był Dagone (w łacińskim tekście: Dagome) mający swój odpowiednik w skandynawskim imieniu: Dagr. W ślad za tym ów Dago z regestru Dagome iudex miał być skandynawskim wikingiem na tronie książęcym w Gnieźnie. Ta hipoteza, choć w odpowiednim czasie zaangażowali się w nią bardzo wybitni historycy niemieccy, rychło upadła śmiercią naturalną razem z ustrojem, który ją wyhodował. Trzeba zresztą od razu powiedzieć, że zdecydowanie odrzucili ją nie tylko historycy polscy, lecz że takie samo stanowisko zajęli też niektórzy prawdomówni historycy niemieccy. Słabą stroną tego pomysłu jest zastąpienie jednej niewiadomej (w Kronice Galla nie wymienia się tego rzekomego pierwszego imienia) drugą niewiadomą, skoro brak rzeczowych i źródłowych przesłanek do przypisania gnieźnieńskim Piastowiczom pochodzenia wikińskiego" (Labuda, 2002). Nie będziemy wchodzić głębiej w ten trwający do dziś dyskurs, ponieważ – jak uważa wybitny polski archeolog Andrzej Buko – nie można „wiązać początków dynastii z obcymi etnicznie przybyszami, ponieważ nie upoważniają do tego ani źródła pisane, ani tym bardziej dane archeologiczne".

Uzdrowienie Mieszka

Z przytoczonych wyżej zapisów naszych kronikarzy wynika, że dorosły Mieszko dzięki cudownemu odzyskaniu wzroku oświeci kraj poprzez wprowadzenie chrześcijaństwa. Czyli musiała to być alegoria. Ale czy aby na pewno? Jak wiadomo, nie mamy źródeł pisanych z tamtych czasów, więc opieramy się na „wiernej pamięci". A w tym wypadku była ona – jak uważa Aleksander Gieysztor – niepochlebna i niekorzystna dla Mieszka, a więc – wiarygodna! Choć kroniki objaśniały odzyskanie wzroku jako cudowne ozdrowienie, to uczony przypuszcza, że długotrwała ślepota Mieszka mogła wynikać z „powikłań jaglicznych" („Poczet", 1999). Jako że wiedzę o tamtych czasach „budujemy z okruchów", to możemy przypuszczać, że Mieszko ze ślepoty został po prostu wyleczony przez ówczesnych dworskich medyków. Przypisywanie zaś cudu przy-

eprasa.pl bba3719406



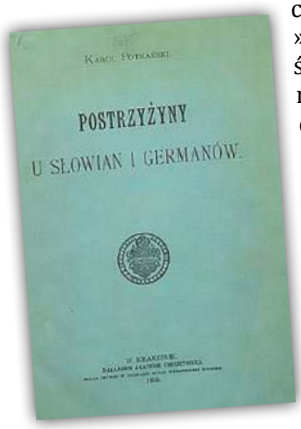
Rezerwat Archeologiczny w Grzybowie FOT. MUZEUM PIERWSZYCH PIASTÓW NA LEDNICY

wrócenia wzroku podczas postrzyżyn to wytwór wyobraźni literackiej Galla, służącej ściśle określonemu celowi. Chodziło o pokazanie późniejszego władcy jako osoby dotkniętej palcem Bożym. Taki był kanon epoki i Gall doskonale się w niego wpisywał.

Nie mógł więc Mieszko zostać zwyczajnie uleczony ze swojej ułomności przez pogańskich medyków. Musiały tu zadziałać siły wyższe, boskie, które leczą i robią to w określonym celu. Mieszko był ślepy tak jak i Polska, a dzięki odzyskaniu wzroku kraj, którym będzie rządził, zostanie wyniesiony ponad inne narody. Zwróćmy jeszcze uwagę w opisanym przez kronikarzy „cudzie" na ważną rolę matki. Szkoda, że Gall nie podał jej imienia, wiedzielibyśmy wtedy zapewne więcej o przodkach Mieszka. Zresztą nie podał też nawet imienia żony króla Bolesława Śmiałego i do dzisiaj nie wiemy, kim była ta kobieta, chociaż dokładnie opisał otrucie ich syna, królewicza Mieszka Bolesławowica.

Badacz tej części kroniki Anonima, Przemysław Wiszewski, zauważa, że pisząc: „Tak się też rzecz miała istotnie, choć wówczas inaczej mogło to być rozumiane", kronikarz w istocie „przedstawia ślepotę Polski jako jej pogaństwo, a uzyskanie wzroku – jako przyjęcie chrześcijaństwa". Historyk dalej zanotował: „W świetle narracji »Kroniki« epizod odzyskania wzroku przez Mieszka miał jasną wymowę: podkreślał znaczenie woli Boga dla dziejów dynastii, a przede wszystkim dla historii Polaków. Jest to jedyne bodaj miejsce w »Kronice«, gdzie pojawia się idea Polski i Polaków jako odpowiednika ludu wybranego przez Boga" (2009).

Wierna żona



Spójrzmy raz jeszcze na obraz Józefa Peszki. Artysta ukazuje po lewej stronie posąg słowiańskiego bóstwa, a po prawej typowy dla – jak wynika z opisu gnieźnieńskiego muzeum – „klasycystycznego malarstwa religijnego i historycznego tłum postaci". To wśród nich znajdują się przypuszczalnie ci „starsi i roztropniejsi", zapewne kapłani i wróżbici pogańscy, którzy wypowiadają opisane przez Galla proroctwa po odzyskaniu wzroku w czasie postrzyżyn. Za ok. 30 lat spełnią się one w postaci chrztu Polski. W tym jednak akcie, co dziwi, Anonim nie widział już woli Boga, jak w przypadku uzdrowienia, a tylko indywidualną decyzję księcia podjętą dzięki Dobrawie. Anonim zapisał: „Pierwszy więc książę polski Mieszko dostąpił łaski chrztu za sprawą wiernej żony".

Niemniej to cudowne uzdrowienie ze ślepoty według zamysłu kronikarza miało być zapowiedzią jego nawrócenia, które nastąpiło, gdy książę piastowski był już w dojrzałym wieku. „Współcześni historycy ze szkoły »tradycyjnej« problem ślepoty Mieszka pomijają milczeniem przy opisie jego dziejów. Bo też nie sposób tej informacji Anonima zweryfikować, a fabularna szata czyni całą opowieść mało wiarygodną. Nie oznacza to przecież, że w nurcie tym nie dostrzega się waloru poznawczego opowieści" (Wiszewski, 2009). I jeszcze jedno celne spostrzeżenie wybitnego mediewisty. „Panowanie Mieszka I to prawdziwy przełom, to »przejrzenie« narodu polskiego, symbolizowane przez cudowne przywrócenie przez Boga wzroku ślepemu od urodzenia Mieszkowi. To nie tylko opowiadanie o dziejach, lecz także ideologia: tak właśnie, zdaniem Anonima, powinny wyglądać najdawniejsze dzieje sławnego narodu polskiego i bohaterskich jego władców" (Strzelczyk, 2016).

To jednak Mieszko stworzy pierworodną, historyczną linię Piastów, która kończy się na otrutym królewiczu Mieszku Bolesławowicu. Choć początki państwa polskiego toną w mroku dziejów, to mało już kto podważa fakt, że Mieszko I był rzeczywistym twórcą Polski, który wprowadził chrześcijaństwo w obrządku zachodnim (a mógł przecież we wschodnim i wtedy ta opowieść byłaby zapewne pisana cyrylicą).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Buko A., ***„Archeologia Polski średniowiecznej",*** *Warszawa 2011; Garlicki A. (red.),* ***„Poczet królów i książąt polskich",*** *Warszawa 1991; Labuda G.,* ***„Mieszko I",*** *Wrocław 2002; Porębski M.,* ***„Dzieje malowane",*** *Warszawa 1962; Rosik S, Wiszewski P.,* ***„Wielki poczet polskich królów i książąt",*** *Wrocław 2007; Strzelczyk J.,* ***„Mieszko Pierwszy. Chrzest i początki Polski",*** *Poznań 2016; Wiszewski P.,* ***„Struktura, fabuła i historia wokół opowieści o odzyskaniu wzroku przez Mieszka",*** *„Biuletyn Polskiej Myśli Historycznej" 2009, nr 5.*

eprasa.pl bba3719406



Rachel Weisz jako Hypatia. Kadr z filmu „Agora”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Film „Agora” a rzeczywistość / Antyczni fanatycy z krzyżem w zębach

Fałsz pogańskiej męczennicy



Jakub Ostromęcki

Wbrew sugestiom reżysera Hypatia padła ofiara mordu politycznego, a nie religijnego

W 2009 r. hiszpański reżyser Alejandro Amenábar rozsierdził chrześcijan. Nakręcił bowiem film „Agora” opowiadający dzieje filozofki Hypatii żyjącej w Aleksandrii na przełomie wieków IV i V. W jego obrazie wyznawcy Chrystusa wyszli na brutalnych i fanatycznych nieuków prowadzonych do boju przez obłudny i bigoteryjny kler. Opór próbują im stawić nieliczni poganie, ludzie światli, sięgający po miecz tylko w samoobronie, którzy nawet w czasie oblężenia potrafią rozważać teorię heliocentryczną. Poganka Hypatia jest natomiast wcieleniem kobiecego intelektu triumfującego nad męską brutalnością i popędliwością. Amenábar uczynił z niej męczennicę za naukę, zamordowaną przez żądnych krwi chrześcijan. „Film wprost kipi niechęcią do chrześcijaństwa” – pisał w tygodniku „Idziemy” Mirosław Winiarczyk.

Byli jednak i publicyści zachwyceni tym filmem. „To wina chrześcijańskiej głupoty, że cały dorobek antyku został zaprzepaszczony, to chrześcijanie wykreowali antysemickie stereotypy i to chrześcijanie wreszcie związali kobietę na wieki patriarchalnym łańcuchem podległości. W starym świecie było miejsce dla feminizmu, racjonalizmu i wolności, dopóki nie zmiótł go z powierzchni ziemi fanatyzm” – stwierdzał Wojciech Kałużyński, grubo mijając się jednak z prawdą.

Amenábar trzy lata zaznajamiał się z literaturą dotyczącą filozofki. Bywał też w samej Aleksandrii, kontemplując rzymskie i greckie pozostałości. Albo nie była to nauka dogłębna, albo też część tego czasu Amenábar poświęcił na takie poprzekręcanie jej życiorysu, aby spodobał się on współczesnemu, laickiemu widzowi. Hiszpański reżyser, zdeklarowany homoseksualista i ateista, niejako z urzędu staje w opozycji do Kościoła. Ta postawa w ewidentny sposób odcisnęła swoje piętno na filmie. Amenábar bronił się, twierdząc, że chciał jedynie „skrytykować tych, którzy nie słuchają i bronią swoich idei siłą, wierząc, że są one jedynymi słusznymi. Tak było w IV stuleciu i tak jest do dziś”.

Podpaską w studenta

„Agora” rozgrywa się w dwóch światach. Pierwszy to dom Hypatii i jej ojca Teona, gdzie prowadzą oni wykłady i badania naukowe. Drugi jest na zewnątrz.

eprasa.pl bba3719406

Polityczny, brutalny, pełen fanatyzmu, plemiennych odruchów. Zacznijmy od pierwszego, gdzie reżyserskie przeinaczenia rażą nieco mniej. Antyczne źródła opisywały Hypatię jako piękną i równocześnie skromną. I taką właśnie próbował ją ukazać reżyser, osadzając w roli filozofki Rachel Weisz. Filmowa Hypatia jest cały czas młoda, a przecież podczas najbardziej krwawych walk w Aleksandrii miała już ok. 60 lat, czyli jak na tamte czasy była staruszką.

Główna bohaterka filmu jest typem sympatycznej, koleżeńskiej i bardzo zdolnej doktorantki o ścisłym umyśle i humanistycznym światopoglądzie. Prawdziwa filozofka była inna. Nawet jej biografka Maria Dzielska mówiła wprost, że Hypatia była oschłą, zdystansowaną, chłodną, ale jednocześnie etyczną intelektualistką, która ukazywała swój magnetyzm jedynie w czasie prowadzonych wykładów, i to właśnie z tego powodu była wielbiona przez swoich słuchaczy z intelektualnej elity miasta. W towarzystwie takiego człowieka trudno byłoby jednak wytrzymać zwykłemu zjadaczowi chleba.

Znamy jeden dość niewybredny szczegół z prywatnego życia Hypatii, który został zresztą uwieczniony w filmie. W wykładowczyni zakochał się jeden ze studentów. Gardząca cielesnością Hypatia, nie wiedząc, jak pozbyć się zalotnika, zaczęła mu wymachiwać przed oczami swoją zużytą podpaską. „To jest to, co naprawdę kochasz, młody człowieku, a nie piękno samo!". W filmie owym zalotnikiem jest Orestes, ten sam, który zostanie potem prefektem. W rzeczywistości był to jakiś anonimowy student.

Filozofka ubierała się i czesała bardzo skromnie, co widać też w filmie, ale wiedziała, co to luksus. Po mieście przemieszczała się powozem prowadzonym przez niewolników, zamiast demokratycznie i ekologicznie przechadzać się na piechotę – a tak właśnie pokazano to w filmie. Prawdziwa Hypatia stroniła od prostego ludu czy nawet klasy średniej, gardząc jej materialnymi, przyziemnymi problemami. „Ani Hypatia, ani jej dobrze urodzeni uczniowie nie poparliby swoimi protekcjami, u ludzi wpływowych, nikogo wywodzącego się z niższego stratum społeczeństwa" – pisała Dzielska.

Filozofów, którzy przybliżali domenę Kalliope zwykłemu ludowi zgromadzonemu na placach czy w teatrach, miała za profanów. „Pani błogosławiona, najświętsza i godna najwyższej czci" – mawiali o niej słuchacze. Była to grupa bardzo ekskluzywna, przeważnie wielcy posiadacze ziemscy, oficerowie armii rzymskiej, a także przyszli biskupi. Wykłady Hypatii rozpoczynały się od wspólnych inwokacji i modlitw do platońskiego boga. W naszych czasach wyglądałoby to jak trening rozwoju osobistego dla egzaltowanych i bardzo bogatych dziwaków, ewentualnie spotkanie wolnomularzy.



Hypatia. Obraz Juliusa Kronberga

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KOLEKCJA PRYWATNA



Teofil, biskup Aleksandrii

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Amenábar sprawił zatem, że atmosfera panująca wokół filozofki jest dużo bardziej strawna, luźna i przyjazna. Temu samemu celowi służy sfałszowanie zainteresowań Hypatii. W filmie zajmuje się ona przede wszystkim astronomią, trochę matematyką i dopiero na końcu filozofią. W rzeczywistości było dokładnie na odwrót. Astronomia i matematyka były dla niej narzędziami służącymi „roztopieniu się w bogu" (na razie pisanego małą literą, bo chodziło o boga filozofów, nie chrześcijan). Współczesny człowiek trzyma się jednak z dala od filozofii, wie o niej mało i generalnie nudzi się nią. Z kolei astronomia, której podstawy poznajemy w szkole, jest bardziej namacalna, praktyczna i dużo bardziej fascynuje. Amenábar doskonale to rozumie. Nawiasem mówiąc, w kwestii odkryć naukowych Hypatii reżyser srodze się zapędził. Gdyby bowiem filmowa filozofka pożyła jeszcze trochę, to triumf teorii heliocentrycznej nie nastąpiłby w Toruniu w XVI w., ale w Aleksandrii ponad tysiąc lat wcześniej. W rzeczywistości nie ma żadnych dowodów na to, że Hypatia badała ruch ciał niebieskich wokół Słońca. W jej świecie królował cały czas model ptolemeuszowy, w którym to Ziemia jest centrum.

Ciemni i brutalni chrześcijanie

Pora na drugi, bardziej kontrowersyjny wątek „Agory" – polityczno-religijny. Po tym, jak chrześcijański fanatyk wrzucił pogańskiego mówcę w ogień, Teon – ojciec Hypatii – znajduje w domu krzyżyk. Jest zdruzgotany niczym niemiecki humanista filosemita, znalazłszy na

eprasa.pl bba3719406

początku lat 30. u swoich pracowników opaskę ze swastyką. Teon „chrześcijańską zarazę" wypędza zatem pejczem. A następnie, jako persona wśród pogan znana i poważana, zgadza się, aby na chrześcijanach wziąć krwawy odwet.

Nawet Orestes, przyszły prefekt i przyjaciel Hypatii, wyrusza bić wyznawców Jezusa. Jest to kompletne nieporozumienie. Wśród słuchaczy filozofki i jej ojca większość stanowili chrześcijanie lub ludzie sprzyjający tej religii. Dwóch z nich zostanie niedługo biskupami. Nawet chrześcijańscy hierarchowie Aleksandrii nie byli wrogami szkoły Hypatii. Biskup Teofil był obecny na ślubie jej ucznia Synezjusza, wówczas jeszcze poganina, z chrześcijanką – błogosławił nawet młodej parze. Po chrzcie Synezjusza Teofil popierał jego starania o biskupią sakrę. Niemożliwe, aby robił to wobec absolwenta uczelni prowadzonej przez pogańską wiedźmę. Podobnie jest ze sceną, w której Hypatia wygłasza w senacie miasta tyrady zniechęcające urzędników do przyjęcia chrześcijaństwa. Jak podkreśla Dzielska, „ceniona w kręgach rządzących, sprzyjająca chrześcijanom, niewspominana w źródłach jako zwolenniczka kultów pogańskich, żyła sobie przez wiele lat spokojnie w Aleksandrii, nie uczestnicząc w walkach i sporach religijnych".

W scenach związanych ze zburzeniem pogańskiego Serapejonu pojawia się dwóch mężczyzn. Mederus jest niewolnikiem wychłostanym za chrześcijaństwo przez Teona. W czasie pogromu mści się na swoim panu. Zostaje zaraz zabity przez poganina Orestesa. Drugi z mężczyzn to Dawus, początkujący adept astronomii, nieszczęśliwie zakochany w Hypatii. Dawus to również konwertyta, który bierze potem udział w dewastacji Serapejonu. Zarówno Mederus, jak i Dawus są postaciami fikcyjnymi, nieprawdziwy jest też udział Teona i Orestesa w ówczesnych zamieszkach. Prawdziwy Orestes pojawił się na arenie dziejów Aleksandrii już jako chrześcijański prefekt, niepodobna więc, aby bił się po stronie pogan czy odmawiał uczestnictwa we Mszy z powodu tego, że kocha Hypatię. Prawdziwa filozofka nigdy nie krytykowałaby go za klękanie przed krzyżem.

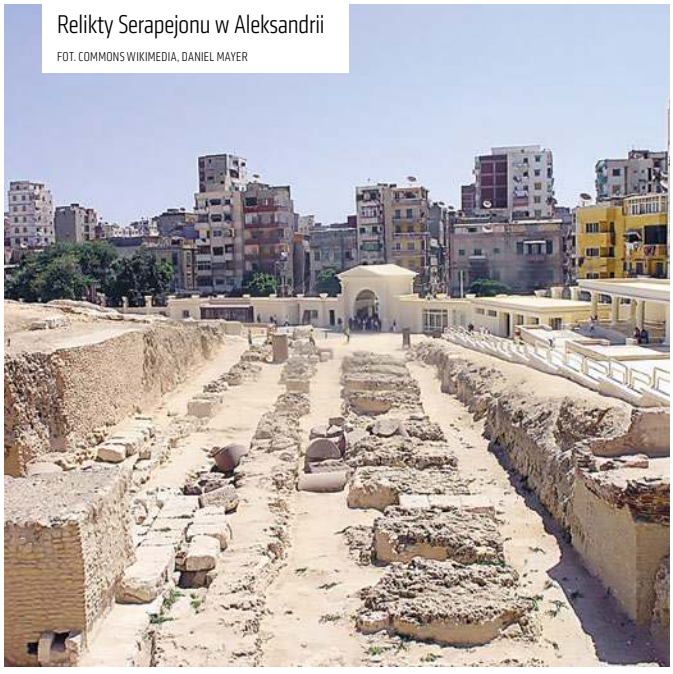
Jak wspomnieliśmy wyżej, chrześcijanie według Amenábara to skołtunieni fanatycy. Punktem centralnym owego obrazu jest palenie księgozbioru w Serapejonie. Ammoniusz, wiodący tłumy bojówkarzy, przemierza bibliotekę krokiem rapera psychopaty, ciesząc się z tego, że w płomieniach giną pogańskie zwoje. Z góry, z dużej odległości, plądrujący świątynię chrześcijanie wyglądają jak uwijające się robactwo. W wolnych chwilach rozmawiają o nieboskłonie i Ziemi, twierdząc, że jest płaska, a gwiazdy to światło przeświturające przez dziury w gigantycznym koszu.

Czy chrześcijanie celowo spalili książki w Serapejonie? Czy byli bardziej ciemni od pogan? Po pierwsze, nie wiemy, czy w 391 r. w świątyni w ogóle znajdowały się jakieś książki. Po drugie, stosunek aleksandryjskich chrześcijan do pogańskich ksiąg był daleki od tego, co pokazano w filmie, skoro sam bp Cyryl inspirował się w swoich badaniach koncepcjami Arystotelesa. Patrząc natomiast szerzej, chrześcijaństwo przejęło od pogańskich filozofów aparat pojęciowy, aby za jego pomocą łatwiej szerzyć prawdy wiary. Nawet najbardziej zajadli przeciwnicy pogańskich filozofów mawiali, że ich dzieła trzeba znać po to, by z nimi skutecznie polemizować. Natomiast ciemnota występowała po równo u chrześcijan i pogan. Ale jednak zabobonnych Hellenów, czyniących wróżby nad zwierzęcymi wątrobami czy sporządzających magiczne eliksiry, nie uświadczymy u Amenábara.

Wzajemne pogromy

Gdy dwie społeczności wpadają w spiralę wzajemnych rzezi, obserwatorzy zadają oczywiste pytanie: „Kto zaczął?". Amenábar nie ma w tej sprawie wątpliwości: w Aleksandrii na przełomie wieków IV i V spiralę przemocy nakręcili chrześcijanie. Parabolanian Ammoniusz, czyli kościelny sanitariusz i ochroniarz w jednym, droczy się z pogańskim mówcą, po czym – jak na rasowego manipulatora przystało – kroczy raźno przez żarzące się węgle, chcąc w ten sposób wykazać, że Bóg mu sprzyja. Proponuje zaraz to samo przeciwnikowi. Ten jednak, człowiek racjonalny, krzywi się na tak głupi pomysł. Wtedy chrześcijańscy bojówkarze wrzucają go do ognia. Na nieszczęśniku płonie toga, nie wiemy, czy się z tego wykaraskał. I dopiero wtedy zgromadzeni w Serapejonie poganie zmuszeni są krwawo pomścić ziomka. Wzajemnym pogromom nie ma końca.

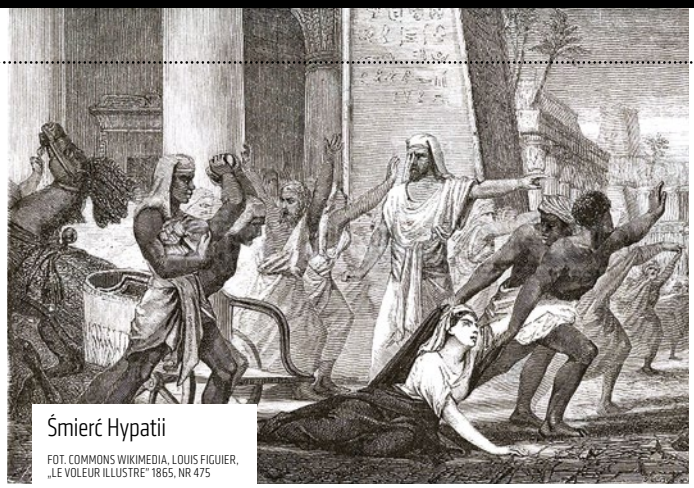
Spór w Aleksandrii nie zaczął się jednak od ciskania pogańskich mówców w ogień przez chrześcijańskich bojówkarzy. Miasto zagotowało się w 391 r., gdy cesarz Teodozjusz wydał edykt zakazujący kultu pogańskiego. Biskup Aleksandrii, Teofil, zachęcony nowym prawem, zorganizował procesje i wiece, na których kpiono w niewybredny sposób z pogańskich rytuałów. Obnosił np. po ulicach sztuczne fallusy, symbolizujące pogańskie bóstwa, aby każdy chętny mógł w nie



Relikty Serapejonu w Aleksandrii

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DANIEL MAYER

eprasa.pl bba3719406



Śmierć Hypatii

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LOUIS FIGUIER, „LE VOLEUR ILLUSTRE" 1865, NR 475

rzucać, czym popadnie. To ten fakt doprowadził do furii aleksandryjskich pogan, którzy wówczas zaczęli planować krwawy pogrom chrześcijan. W dzisiejszym tolerancyjnym świecie Teofil dostałby pewnie wyrok za obrażanie przedmiotów czci religijnej. Jego postępek, choć z naszego punktu widzenia prostacki, to jednak nie to samo, co wrzucenie człowieka inaczej myślącego do ognia. Nie mówiąc już o tym, że w oczach współczesnych mu chrześcijan jego zachowanie było jak najbardziej na miejscu. Teofil bezcześcił bowiem symbole zakazane przez prawo.

Potem jednak wszystko się już zgadza. Poganie ruszyli na chrześcijan i – jak pisze Sokrates Scholastyk – „mordowali ich, jak popadło […]. Bronili się i chrześcijanie i szły zbrodnie za zbrodniami". Nasyciwszy się zemstą, sprawcy umknęli z miasta. Chrześcijan było bowiem więcej, w sukurs przyszły im też stacjonujące w Egipcie legiony.

Kilku inicjatorów pogromu zrobiło kariery naukowe w Konstantynopolu, gdzie niemal pod okiem chrześcijańskiego cesarza okazywali przywiązanie do dawnej wiary. Co więcej, jeden z nich, niejaki Helladios, chwalił się w prywatnych rozmowach, że zabił w Aleksandrii własnoręcznie dziewięcioro chrześcijan. Zburzenia Serapejonu nie dokonała jednak dzika tłuszcza wymachująca krzyżem, ale wojsko i wynajęci robotnicy.

Wydarzenia, które w rzeczywistości rozgrywały się w ciągu 20 lat, Amenábar skompresował do kilku miesięcy, co jest w kinie historycznym zabiegiem częstym i nieraz koniecznym z punktu widzenia fabuły. Zburzenie Serapejonu miało miejsce w 391 r. W życiu Hypatii nastąpiło potem kilkanaście lat spokoju, aż do roku 412, gdy biskupem Aleksandrii został Cyryl, siostrzeniec zmarłego patriarchy Teofila.

Cyryl był człowiekiem pełnym kontrastów. Wielki intelektualista, sprawny administrator i człowiek głęboko wierzący, a także apodyktyczny i chytry intrygant pragnący z Egiptu uczynić udzielne władztwo rządzone przez biskupów. Nie po drodze było mu z władzami świeckimi. W tym samym czasie prefektem Egiptu został Orestes, bliski przyjaciel, choć – jak wiemy z incydentu podpaskowego i podeszłego wieku Hypatii – już raczej nie jej kochanek. W filmie Cyryl pragnie rozprawić się z pozostałościami pogaństwa i Żydami. Wysyła więc Ammoniusza, aby sprowokował zamieszki w teatrze, co ten ochoczo czyni, ciskając w żydowską publiczność kamieniami. Wściekli Żydzi mszczą się, zwabiając chrześcijan do kościoła św. Aleksandra pod pretekstem pożaru, gdzie ich zamykają i kamienują, stojąc na wysoko położonych galeriach. W odwecie w mieście dochodzi do krwawego pogromu Żydów, inspirowanego zza kulis przez Cyryla. Widzimy sceny jak z innej strasznej epoki, gdy jedna z przerażonych Żydówek, odarta z szat, biegnie przez oszalały tłum.

Obłudny biskup zaprasza potem Orestesa na negocjacje w sprawie resztek żyjących w mieście pogan, ale „o Żydach mówić nie chce". Prefekt jest jednak bierny, rozbity. Przechodząc przez aleksandryjską agorę, zostaje napadnięty przez bojówkę Ammoniusza. Za cios kamieniem cyngiel Cyryla zostaje jednak natychmiast ukatrupiony przez legionistów. Cyryl ogłasza wówczas Ammoniusza świętym, a całą winę za wspieranie pogan przez prefekta zrzuca na Hypatię, nazywając ją podczas kazania wiedźmą. Efektem tego jest próba ukamienowania jej i wreszcie „miłosierne" uduszenie przez konwertytę Dawusa.

Straszna śmierć

Amenábar sporo tu namieszał. Nie kamienie były praprzyczyną mordów, a domniemane donosicielstwo. Pewnego dnia bowiem, gdy Orestes ogłaszał w teatrze swoje rozporządzenia, Żydzi zaczęli krzyczeć, że wśród publiczności jest agent Cyryla podsłuchujący prywatne rozmowy i siejący niezgodę – niejaki Hieraks. Orestes nie był człowiekiem biernym, jak chce tego filmowy scenariusz, lecz bardzo krewkim, i biskupiego klakiera wziął na spytki, co w tamtych czasach wiązało się z torturami. Hieraks przesłuchania nie przeżył.

Krwawa zasadzka Żydów w kościele i odwetowy pogrom zakończony wygnaniem Żydów rzeczywiście miały miejsce, ale po wszystkim to Cyryl, najpewniej przestraszony konsekwencjami swojego odwetu, wyciągnął w stronę prefekta rękę do zgody. Ten nie chciał o tym słyszeć i zamiast tego zajął się w kolejnych miesiącach budowaniem chrześcijańskiego, choć świeckiego stronnictwa skupionego wokół intelektualnej, wojskowej i urzędniczej elity miasta. Cyryl wystawił przeciw niemu biedotę, parabolan i sprowadzonych z pustyni mnichów.

Między chrześcijanami rozgorzała wojna o zakres świeckiej władzy biskupa Aleksandrii. Orestes faktycznie ugodzony został kamieniem podczas zamieszek, ale w przeciwieństwie do scenariusza filmowego jego ochroniarze czmychnęli, zostawiając go samego. Od śmierci uratowali go zwykli ludzie – stronnicy władzy świeckiej. Ciskającego kamieniem Ammoniusza swoim zwyczajem Orestes wziął na tortury, czego w filmie nie uświadczymy. Nie rozwiązało to jednak sporu.

Po kilku miesiącach konflikt wybuchł na nowo. Tym razem w kościołach zaczęto rozgłaszać, że Hypatia, będąca intelektualną podporą stronnictwa Orestesa, jest wiedźmą. Nie robił tego jednak sam Cyryl, jak przedstawia to Amenábar. Biskup był na to za sprytny. Brudną robotę odwalił Piotr – lektor czy też niższy kapłan. To podburzony przez niego tłum zwykłych uliczników lub parabolan napadł na powóz Hypatii. Jej śmierć była dużo straszniejsza niż to, co widzimy w filmie. Tłuszcza zdarła z niej szaty i rozerwała ciało ostrymi kawałkami potłuczonych garnków, podobno wyłupiając też oczy. Hypatia padła zatem ofiarą mordu politycznego, a nie religijnego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bba3719406



Kolejka pod sklepem spożywczym sieci HO, lata 50. XX w. Napis nad szyldem: „Towary dla lepszego życia"

FOT. BUNDESARCHIV

XX w. / Kulinarny krajobraz NRD

Grilletta i złote brojlery



Piotr Semka

Obsesja komunistycznych władz na punkcie oszczędzania dewiz prowadziła do wymyślania zamienników importowanych towarów spożywczych. Niektóre z nich sprowadzano, ale tylko od święta

Niemiecka Republika Demokratyczna jawi się kolejnym pokoleniom jako przedziwna kraina paradoksów i absurdów, budząc powierzchowną fascynację. Z kolei starsze pokolenie, które nie lubi pamiętać, jaką cenę płaciło się za życie w strachu i zakłamaniu, czuje nierzadko nostalgię do lat przeżytych w NRD.

Nieprzypadkowo za Odrą książki i artykuły na temat „niemieckiego państwa robotników i chłopów" niezmiennie biją rekordy popularności i potrafią ożywić łamy gazet i tygodników. Nade wszystko temat kulinarnego krajobrazu NRD obfituje w wyjątkowo wiele dziś już egzotycznych anegdot i opowieści.

Rozważania o wschodnioniemieckich kulinariach rozpocząć należy od czasów, gdy Niemcy znajdowały się w ruinie. W pierwszych miesiącach sowieckiej okupacji setki tysięcy wschodnich Niemców pracowały przy odgruzowywaniu miast jedynie w zamian za niewielkie porcje chleba. Następnie aż do maja 1958 r. w NRD funkcjonował system kartkowy; jego zniesienie doprowadziło zresztą do wzrostu cen żywności. We wspomnieniach „starych NRD-owców" okres do 1958 r. oraz lata następne to dwa różne światy. O ile wcześniej to, co można było dostać w sklepach, charakteryzowało się kiepską jakością, o tyle było przynajmniej tanie. Natomiast po 1958 r. rozpoczął się proces rozwarstwiania się społeczeństwa.

W dużych domach towarowych sieci HO (Handelsorganisation) wprowadzono działy „konsum", oferujące żywność uważaną za bardziej luksusową. Osobną rolę odgrywały punkty sprzedaży dla wojskowych i ich rodzin, które działały pod skrótem MHO (Militär – Handelsorganisation). Jeszcze inna sieć sklepów była do dyspozycji pracowników Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. A dodatkowa struktura handlowa obsługiwała wyższą nomenklaturę rządzącej komunistycznej partii SED.

A co ze zwykłymi obywatelami, którzy formalnie byli gospodarzami w NRD? Robotnicy i chłopi musieli niestety zadowalać się najgorszymi typami wędlin czy warzyw. W stołówkach fabrycznych przez pierwsze 10 lat po wojnie dominowały „eintopfy", czyli dania jednogarnkowe w postaci gęstych zup, takich jak kartoflanka czy kapuśniak.

Natomiast personel sklepów wszelkie bardziej atrakcyjne towary sprzedawał spod lady. Zyskało to u wschodnich Niemców specjalne określenie: „Bückware". Rzadkie towary były wyłapywane przez kierowniczki sklepów w celu wymieniania tych „atrakcji" na równie deficytowe rzeczy sprzedawane w innych punktach. Oczywiście najbardziej atrakcyjne były artykuły importowane – np. węgierskie wina, bułgarskie brzoskwinie, czechosłowackie szynki w puszce czy rumuń-

eprasa.pl bba3719406



Kaffee Mix, czyli 51 proc. kawy w kawie

FOT. DDR MUSEUM

skie koniaki. Począwszy od lat 60., powoli starano się podwyższać standard produktów żywnościowych, ale cały czas problemem był dostęp do towarów zagranicznych.

Jeden banan raz w roku

Obsesją władz NRD było oszczędzanie dewiz. Szczególnie starsza generacja dygnitarzy (na czele z I sekretarzem SED Walterem Ulbrichtem), która miała za sobą surowe życie w Związku Sowieckim w latach 30. i w czasie wojny, uważała nawet najbardziej podstawowe towary z zagranicy za niepotrzebną zachciankę. Wskazywano, że jeżeli już ktoś ma ochotę na sardynki w puszkach, ananasy czy dobre wina, to może wydawać „twarde" waluty w specjalnych sklepach Interhandel, które były odpowiednikiem późniejszych polskich peweksów.

Bardziej rozsądni członkowie politbiura SED rozumieli jednak, że społeczeństwo nie może wiecznie żyć w kulcie pracy oraz poświęceń dla socjalistycznego państwa i powinno choć raz w roku zaznać odrobiny luksusu. Z tego powodu, zazwyczaj w okolicy Bożego Narodzenia i sylwestra, ściągano z zagranicy rozchwytywane towary, np. banany. Częstotliwość pojawiania się tego egzotycznego owocu w sklepach przyczyniła się do powstania gorzkiego żartu: „Dlaczego w NRD nie żyją małpy?". Odpowiedź brzmiała: „A która małpa wyżyje na jednym bananie rocznie?".

Kolejnym wydatkiem dewizowym, na który czasem porywało się socjalistyczne państwo niemieckie, były pomarańcze. Trafiały one do sklepów w okolicach Gwiazdki. Pomarańcze były tak wielkim rarytasem, że zapobiegliwe NRD-owskie gospodynie nie pozwalały sobie na wyrzucanie skórek tych owoców. Kandyzowano je na patelni, smażąc z cukrem, albo zalewano spirytusem. Tak powstawała nalewka o nazwie Pomeranze.

W latach 70. nowy przywódca NRD, Erich Honecker, wpadł na pomysł, jak sprawić, by socjalistyczne państwo nie musiało wydawać dewiz na import pomarańczy. W trakcie wizyty na Kubie wynegocjował import tych owoców w zamian za dostawy maszyn. I nagle w sklepach pojawiła się ogromna liczba skrzynek z pomarańczami, a zachwycony tłum kupował je na kilogramy. Niestety, radość nie trwała długo. Okazało się, że kubańskie pomarańcze mają grubą skórę i łykowate wnętrze. Nie nadawały się za bardzo do jedzenia, a wyciskane w sokowirówkach dawały mało smaczny sok.

Kolejnym towarem, wokół którego toczono debaty na najwyższym szczeblu, były szparagi. Ortodoksyjni marksiści uznali, że w NRD-owskich państwowych gospodarstwach rolnych nie ma miejsca na hodowanie „burżuazyjnego warzywka". Dopiero od początku lat 60. władze łaskawie zgodziły się, aby w paru kombinatach rolnych rozpoczęto hodowlę szparagów. Produkcja była jednak na tyle niewielka, że gdy szparagi trafiały do supermarketów, ustawiały się po nie długie kolejki.

Coś z niczego

Wieczne apele o maksymalne redukowanie tzw. wsadu dewizowego w produktach żywnościowych NRD skłoniły z czasem Ericha Honeckera do sformułowania postulatu „substytucji". Chodziło o zastępowanie importowanych towarów spożywczych, takich jak kawa, kakao, migdały czy cytrusy, ich „analogami". Kolektywy chemików i technologów żywności głowiły się latami nad tym, by produkcja opierała się w jak najwyższym stopniu na krajowych surowcach. Jak wspominał pewien kierownik działu badań w Instytucie Racjonalizacji Przemysłu Cukierniczego w Lipsku, w latach 80. otrzymał od przełożonego próbkę produktu holenderskiej firmy. Było to nadzienie do ciast przypominające marcepan, którego głównym składnikiem była fasola mung sprowadzana z Azji. Dla Holendrów jej import nie był drogi i opłacało im się zastępować marcepan wytworzonym z niej preparatem. Ale dla NRD-owców fasola mung była jednak zbyt droga, więc wspomniany chemik otrzymał zadanie, by znaleźć jakiś substytut. W rezultacie pracownicy instytutu uzyskali coś, co od biedy mogło przypominać marcepan: zmielony zielony groszek, wymieszany z cukrem i aromatami. Ostatecznie jednak uznano, że gdyby ludzie wykryli, iż taki pseudomarcepan powstaje z zieleniny, mogłoby dojść do protestów, więc pomysł zarzucono.

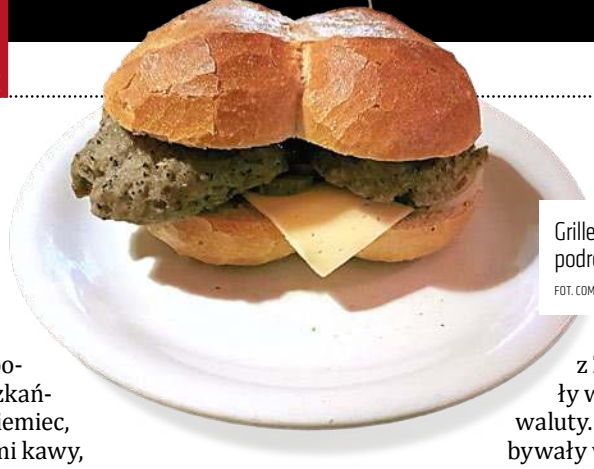
Takie obawy nie były bezpodstawne. Gdy w 1976 r. wskutek nieurodzaju doszło do nagłego wzrostu cen kawy na światowych rynkach, naukowcy z Poczdamu dostali zadanie stworzenia „erzacu". Efektem ciężkiej pracy technologów żywności był Kaffee-Mix, który składał się jedynie w 51 proc. ze zmie-



Słodka tabliczka z zawartością 7 proc. kakao

FOT. DDR MUSEUM

eprasa.pl bba3719406



Grilletta, czyli tandetna podróbka hamburgera

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

lonych ziaren kawy. Resztę stanowiła mieszanka sproszkowanych roślin strączkowych, zboża i cykorii. Mieszkańcy wschodnich Niemiec, będący amatorami kawy, natychmiast zorientowali się w oszustwie. Nowy wynalazek nazwano Erich-Krönung; było to złośliwe nawiązanie do Jacobs Krönung, czyli najpopularniejszego gatunku zachodnioniemieckiej kawy. Próba wciśnięcia NRD-owcom tego „erzacu" wywołała tak powszechne oburzenie, że zaniepokojone władze sięgnęły po środek mający choć trochę załagodzić nastroje. W 1978 r. wycofano limit ilościowy na kawę przesyłaną w paczkach przez rodziny z Zachodu. Dzięki temu w krótkim czasie zaczęło się pojawiać znacznie więcej dobrej, zachodniej kawy i złość obywateli nieco opadła.

Jednak władze wciąż były zainteresowane „erzacami". Pionierzy „substytucji" z Centralnego Instytutu Żywienia w Poczdamie odkryli, że zielone pomidory smażone w cukrze mogą od biedy zastąpić kandyzowaną skórkę cytryny w bożonarodzeniowej strucli. Inne ich osiągnięcie to propozycja, by całkowicie syntetyczny, niskotłuszczowy majonez używać jako zamiennik kremu i jajek w produkcji wyrobów cukierniczych. W Poczdamie testowano także buraki i łupiny z ziaren kakao w nadziei, że mogą być substytutem kakao w czekoladzie. Tak powstała Schlager Süsstafel – słodka tabliczka. Składała się ona z tłuszczu, cukru, serwatki, zmielonych orzechów, a kakao było w niej tylko 7 proc. Produkt ten zawierał ponadto białko, wapń i lecytynę. Z prawdziwą czekoladą nie miał wiele wspólnego, ale w prasie wychwalano go jako prawdziwe źródło zdrowia.

Choć trochę jak na Zachodzie

Wielkim dylematem dla władz NRD był stosunek do paczek żywnościowych wysyłanych przez rodziny żyjące na Zachodzie. Uznać je za coś pozytywnego czy negatywnego? Z jednej strony jakość produktów przysyłanych z RFN była niczym akt oskarżenia wobec nędzy i bylejakości socjalistycznego państwa. Z drugiej strony paczki łagodziły Mangelwirtschaft (gospodarkę niedoborów) – zjawisko typowe dla wszystkich krajów doświadczających uroków „gospodarki planowej". Przysyłanie paczek tolerowano zatem, choć co jakiś czas nakładano ograniczenia na pewne produkty.

Kolejną szykaną i elementem kontrolowania społeczeństwa był surowo egzekwowany zakaz handlowania towarami z zachodnich paczek. Pilnowano też, by dzieci nie przynosiły do szkoły tak luksusowych produktów jak banany czy czekolada. Nauczyciele otrzymywali polecenie, by w razie zaobserwowania takich sytuacji wzywać rodziców i udzielać im surowej reprymendy.

Ale mimo wszystko produkty z paczek od rodzin z Zachodu jakoś krążyły w formie zastępczej waluty. Przede wszystkim bywały wręczaną po cichu łapówką. Paczka zachodniej kawy czy butelka dobrego koniaku była idealnym „prezentem" dla profesora chirurgii, decydującego o kolejności kierowania pacjentów na skomplikowane operacje. Podarunki żywnościowe z Zachodu były też cennym atutem dla podrywaczy. Znane w Polsce powiedzenie „Kawa Marago, figo-fago, kobieta nago" miało w NRD swój odpowiednik i było streszczeniem planu miłosnego podboju: zaproszenie atrakcyjnej dziewczyny na pochodzącą z Zachodu prawdziwą kawę, a następnie wykorzystanie tej sytuacji tak dalece, jak się tylko da.

W liceach każdy kandydat do roli donżuana wiedział, że najlepszym sposobem na zaproszenie najładniejszych dziewczyn na prywatkę będzie rozpuszczenie plotki, iż serwowane tam będą zachodnie alkohole.

Kolejną obsesją władz



Specjał z enerdowskiej sieci „Goldbroiler" – ćwiartka kurczaka, frytki, surówka i paprykowy sos puszta

FOT. PIOTR SEMKA

eprasa.pl bba3719406



Substytut Coca-Coli

FOT. DDR MUSEUM

NRD była myśl, że społeczeństwo nieustannie porównuje poziom swojego życia do tego, jak wygląda to w Niemczech Zachodnich. Co prawda, obywatele NRD nie mogli wyjeżdżać na zachód, ale ku zmartwieniu komunistów oglądali zachodnioniemiecką telewizję i wiedzieli, czym jest Coca-Cola, hamburger czy pizza. Dlatego w miarę możliwości wprowadzano choćby symbolicznie pewne odpowiedniki tych produktów. I tak w rolę hamburgera wcielał się w państwie Honeckera podobnej wielkości wołowy kotlecik wypuszczony na rynek pod włosko brzmiącą nazwą „grilletta". W charakterze smacznej popularnej przekąski w stylu street food występowały z kolei kurczaki golden broiler, sprzedawane w sieci popularnych smażalni. Podstawowy asortyment w tego typu minibarach stanowiła połówka kurczaka (dla oszczędnych jedynie ćwiartka) plus frytki. Żeby nawiązać do wakacyjnych wojaży NRD-owców na Węgry, do frytek dodawano pikantny sos Puszta z czerwonej papryki, cebuli i sosu pomidorowego.

„Vita cola"

Natomiast odpowiedzią na Coca-Colę była NRD-owska Club Cola. Dyskretną prośbę, by przemysł NRD wyprodukował coś podobnego do „amerykańskiej trucizny" – jak nazywała Coca-Colę NRD-owska propaganda w latach 50. – władze komunistyczne skierowały do naukowców w 1965 r. Ci stanęli na wysokości zadania i 19 kwietnia 1967 r. pierwsza butelka napoju o nazwie „Club Cola" zeszła z linii Getränkekombinat Berlin. Na lipskich targach w 1972 r. karminowo-brunatny produkt otrzymał złoty medal w kategorii Napoje Orzeźwiające. Później pojawiła się kolejna podróbka Coca-Coli pod nazwą „Vita Cola", produkowana w Schmalkalden w Turyngii. Podobne substytuty Coli produkowano też w Polsce (Polo Cockta) oraz w Czechosłowacji (Kofola). Jednak w obu tych krajach komunistyczne władze pozwoliły z czasem Coca-Coli (bądź Pepsi Coli) wejść na rynek. W Polsce stało się to w 1972 r., a w Czechosłowacji w połowie lat 80. Władze NRD były o wiele bardziej pryncypialne. Do momentu upadku muru Erich Honecker nie zgodził się na kupienie licencji Coca-Coli.

Cały ten dziwaczny świat rozsypał się na przełomie lat 1989 i 1990. NRD wyzionęła ducha, a jej byli obywatele rzucili się na atrakcyjne zachodnie towary, które zalały wschodnie Niemcy. Trzeba było kilku lat, by mieszkańcy wschodnich landów zaczęli odczuwać nostalgię za swoimi dawnymi markami z epoki przaśnej socjalistycznej ojczyzny. Ale to już temat na zupełnie inną opowieść.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Książki Wydawnictwa Poznańskiego



Twoje źródło wiedzy!

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

ZAMÓW KSIĄŻKĘ NA wydajenamsie.pl

Wydaje nam się

eprasa.pl bba3719406



Elżbieta Bośniaczka i jej córka Maria przy grobie męża i ojca – Ludwika I Wielkiego (Węgierskiego). Obraz Józsefa Molnára

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIKSAADY GALLERY

Wywiad / Z prof. Stanisławem A. Sroką, mediewistą z UJ, autorem książki „Ludwik Węgierski”

Andegaweńska gra o tron

– Wypadki nabrały tempa nagle jesienią 1370 r., w związku z gwałtownym pogorszeniem się stanu zdrowia Kazimierza Wielkiego – mówi historyk



rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego tak pośpieszono się ze złożeniem do grobu ciała ostatniego piastowskiego króla?

PROF. STANISŁAW A. SROKA: Kazimierz Wielki umarł 5 listopada 1370 r. Gdy 7 listopada, przed zapadnięciem zmroku, u bram grodu krakowskiego stanął Ludwik Andegaweński, ciało ostatniego Piasta na polskim tronie od kilku godzin spoczywało już w grobie. Pochówek miał miejsce w katedrze na Wawelu. Ten przedwczesny pogrzeb króla, bez zaczekania na przyjazd nowego władcy Polski, miał być zdaniem niektórych historyków afrontem w jego kierunku, inspirowanym przez niechętnych mu dostojników państwowych.

Nie brak jednak głosów, że nie był to afront, tylko pochówek w zgodzie z tradycją chrześcijańską, czyli trzeciego dnia, licząc od śmierci. Z kolei prof. Wojciech Fałkowski podkreśla, że nikt ze zwolenników Ludwika przebywających wówczas w Krakowie nie nalegał na opóźnienie pogrzebu. Teza o afroncie wobec króla Węgier nie jest zatem słuszna, co potwierdza też bardzo uroczyste przyjęcie króla nie tylko u granic państwa, lecz także u bram Krakowa. Witały go zarówno rada miasta, przedstawiciele cechów, jak i duchowieństwo.

Od kiedy wiadomo było, że to właśnie Ludwik Węgierski przejmie polski tron po śmierci Kazimierza Wielkiego?

Sprawa sukcesji andegaweńskiej w Polsce była obecna we wzajemnych relacjach praktycznie przez całe panowanie Kazimierza Wielkiego. Przez długi czas przyjmowano, że w 1339 r., na zjeździe w Wyszehradzie, Kazimierz Wielki – w zamian za ustępstwa Węgier na Rusi Halicko-Włodzimierskiej – obiecał Karolowi Robertowi, iż jeśli umrze, nie zostawiwszy męskiego potomka, wówczas tron w Polsce przejdzie w ręce Andegawenów. Sam fakt istnienia takiego układu sukcesyjnego nie ulega wątpliwości, natomiast historycy spierają się odnośnie do czasu i miejsca jego zawarcia. Ostatnio pojawiła się hipoteza, że układy sukcesyjne nie zostały zawarte na zjeździe wyszehradzkim w 1339 r., lecz dopiero w 1340 r., po pierwszej wyprawie Kazimierza Wielkiego na Ruś. Ale jako że w 1341 r. Kazimierz Wielki, wciąż będąc młodym mężczyzną, ożenił się ponownie, sprawa andegaweńskiej sukcesji została na jakiś czas zamrożona.

Jednak lata mijały i polski król wciąż nie miał męskiego potomka. Kiedy powrócono do tego pomysłu?

4 kwietnia 1350 r w Budzie został wystawiony przez króla Ludwika dokument, w którym to on, jako dziedzic Królestwa Rusi, darował ją – pod pewnymi jednak warunkami – Kazimierzowi Wielkiemu. Gdyby król Polski doczekał się legalnego następcy tronu, wówczas Andegawenowie zagwarantowali sobie prawo wykupu Rusi za kwotę 100 tys. florenów. Jednak w przypadku śmierci Kazimierza bez męskiego potomka Ruś oraz Królestwo Polskie miały przejść pod panowanie Andegawenów (Ludwika lub jego żyjącego jeszcze wtedy brata Stefana). Być może akt budziński króla Ludwika Kazimierz Wielki poddał pod dyskusję zgromadzonych w Sulejowie na wiecu najwyższych dostojników państwowych – zarówno świeckich, jak i kościelnych. Zdaniem znakomitego znawcy tych zagadnień Andrzeja Marca „od tego momentu kwestia sukcesji stała się sprawą nie tylko porozumień Kazimierza Wielkiego z Ludwikiem, ale […] sprawą

eprasa.pl bba3719406



Ślub Elżbiety Łokietkówny z Karolem Robertem

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KÉPES KRÓNIKA, KÁLTI MÁRK

publiczną i bardzo ważką dla elit politycznych i rycerskich Królestwa Polskiego".

Kolejnym ważnym punktem na tej osi czasu jest rok 1355.

Ludwik Węgierski zawarł wówczas w Budzie porozumienie z przedstawicielami polskiego społeczeństwa odnośnie do warunków, na których zostanie uznany przez nich za króla Polski. Niedługo potem podobne zobowiązanie złożyli wobec Kazimierza Wielkiego możni węgierscy. Wystawienie tego nowego dokumentu miało niewątpliwie związek ze śmiercią brata Ludwika, Stefana, co miało miejsce w 1354 r.

W odnowionych układach sukcesyjnych jest mowa zarówno o Ludwiku jako potencjalnym następcy bezdzietnego Kazimierza Wielkiego, jak i o Janie, synu zmarłego Stefana. Zastrzeżono jednak wyraźnie, że sukcesja w Polsce dotyczyć będzie tylko męskich przedstawicieli dynastii andegaweńskiej. Widać zatem wyraźnie, że problem sukcesji andegaweńskiej był praktycznie nieustannie obecny podczas panowania Kazimierza Wielkiego.

Wypadki nabrały tempa nagle jesienią 1370 r., w związku z gwałtownym pogorszeniem się stanu zdrowia króla. Kilka dni przed swoją śmiercią polski władca w swoim testamencie postanowił przekazać ziemie dobrzyńską, sieradzką i łęczycką swojemu ukochanemu, niedawno adoptowanemu wnukowi, Kaźkowi słupskiemu. Jednakże tę część testamentu król Ludwik, po przybyciu do Krakowa, na skutek namów „niektórych zawistnych" zakwestionował.

Ile tak naprawdę było Węgra w Ludwiku Węgierskim?

Niezbyt dużo. Rodzicami Ludwika Andegaweńskiego byli Karol Robert i Elżbieta Łokietkówna. Ta ostatnia to córka Władysława Łokietka. Natomiast ojciec Ludwika urodził się w Neapolu i pochodził z tamtejszej linii dynastii andegaweńskiej. Dziadek Ludwika, Karol Martel, był z kolei synem Karola II, obdarzonego przydomkiem Krzywy, i Marii, która była córką króla węgierskiego Stefana V. Ten ostatni mariaż był wynikiem zawarcia w 1269 r. węgiersko-andegaweńskiego układu dynastycznego, umocnionego w roku następnym, jak to było w średniowiecznym zwyczaju, małżeństwem zawartym między dziećmi panujących monarchów.

Pretensje Andegawenów do węgierskiego tronu były wciąż podtrzymywane, czego dowodem było ukoronowanie w 1294 r. Karola Martela, czyli dziadka naszego Ludwika, na króla Węgier, przez papieża Celestyna V. Zwierzchnicy Kościoła katolickiego – zarówno Celestyn V, jak i jego następca Bonifacy VIII – byli gorącymi zwolennikami neapolitańskiej dynastii. Starania w kierunku pozyskania korony węgierskiej nie przerwała też śmierć w 1295 r. Karola Martela. Ambicje władców Neapolu skupiły się wówczas na osobie ośmioletniego syna zmarłego, Karola Roberta. Ten zaś, w 1301 r., po wymarciu panującej przez kilka wieków na Węgrzech dynastii Arpadów, rozpoczął kilkuletnią walkę o koronę węgierską, która zakończyła się sukcesem.

„Liczył on w swej intytulacji królewskiej sam jeden tyle poddanych sobie królestw, ile wszyscy królowie europejscy pospołu" – pisał o następcy Kazimierza Wielkiego Karol Szajnocha. Ile było w tym przesady?

Faktycznie, intytulacja króla Ludwika była dosyć długa i obejmowała wiele krain, które albo on sam, albo jego poprzednicy przyłączyli do Królestwa Węgier. Spotykamy tam zatem oprócz Węgier: Ruś, Chorwację, Bośnię, Serbię, Bułgarię i od 1370 r. Polskę. Dziewiętnastowieczni historycy węgierscy podkreślali, że granice Królestwa Węgierskiego za panowania Ludwika rozciągały się od morza do morza, czyli od Adriatyku po Bałtyk. W tym stwierdzeniu była niewątpliwie pewna przesada, bo Polska za czasów Ludwika Andegaweńskiego nie miała dostępu do Bałtyku.

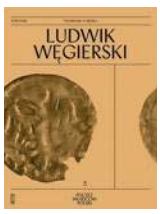
Paweł Jasienica krytycznie oceniał rządy tego monarchy: „W listopadzie 1370 roku zaczęło się dwunastolecie, w ciągu którego Polska nie miała i nie uprawiała żadnej własnej polityki ani w dziedzinie stosunków wewnętrznych, ani międzynarodowych. Wszystko stało pod znakiem przetargów i kombinacji dotyczących następstwa po Ludwiku. Przywileje dla miast, system podatkowy – oto cena kupna zgody stanów polskich na monarsze projekty rodzinne".

Rzeczywiście, objęcie władzy przez Ludwika i zarazem jego powrót na Węgry oraz pozostawienie w Polsce regentki w osobie swojej niemłodej już matki, powodowało wiele zadrażnień. Zdaniem Janka z Czarnkowa, kronikarza tych czasów, „pod nieobecność króla, podczas rządów w Królestwie Polskim jego ukochanej rodzicielki, imieniem Elżbieta, królowej węgierskiej, działo się jeszcze gorzej niż przedtem, gdyż nie było i nie ma dotąd żadnej tam stałości ani pewności. Bo jeśli ktoś się uciekał



Ludwik I Wielki (Węgierski)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA CHRONICON PICTUM, MÁRK KÁLTI



STANISŁAW A. SROKA
„LUDWIK WĘGIERSKI"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

eprasa.pl bba3719406

do matki, ona go do syna odsyłała, a syn nawzajem odsyłał do matki, przez co nie mogło być i nie było rzeczywiście końca żadnym sprawom, chyba tylko tym, które jej się podobały".

Już na początku rządów Ludwika doszło do szokującego wydarzenia, czyli kradzieży z grobu króla Kazimierza insygniów koronacyjnych, czego miał się dopuścić wspomniany Janko z Czarnkowa. Napięcia pomiędzy Węgrami a Polakami znalazły tragiczny plon w postaci rzezi Węgrów w Krakowie, do której doszło na początku grudnia 1376 r. Zabito wówczas ponad 160 Węgrów. Widzimy zatem, że opinia Pawła Jasienicy w dużej mierze jest słuszna.

Czyli dla tego władcy Polska była tylko narzędziem? Nie czuł z nią większej więzi?

Ludwik traktował Polskę z punktu widzenia interesów węgierskich i dynastycznych. On sam po raz pierwszy od czasu swojej krakowskiej koronacji i – jak się później okazało – jedyny zawitał do Polski w styczniu 1376 r. Jego pobyt jest poświadczony kilkoma dokumentami. Z tych dokumentów nie wynika jednak, w jakim celu po sześciu latach od otrzymania polskiej korony królewskiej postanowił ponownie przybyć do Królestwa. Odpowiedzi na to pytanie musimy szukać gdzie indziej, zwłaszcza w „Kronice" Janka z Czarnkowa. Pisze on, że królowa Elżbieta postanowiła zrzec się regencji na rzecz syna i opuściła Polskę. Z dokumentów królowej wiemy, że było to w sierpniu 1375 r. Powodem opuszczenia Polski przez Elżbietę były, zdaniem kronikarza, jakieś bliżej nieokreślone niepokoje („disturbia") i „przewrotne rady" szlachty krakowskiej, które doprowadziły królową do „nieopatrznych postanowień".

Co mogło się kryć za tym niejasnym opisem?





Floren Ludwika I Wielkiego (Węgierskiego) z podobizną Jana Chrzciciela

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CLASSICAL NUMISMATIC GROUP



Herb Ludwika I Wielkiego (Węgierskiego) z herbarza Geldrii

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CORPUSETAMPOIS COM 222

Zdaniem prof. Andrzeja Marca był to „refleks napięć panujących w łonie małopolskich elit urzędniczych", które dotyczyły rywalizacji o dostęp do urzędów, a co za tym idzie – korzyści materialnych. Królowa, powróciwszy na Węgry, otrzymała od syna w zarząd Dalmację, pobierając z tego tytułu sowite dochody. Ludwik postanowił zatem w styczniu 1376 r. przyjechać do Polski, w której nie było nie tylko króla, lecz także regentki. Jego krótki pobyt w Polsce w styczniu 1376 r. nie rozwiązał tych problemów. Król nie wyznaczył nowego namiestnika i rychło powrócił na Węgry. Jak przekazuje nam Janko w swojej „Kronice", królowa jeszcze w tym samym 1376 r. postanowiła porzucić zarząd Dalmacji i powrócić do Krakowa, aby ponownie objąć ster rządów w Królestwie Polskim w imieniu swojego syna. Zdaniem kronikarza doszło nawet na tym tle do niemiłej rodzinnej sprzeczki pomiędzy matką a synem, w trakcie której Elżbieta „nie zawahała się powiedzieć najjaśniejszemu synowi swemu zapalczywe i znieważające słowa".

Przyszłość pokazała, że Ludwik miał ten sam problem, co jego poprzednik na krakowskim tronie – brak męskiego potomka. Jak w takim razie ten andegaweński monarcha próbował utrzymać władzę dynastii nad Polską?

Obejmując polski tron, Ludwik miał tylko córkę Katarzynę. W następnych latach urodziły mu się kolejne córki: w 1371 r. Maria i na początku 1374 r. Jadwiga. Tymczasem w myśl układu budzińskiego z 1355 r. sukcesja w Polsce była zagwarantowana tylko dla męskiej linii Andegawenów. Chcąc zatem zabezpieczyć w Polsce rządy jednej z córek, Ludwik musiał doprowadzić do zmiany podjętych wcześniej zobowiązań. To jednak wymagało uzyskania zgody polskich elit politycznych.

Sprawę dodatkowo komplikował fakt, że córki Ludwika Andegaweńskiego były już zaręczone z różnymi władcami. W 1372 r. król węgierski porozumiał się z cesarzem Karolem IV, obiecując jego synowi, Zygmuntowi Luksemburskiemu, rękę jednej ze swoich córek – Katarzyny lub Marii. Dwa lata później Katarzynę przeznaczono na żonę dla Ludwika Orleańskiego, młodszego syna króla francuskiego Karola V. Maria miała zatem zostać małżonką Zygmunta. Natomiast najmłodszą Jadwigę zaręczono z księciem habsburskim, Wilhelmem. Najważniejszym przedsięwzięciem króla na drodze do zmiany sukcesji w Polsce było wydanie przez władcę przywileju koszyckiego w 1374 r.

Jak to wpłynęło na funkcjonowanie państwa?

Na jego mocy szlachta została zwolniona ze wszystkich podatków, z wyjątkiem poradlnego w wysokości 2 gr z łanu kmiecego osiadłego. Właśnie to postanowienie przywileju koszyckiego powodowało, że był on przed długie lata uważany za niekorzystny dla gospodarki państwa. Badania podjęte przez Jacka S. Matuszewskiego dowiodły jednak, że skarb królewski wcale na tym nie ucierpiał, a wręcz przeciwnie – regularne uiszczanie tego niewielkiego podatku przyniosło w efekcie lepszy rezultat aniżeli nieregularne ściąganie dużego podatku nadzwyczajnego (wynoszącego zazwyczaj 12 gr z łana).

eprasa.pl bba3719406

Profesor Andrzej Nowak w swoich „Dziejach Polski" rozdział poświęcony Ludwikowi Węgierskiemu zatytułował „Narodziny politycznego narodu". Czy rzeczywiście był to tak przełomowy czas w naszej historii?

Generalnie tak, chociaż trzeba podkreślić, że do tych „narodzin politycznego narodu" dochodziło pośród wielu problemów. Przykładowo: w Wielkopolsce trwała wojna pomiędzy Grzymalitami i Nałęczami. Ostatnie badania Andrzeja Marca dowiodły natomiast, że ówczesne elity polityczne „nie były w stanie wobec nowego monarchy zająć pozycji faktycznego partnera w politycznej grze". Król, wydając zatem np. przywilej w Koszycach i uzyskując możność sukcesji jednej ze swoich córek na polskim tronie, nie musiał zbyt ustępować ze swoich prerogatyw, a spisane w Koszycach postanowienia w gruncie rzeczy były potwierdzeniem praw szlachty, które ona już posiadała. Niewątpliwie jednak pod nieobecność monarchy, w trakcie burzliwej konfrontacji pomiędzy poszczególnymi rodami i stronnictwami, rodził się ów „naród polityczny", który po śmierci Ludwika podjął najpierw rozmowy z królową wdową, a potem, po przybyciu Jadwigi do Polski, zdecydował o unii z Litwą w Krewie.

Co okazało się decydujące dla objęcia tronu przez Jadwigę Andegaweńską?

Po śmierci Ludwika przez dwa lata panowało bezkrólewie, podczas którego reprezentanci polskiej szlachty prowadzili bardzo intensywne pertraktacje z królową wdową, Elżbietą Bośniaczką, w sprawie osadzenia na polskim tronie jednej z jej córek. W grę wchodziły Maria i jej młodsza siostra, Jadwiga (najstarsza córka Katarzyna zmarła w 1378 r.).

Podczas zjazdu w Radomsku 2 marca 1384 r. zniecierpliwieni panowie reprezentujący Małopolskę i Wielkopolskę wyznaczyli królowej wdowie termin przysłania Jadwigi do Polski na maj 1384 r. (w tym czasie Marię wybrano na króla Węgier). Grozili Elżbiecie, w razie niedotrzymania tego terminu, zerwaniem dotychczasowych układów i wybraniem własnego kandydata do korony. Ostatecznie, po kolejnych zawirowaniach i podjętej przez Elżbietę próbie osadzenia w Polsce jako gubernatora Zygmunta



Maria Andegaweńska

FOT. CHRONICA HUNGARORUM, JÁNOS THURÓCZY



Jadwiga Andegaweńska

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ANTON BOYS, KUNSTHISTORISCHES MUSEUM WIEDEŃ

Luksemburskiego, Jadwiga przybyła do Krakowa, gdzie 16 października 1384 r. została ukoronowana na króla Polski.

Jaki był więc bilans rządów andegaweńskich w Polsce?

W odróżnieniu od Węgier, gdzie – co zrozumiałe – Ludwik uważany jest za jednego z największych władców w ich historii, ocena jego panowania jako króla Polski nie jest już tak jednoznaczna. W latach 1918–1922 wywiązała się nawet na ten temat poważna dyskusja naukowa pomiędzy dwoma wybitnymi historykami – Janem Dąbrowskim i Oskarem Haleckim.

Ten pierwszy w 1918 r. wydał książkę poświęconą ostatnim latom rządów Andegawena, ujmując również, jednakże już skrótowo, jego panowanie na tronie węgierskim. Książka Dąbrowskiego jest niewątpliwie pewnego rodzaju panegirykiem na cześć węgierskiego króla.

Trzy lata później na łamach „Kwartalnika Historycznego" ukazała się obszerna recenzja tej publikacji pióra Oskara Haleckiego. Jej autor nie był tak optymistycznie nastawiony do oceny rządów andegaweńskich w Polsce, wyrażając wiele odmiennych od Dąbrowskiego ocen. Swoją obszerną polemikę zakończył konkluzją: „Zbytnia, chociaż psychologicznie zrozumiała sympatia autora dla Ludwika Wielkiego i jego rodu, wytworzona niewątpliwie na gruncie badań nad jego rządami węgierskimi, oto jedyny czynnik, który z konieczności wpłynął ujemnie na znakomite zresztą dzieło prof. Dąbrowskiego".

I jak się zakończyła ta dyskusja wokół dziedzictwa Ludwika Węgierskiego?

Ostatni głos w tej polemice należał do Jana Dąbrowskiego, który w 1922 r. odpowiedział Haleckiemu. Wiele poczynionych przez tego ostatniego uwag i spostrzeżeń zostało przez Dąbrowskiego z wdzięcznością przyjętych, niemniej zasadniczy przedmiot sporu, czyli generalna ocena panowania Ludwika w Polsce, nie zbliżył do siebie oponentów. Jak słusznie zauważył Dąbrowski: „Różnice między mną a prof. Haleckim zachodzą nie w ustaleniu faktów, lecz w sądach i poglądach na nie".

Krytyczny osąd panowania Ludwika w Polsce występuje też na kartach współczesnych podręczników akademickich. Zacytuję tutaj opinię prof. Tomasza Jurka, według którego „król traktował swe polskie państwo z punktu widzenia interesów węgierskich i dynastycznych". Wybitny znawca polskiego średniowiecza oddaje jednak Ludwikowi sprawiedliwość, dodając, że „wszędzie jednak tam, gdzie kolizji interesów nie było, starał się dbać sumiennie o sprawy swego drugiego królestwa, a nieuchronne konflikty z Polakami rozstrzygał z taktem i umiarem".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Stanisław A. Sroka jest mediewistą, dziekanem Wydziału Historycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorem książki „Ludwik Węgierski".

eprasa.pl bba3719406



Krzysztof Masłoń

Kiedy jego ulubionej „Gazecie Wyborczej” zdarzyło się zapomnieć o jego 85-leciu, Adam Michnik musiał przepraszać jubilata i odtąd podobna gafa już nie miała prawa się zdarzyć



FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

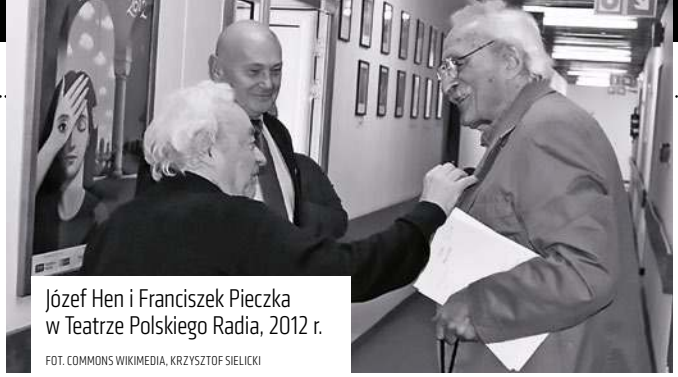
1923 r. / Włóczęga Józefa Hena

Pisarz na sto dwa

Żaden polski pisarz nie żył tak długo jak Józef Hen, przed miesiącem, dokładnie 8 listopada, świętujący swoje 102. urodziny. Do założonego przez Janusza Korczaka „Małego Przeglądu” pisywał jeszcze przed wojną jako uczeń żydowskiego gimnazjum mieszczącego się przy ul. Miodowej. Mieszkał wtedy z rodzicami i trojgiem starszego rodzeństwa na Nowolipiu. Nosił najsłodsze nazwisko, jakie sobie tylko można wyobrazić: Cukier.

Słodkiego życia ten syn Rubina Cukiera i Hawy z domu Hampel jednak nie miał. Jesienią 1939 r., zamiast kontynuować naukę w liceum, opuścił rodzinne miasto i przedostał się do Białegostoku, by następnie odbyć wielką wędrówkę po Kraju Rad, co po latach, w 1996 r., opisał w książce opatrzonej ironicznym tytułem „Najpiękniejsze lata”. Ciężko pracował przy budowie szosy z Kijowa do Lwowa i linii kolejowej Angren – Taszkent, był kołchoźnikiem nad Donem i robotnikiem w fabryce przetworów chemicznych w Samarkandzie. Po drodze uczęszczał do sowieckich szkół pedagogicznych. Nieprzyjęty do armii gen. Andersa, mimo dobrej – jak utrzymywał – kondycji fizycznej, w co raczej trudno uwierzyć, zważywszy na posturę przyszłego autora „Nikt nie woła” i głód, którego zaznał podczas pobytu na nieludzkiej ziemi. W każdym razie w wojsku znalazł się na wiosnę 1944 r. Trafił do szeregów formowane-

eprasa.pl bba3719406



Józef Hen i Franciszek Pieczka w Teatrze Polskiego Radia, 2012 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KRZYSZTOF SIELICKI

go na Ukrainie Pierwszego Zapasowego Pułku 2. Armii Wojska Polskiego. Niedługo potem na łamach wydawanego przez Wydział Polityczno-Wychowawczy Armii „Głosu Żołnierza zadebiutował – jako poeta! – wierszem „Łódź wierna".

Z wojskiem związał się na dłużej, bo służbę zakończył dopiero w 1952 r. w stopniu kapitana. Brał nawet udział w forsowaniu Nysy, tyle że jako kronikarz dywizji, w której pełnił też funkcję kierownika wojskowego teatru. Występował z grupą estradową, a także pisał felietony do „Orła Białego". A już po wojnie znalazł zatrudnienie w „Żołnierzu Polskim". Odpowiednie przygotowanie do tej pracy uzyskał, kończąc Polityczną Szkołę Oficerską w Lublinie.

Kiełbasa Zatopka

W bibliografii Józefa Hena pierwszą pozycją książkową są „Kijów. Taszkient, Berlin. Dzieje włóczęgi", mające pierwodruk w „Żołnierzu Polskim", a następnie wydane, w 1947 r., z przedmową Ksawerego Pruszyńskiego. Kolejne publikowane przez niego tytuły przynależą do swojej epoki. Są wśród nich tomy opowiadań: „Moja kompania" i „Notes lejtnanta Nikaszyna", powieść „Druga linia" czy „Płomień na Podhalu. Opowieść o Kostce Napierskim".

Większą popularność miała zdobyć zekranizowana po latach „Bitwa o Kozi Dwór" (1955), ale prawdziwa eksplozja tekstów, które weszły do PRL-owskiego literackiego kanonu, nastąpiła z chwilą publikacji w roku następnym zbioru opowiadań „Cud z chlebem", w którym znalazły się przede wszystkim „Krzyż Walecznych", a także „Bokser i śmierć" czy „Wielki bieg Deptały". Te ostatnie sygnalizują ważny dla pisarza temat sportu postrzeganego z perspektywy humanistycznej, nieograniczonego do wyników i rekordów, choć Józef Hen był chodzącą encyklopedią, jeśli chodziło np. o lekkoatletykę lat 40. i 50. zeszłego stulecia. Sportem zajmował się zresztą poniekąd zawodowo, jako dziennikarz, by później pisać felietony na tematy sportowe w „Świecie", zebrane następnie w „Notatniku zapaleńca" (1956).

– Którego ze sportowców zapamiętał pan szczególnie? – spytałem Józefa Hena w 2003 r., na potrzeby wywiadu dla „Rzeczpospolitej".

– Emila Zatopka. Osobiście poznałem go w 1949 r., gdy przyjechał na zawody do Polski. Już wtedy był mistrzem – po złotym medalu na 10 km i srebrnym na 5 km na olimpiadzie w Londynie, ale przed igrzyskami olimpijskimi w Helsinkach, gdzie zdobył trzy złote medale: na 5 km, na 10 km i w maratonie. Czy wyobraża pan sobie, że kupiliśmy mu wtedy, do spółki ze znanym dziennikarzem Zbigniewem Rogowskim, kilo zwyczajnej kiełbasy? Bo w Czechosłowacji żywność była jeszcze na kartki, „na listki".

– I co Zatopek zrobił z tą kiełbasą?

– Jak to co? Zawiózł ją do domu. Pewnie ze smakiem zjadł z żoną – Daną. To była córka czeskiego generała, też lekkoatletka, która w Helsinkach również zdobyła złoty medal. Wtedy mówiono: „Jakie państwo okazało się na olimpiadzie najmocniejsze? Państwo Zatopkowie".

– Miał pan jeszcze okazję widzieć Zatopka w późniejszych latach?

– Tak. Ciekawie porozmawiałem sobie z nim w 1958 r., w Pradze. Kończył już karierę, ale nie bardzo chciał i umiał się z tym pogodzić. Opisałem to nasze spotkanie w drugiej części „Nie boję się bezsennych nocy". Pamiętam, że namawiałem go na dalsze starty, przypominając, że francuski Arab – Mimoun – sięgnął po złoto w maratonie w wieku 36 lat. A Zatopek wtedy, na stadionie wojskowym na Strahovie, miał tyle samo lat.

– Nazywano go „czeską lokomotywą". Dla naszych południowych sąsiadów był modelowym sportowcem: nie dość tego, że najlepszy, to jeszcze wzorowy żołnierz.

– Był dyplomowanym czołgistą, ale zanim się nim wojsko zaopiekowało, pracował jako chemik laborant w fabryce w Ostrawie. A mnie, jak dziś pamiętam, jakoś tak zwyczajnie, z gorzkim uśmiechem, powiedział: „Dziś jest się mistrzem, a jutro znaczysz mniej niż zamiatacz uliczny". Tak sobie, widać, tego zamiatacza zapamiętał, że w 1968 r., gdy „bratnie wojska", z LWP włącznie, najechały na Czechosłowację, wyszedł na ulicę z miotłą. Świetny facet.

Lenin z czarną przepaską

Jeszcze w końcu lat 50. rozpoczął Józef Hen, z czasem coraz częstszą i bardzo owocną, współpracę z kinematografią. Na ekran przeniesione zostały jego najważniejsze powieści i opowiadania (ten autor był mistrzem właśnie krótkich form prozatorskich, niedocenianych, a w istocie decydujących o randze pisarstwa), na czele z „Nikt nie woła", „Krzyżem Walecznych" i „Toastem", znanym jako film „Prawo i pięść". Lista scenariuszy autorstwa Hena jest jednak dużo dłuższa i obejmuje m.in. „Rancho Texas", „Kwiecień", „Dwa żebra Adama", „Yokohamę". To on napisał również scenariusze seriali „Perły i dukaty", „Królewskie sny", a także przysposobił dla filmu „Hanię" Henryka Sienkiewicza, „Starą baśń" Józefa Ignacego Kraszewskiego czy „Życie Kamila Kuranta" według prozy Zbigniewa Uniłowskiego.

Mało kto wie, że zdarzało się mu reżyserować filmy, a zrealizował trzy odcinki „Pereł i dukatów", jak również część „Weekendów" zatytułowaną „Autobusy jak żółwie". A stosunkowo niedawno mogliśmy widzieć go na ekranie w jednej z rozgrywających się w warszawskim getcie (w „Cafe Muza") scen „Czarnego mercedesa" Janusza Majewskiego.

A skoro mowa o getcie… Tematyka żydowska, obecna we wspomnieniach Hena (znakomite „Nowolipie" z 1991 r.) i jego dziennikach, do pewnego czasu była nieobecna w jego powieściach i opowiadaniach. Tak jakby oddzielał swą twórczość od Holokaustu. Być może straty, które poniósł, były dla niego zbyt bolesne; jego ojciec został zabity w Buchenwaldzie, wojny nie przeżyło także dwoje z jego rodzeństwa – Mirka i Mojżesz. A matka pisarza i jego siostra Stella w 1957 r. wyjechały do Izraela.

On zaś w okresie marca 1968 r. pod pseudonimem Koran opublikował

eprasa.pl bba3719406

w paryskiej „Kulturze" znaczące opowiadania: „Oko Dajana", „Western" i „Bliźniak". Na bohatera pierwszego z tych opowiadań, pracownika jednej z central handlu zagranicznego, jak piszą Anna Bikont i Joanna Szczęsna w „Lawinie i kamieniach" – „z racji obco brzmiącego nazwiska pada podejrzenie, że jest Żydem, zaczynają się drobne szykany i nieprzyjemności. Apogeum osiągają one w absurdalnym oskarżeniu, że na przypiętym do czapki znaczku z Leninem ów bohater czarnym papierem przesłonił oko wodza światowej rewolucji, tak że zaczął on przypominać Dajana, izraelskiego ministra obrony. W efekcie traci pracę. Wszystkich swych upokorzeń zaznaje w samotności". Najciekawsze, że ponoć Andrzej Miłosz, brat Czesława, potwierdził prawdziwość całej historii, tyle że w istocie dziejącej się w Studiu Opracowań Filmów w Warszawie.

Józef Hen, przez długie lata bardzo aktywnie działający na forum Związku Literatów Polskich, w następnych latach wyraźnie akcentował opozycyjną postawę wobec władz, m.in. podpisując w 1976 r. protest przeciw planowanym zmianom konstytucyjnym.

Nie ogryźli kości

Poczytnością cieszyły się jego opowiadania i powieści z mocno rozbudowanym wątkiem romansowym, a były takie, choćby „Mgiełka", „Milczące między nami" czy „Odejście Afrodyty". Autor bardzo denerwował się, gdy nie doceniano ich, niewątpliwie jednak z szerszym oddźwiękiem spotykała się jego książka „Ja, Michał z Montaigne" (1978), której wersja sceniczna święciła triumfy w Teatrze Polskim. Za dyskusyjne uznane zostały jego książki „Błazen – wielki mąż" (1998) o Tadeuszu Boyu-Żeleńskim czy „Mój przyjaciel król" (2003) o Stanisławie Auguście Poniatowskim.

Kiedy po wydaniu tej ostatniej na moje pytanie, czy wywoła na nowo wszczęty spór o ostatniego króla Rzeczypospolitej, odpowiedział: – Nie. Myślę, że po tej książce nie będzie się już o co spierać.

Ośmieliłem się z nim nie zgodzić, sugerując: „Mimo pańskiej książki dla pokolenia dzisiejszych 40-latków i 50-latków Stanisław August Poniatowski pozostanie przegranym władcą z »Krajobrazu po uczcie« Jacka Kaczmarskiego, który w tej świetnej i bardzo gorzkiej piosence, cytując królewski akt abdykacji (»Imperatorowa i państwa ościenne przywrócą spokojność obywatelom naszym«), rzecz całą spuentował słowami: »Nie ogryźli kości, nie dopili wina, resztek jedzenia szuka pies pod stołem«".

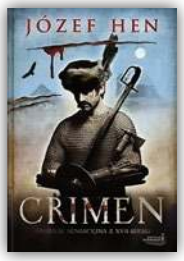
„– Bardzo mi przykro, Jacek Kaczmarski, gdy pisał ten utwór, był młody, zapalczywy, wszystko mu się kojarzyło z emocjami, które właśnie przeżywał. Na pewno później by tego tak nie ujął – stwierdził Hen. – Co miał wyrazić w ostatnim słowie król, jeśli nie troskę o »spokojność obywateli«? Boże mój, przyczepili się do tej abdykacji, jakby ona coś zmieniała. Nikogo w Europie to nie obchodziło".

W Europie może i nie, w Polsce na pewno. A Kaczmarski, gdy mu to zacytowałem, zaśmiał się, mówiąc: „Widocznie wciąż jestem młody, bo zdania nie zmieniłem". Rok później zmarł.

Po skoku – wyprost!

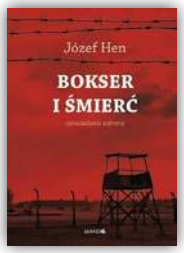
Był laureatem wielu nagród, nierzadko prestiżowych, choć tych, na których mu zależało najbardziej, pewnie się nie doczekał. Wykazywał też nadwrażliwość na wszelką krytykę, najwyraźniej czując się niedoceniany. A kiedy jego ulubionej „Gazecie Wyborczej" zdarzyło się zapomnieć o jego 85-leciu, Adam Michnik musiał przepraszać jubilata i odtąd podobna gafa już nie miała prawa się zdarzyć.

W swoich zapiskach publikowanych pt. „Nie boję się bezsennych nocy" i w dziennikach często wypowiadał się na aktualne tematy polityczne. Aktualne i nie tylko. I tak w „Dzienniku ciągu dalszym" (2014) relacjonował, jak to opowiadał „profesorowi [rozmówcą był Wojciech Sadurski – przyp. K.M.] o tym, jak w 1946 r. uratowało mi życie to, że nie pojechałem którejś niedzieli do Zakopanego i nie zetknąłem się na szosie z bandą »Ognia«. Ciężko westchnął. I pokiwał głową nad błędem prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który odsłaniał pomnik mordercy ocalałych Żydów". A po tragedii smoleńskiej nie mógł się nadziwić, że oto „chyba po raz pierwszy we współczesnej Polsce na czele dużej partii jest człowiek, który żyje urojeniami [...], nie widzę u niego traumy, której domyślają się życzliwi. Wystarczy przyjrzeć się, jak przemawia. Z jakim wyrachowaniem. Jak podoba się sobie".













Cóż, mnie akurat nie podobają się te słowa Józefa Hena, wyraźnie cierpiącego na lewoskręt. Dlatego też na koniec powrócę do tematu sportowego, zwłaszcza że pewien jego pogląd, w kwestii futbolowej akurat, bardzo jest mi bliski. „Przyznam się – mówił – że popadam w nastrój filozoficzny, gdy taki Bayer Leverkusen ma grać z Arsenalem. Komu mam kibicować? Chciałbym Anglikom, ale w Arsenalu grają francuscy Murzyni, a w Bayerze nie ma Niemców, którym nie kibicowałbym na pewno". A na pytanie, co jemu osobiście dał sport, pisarz odpowiedział:

– Bardzo wiele, włącznie z sylwetką. W gimnazjum mieliśmy doskonałego nauczyciela, pana Kazimierza Markiewicza, który wpoił nam – a byłem dobrym gimnastykiem, czołowym w klasie – zasady przyjmowania postawy. Po skoku – wyprost! [...] Sport to młodość, a zachować młodość przez długie lata, przez wiek dojrzały – to duża sprawa".

O tym akurat to Józef Hen wie wszystko, a nawet jeszcze więcej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bba3719406

REPUBLIKA

Michał Rachoń w swoim sztandarowym porannym programie dyskutuje z zaproszonymi gośćmi o bieżących wydarzeniach i najważniejszych tematach ostatnich godzin w polskiej polityce.

MICHAŁ
#RACHOŃ

OD PONIEDZIAŁKU
DO PIĄTKU

8:30

w Republice



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl bba3719406



Horace Vernet, „Śmierć księcia Józefa Poniatowskiego”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SOTHEBYSCOM

Książka miesiąca / Na skraju samobójstwa?

Pistolety księcia Józefa

Bogdan Borucki, wytrawny znawca epoki napoleońskiej, rozprawia się z mitami oplatającymi postać księcia Józefa, związanymi z jego domniemanymi myślami samobójczymi i okolicznościami śmierci. Autor ukazuje też problem, który miał książę Józef ze stryjem, Stanisławem Augustem. Musiał on czynami udowadniać swój patriotyzm, żeby nie przylgnęła do niego na stałe niepopularność króla oskarżanego nawet o zdradę.

Pod Zieleńcami i Raszynem książę Józef stawał na czele kontrataku, co nie znaczy jednak, że miał tendencje samobójcze. Jego postawa ratowała zachwiane morale żołnierzy, więc była ona całkiem uzasadniona. Inna sprawa, że – jak stwierdza autor – Józef Poniatowski potrafił szantażować groźbą swojego samobójstwa Stanisława Augusta, Napoleona, a także robił to z chęci podkreślenia własnej determinacji w kwestiach honorowych, a nawet w celu… kokietowania kobiet.

W biografiach księcia Józefa zawsze obecna jest opowieść o tym, jak to – według jego słów – spędził bezsenną noc, nie mogąc się zdecydować, czy dołączyć do Wielkiej Armii czy też może przejść na stronę cara Aleksandra I. Na biurku miał dwa pistolety i dwukrotnie chciał strzelić do siebie. Borucki uważa jednak, że książę Józef wymyślił tę scenę, a decyzję o dołączeniu do Napoleona podjął kilka dni wcześniej. Opowieść o samobójczych myślach miała uspokoić nastroje elit Księstwa Warszawskiego wzburzonych jego decyzją pozostania przy Napoleonie i liczących na dogadanie się z carem Rosji. Poza tym – jak podkreśla autor – Poniatowski zdawał sobie sprawę z tego, że samobójstwo mogłoby być zinterpretowane przez współczesnych i potomnych jako ucieczka przed odpowiedzialnością, tchórzostwo i przeszkodziłoby mu w zajęciu chwalebnego miejsca w historii. A przecież książę dbał o wizerunek i był przeczulony na punkcie honoru.

Ale to nie honor powodował nim w 1813 r. „Podejmując decyzję o pozostaniu u boku Napoleona, Poniatowski kierował się przede wszystkim racjonalną oceną sytuacji polityczno-wojskowej […]. Z całą pewnością był to lepszy wybór niż wiara w całkowicie mgliste obietnice cara”. Ten wybór – co zauważa Borucki – uwzględniał także nastroje podkomendnych i większości Polaków. Natomiast zerwanie sojuszu z Francją i związanie się z Rosją mogło być odebrane przez opinię publiczną jak targowicka zdrada stryja. Cień Stanisława Augusta nie opuścił zatem księcia Józefa do końca jego życia.

Podczas bitwy pod Lipskiem książę Józef, kilkakrotnie raniony, był półprzytomny. „Nawet gdyby chciał, nie był w stanie wypowiedzieć żadnego logicznego zdania – twierdzi autor – tym bardziej złożonej kwestii o boju i honorze. Zrobili to za niego krzewiciele jego mitu”. Są różne wersje rzekomych ostatnich słów księcia Józefa, w tym: „Bóg mi powierzył honor Polaków i tylko Bogu go oddam”. Wychodząca od nich dyskusja sprowadza się do tego, czy rzekomo samobójczy skok na koniu do Elstery był aktem rozpaczy czy heroizmu.

Podsumowując życie Poniatowskiego, autor stwierdza, że „zasługuje [on] na wielki szacunek nie dlatego, że rzekomo był rycerzem bez skazy, jakimś Bayardem, lecz z tego powodu, że sprostał wyzwaniom czasu jako wódz i duchowy przywódca Polaków, jako mąż stanu, który stał się patriotą, choć wcale nie musiał”.

Książka Boruckiego jest bardzo interesującym uzupełnieniem klasycznych biografii księcia Józefa, napisanych przez Szymona Askenazego i Jerzego Skowronka. ©℗

Tomasz Stańczyk



BOGDAN BORUCKI
„KSIĄŻĘ JÓZEF I ŚMIERĆ”
OFICYNA WYDAWNICZA MÓWIĄ WIEKI

eprasa.pl bba3719406

Iluzja saskiej stabilizacji

„Upadanie i powstawanie" to podtytuł VII już tomu monumentalnej serii „Dzieje Polski" prof. Andrzeja Nowaka. Jak zwykle dostajemy solidną opowieść o wielkiej polityce, grach o tron i spiskach. Podtytuł tomu jasno wskazuje, że Rzeczpospolita znalazła się w okresie przejściowym. Tragedia rozbiorowa, która spadła na państwo pod koniec tego stulecia, nie była jeszcze oczywista, ale już było widać, że państwo – szczególnie w porównaniu do rosnących w siłę ościennych despotii – nie domagało.

Profesor Nowak w swojej pracy zajmuje się też zagadnieniami mniejszego kalibru, bliższymi zwykłemu mieszkańcowi. Ciekawie wygląda analiza sytuacji społeczno-gospodarczej za czasów panowania drugiego Wettyna. Skąd się wzięło powiedzenie: „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa"?

„Wspomnienie czasów Augusta III »ucukrowało« się w porównaniu z czasem, jaki miał dopiero nadejść: tragedią rozbiorów związaną z następnym panowaniem i jego zakończeniem, czyli wymazaniem Rzeczypospolitej z mapy – pisze prof. Nowak. – Jak było, tak było, ale jakoś było – tak najprościej można określić motyw ciepłego wspomnienia o czasach, kiedy Rzeczpospolita, choć słaba, stała jakoś, nawet nieuszczuplona terytorialnie. »Karczma zajezdna« – owszem, ale na pozór wciąż jeszcze w rękach prawowitych gospodarzy. A i zjeść w niej było można, i napić się, żyć chwilą, nie myśląc specjalnie o jutrze".

Ten stan pozornej stabilizacji, gdy państwo odżywało po strasznych zniszczeniach z okresu wojny północnej, zapisał się najwidoczniej całkiem dobrze w pamięci ówczesnych mieszkańców Rzeczypospolitej. Bo przecież trzeba pamiętać, że w trakcie pierwszych dwóch dekad XVIII w. Polska niszczona była nie tylko przez obce wojska zachowujące się jak szarańcza, lecz także przez wynikające z tego głód i – w dalszej konsekwencji – epidemie.

Jak zwraca uwagę prof. Nowak, poprawa sytuacji natychmiast wpłynęła na demografię. Gdy August III schodził z tego świata, liczba ludności Rzeczypospolitej wynosiła ok. 12 mln (zrównując się ze Zjednoczonym Królestwem), czyli minimum milion więcej niż w czasie rządów jego ojca Augusta II Mocnego. Jak jednak pokazały to kolejne dekady, była to tylko iluzja stabilizacji. ©℗

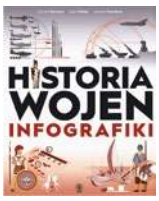
Piotr Włoczyk



ANDRZEJ NOWAK
„DZIEJE POLSKI", T. VII
BIAŁY KRUK

Obrazy wojen

Trudno o lepszy sposób, żeby zainteresować młodego człowieka historią. Żywe grafiki pokazujące najważniejsze bitwy, obrazowe porównania różnych rodzajów broni, ciekawe przedstawienie taktyki użycia piechoty, sił morskich i powietrznych. Znajdziemy tu analizy bitew od starożytności do współczesnych zmagań w świecie cyfrowym. Mnie osobiście szczególnie zaciekawił rozdział o imperiach kolonialnych, gdzie na grafikach najlepiej widać, jak Wielka Brytania zdystansowała pod tym względem wszystkie inne mocarstwa. ©℗ ***(p.w.)***



VINCENT BERNARD, JULIEN PELTIER, LAURENT TOUCHARD
„HISTORIA WOJEN. INFOGRAFIKI"
REBIS



ALAN WALKER,
„CHOPIN. BIOGRAFIA. TOM 1: WARSZAWA–PARYŻ, 1810–1838"
ZNAK HORYZONT

CHOPIN. POCZĄTKI KARIERY

W roku kolejnego Konkursu Chopinowskiego ukazał się pierwszy tom monumentalnej pracy Alana Walkera, muzykologa i wybitnego znawcy życia i twórczości naszego najwybitniejszego kompozytora. Autor przedstawia w tym tomie przede wszystkim polskie lata Chopina, pisząc o początkach jego edukacji muzycznej, a także o tym, jak znajdująca się pod zaborami Polska, jej sytuacja polityczna i społeczna ukształtowały kompozytora. ©℗ ***(a.s.)***



STEFANIA KRZYSZTOFOWICZ-KOZAKOWSKA
„GRZESZNI DEKADENCI"
BOSZ

DEKADENCKIE PORTRETY

Okres Młodej Polski to czas takich zachowań środowiska artystów, z którymi wcześniej się nie spotykano. Oburzały one całe rzesze filistrów. Autorka nazywa te zachowania „skandalami" tak często, że określenie to zaczyna w końcu nieco razić. Niemniej książka jest tematycznie ciekawa, znajdziemy w niej dużo reprodukcji obrazów i – co najważniejsze – dobrze i lekko się ją czyta. ©℗ ***(L.L.)***



EWA POLAK-PAŁKIEWICZ
„EKSCELENCJA JEST SZALONY! ARCYBISKUP MARCEL LEFEBVRE I CZASY, KTÓRE PRZEWIDZIAŁ"
FRONDA

WYKLĘTY ARCYBISKUP

Historia jednego z najbardziej znanych katolickich hierarchów XX w. Arcybiskup Marcel Lefebvre przeszedł długą drogę: od sprzeciwu wobec Soboru Watykańskiego II, przez konflikt ze Stolicą Apostolską, do ważnego autorytetu dla wiernych, którzy chcieli pozostać przy tradycyji. Do dziś ta postać wzbudza wiele emocji. Warto poznać jego biografię i motywy, które nim kierowały. ©℗ ***(a.s.)***

eprasa.pl bba3719406

/ Felieton



Rafał A. Ziemkiewicz

Pomóc wrogowi

O błędach, które popełnili w Pearl Harbor Amerykanie, napisano dziesiątki książek. Zlekceważenie w Waszyngtonie ostrzeżeń wywiadu, a gdy w nie już wreszcie uwierzono, poinformowanie o nich adm. Kimmela zwykłą depeszą, która doszła dopiero po ataku; rozkaz gen. Shorta, by wszystkie samoloty ustawić gęsto na środku pola wzlotów; zlekceważenie meldunku obsługi radaru o nadlatujących samolotach oraz meldunku dowódcy niszczyciela „Ward" o japońskiej miniaturowej łodzi podwodnej... Wszystko to jest znane, opracowane i wielokrotnie było przedmiotem sporów.

O błędach Japonii w zasadzie się nie mówi. No, może tylko o kunktatorstwie adm. Nagumo, który – przestraszony, że gdzieś w pobliżu czają się niewykryte amerykańskie lotniskowce – nie przeprowadził trzeciego nalotu i nie zniszczył magazynów paliwa, co wyeliminowałoby US Navy z akcji na znacznie dłuższy czas. Ale podkreśla się, że w ostatecznym rozrachunku i tak niewiele by to zmieniło.

I w tym właśnie rzecz: w ostatecznym rozrachunku nawet całkowite zniknięcie z powierzchni Ziemi Pearl Harbor wraz ze wszystkimi stacjonującymi tam okrętami nic nie zmieniało. Ten atak był tyleż błyskotliwy jako sukces taktyczny, co pozbawiony strategicznego sensu, gorzej nawet – był samobójczy dla Nipponu. Stanowił doskonałą egzemplifikację zasady Machiavellego, że cios bolesny, ale nie śmiertelny niesie zgubę temu, kto go zadaje. Ale Japończycy Machiavellego albo nie znali, albo nie poważali.

Często przywoływana tu przeze mnie Barbara Tuchman, która analizuje sprawę jako jeden z przykładów „szaleństwa władzy" w książce pod tym samym tytułem, stawia proste pytanie: A gdyby Japonia w grudniu 1941 r. zajęła posiadłości francuskie i holenderskie, gdzie miała wystarczające zasoby potrzebnych jej, a odebranych amerykańskim embargiem surowców, i zneutralizowała brytyjski Singapur – nie zaczepiając Amerykanów? Rooseveltowi nie byłoby wcale łatwo przekonać obywateli, by rozpocząć wojnę na Pacyfiku, zwłaszcza że priorytetem było dla niego wciągnąć ich w wojnę w Europie. Zapewne kazałby flocie i garnizonowi Filipin pomóc sojusznikom (w czym, jak pokazały późniejsze doświadczenia, zatopione w 7 grudnia 1941 r. pancerniki i tak niewiele by armii i flocie cesarza zdołały zaszkodzić). Ale wtedy to on musiałby wypowiedzieć wojnę, co by zupełnie zmieniało stosunek do niej amerykańskich wyborców.

Masakra amerykańskich marynarzy i pancerników, szok, który spowodowała klęska, zaskoczenie i oburzenie, że napaści dokonano bez wypowiedzenia wojny – to wszystko stanowiło fantastyczny polityczny prezent dla Roosevelta do tego stopnia, że do dziś wielu wierzy, iż celowo „wystawił" on biednego Kimmela, zatajając przed nim ostrzeżenia wywiadu.

Najbardziej przewrotne w całej sprawie jest to, że Japończycy dostarczyli Rooseveltowi także długo oczekiwanego przezeń pretekstu do pełnoskalowego włączenia USA do wojny z Niemcami. Przez pierwszych pięć dni po bombardowaniu amerykańskie media trąbiły, że było ono dziełem samolotów „japońskich i niemieckich". Dlatego Amerykanów nie zdziwiło, że Hitler sam z siebie – kolejny prezent dla Roosevelta – wypowiedział USA wojnę, choć wcale nie musiał. Japończycy nie poinformowali Niemców o planowanym ataku na USA, podobnie jak pół roku wcześniej Niemcy do ostatniej chwili taili przed Tokio zamiar uderzenia na ZSRS. Do dziś trudno postępowanie jednych i drugich racjonalnie wyjaśnić. ©℗

/ Japończycy dostarczyli Rooseveltowi także długo oczekiwanego przezeń **pretekstu do pełnoskalowego włączenia USA do wojny z Niemcami**

eprasa.pl bba3719406

/ Felieton



Piotr Semka

Litwinów kłopoty z dekomunizacją

Nasi litewscy bracia obchodzili niedawno znamienną rocznicę. Trzydzieści pięć lat temu, w listopadzie 1990 r., grupa mieszkańców Wilna usunęła z placu Ratuszowego pomnik litewskiego komunisty Vincasa Mickevičiusa-Kapsukasa (1880–1935). Litwa formalnie była jeszcze wówczas członkiem ZSRS, choć już w marcu parlament Litewskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej ogłosił deklarację niepodległości.

Mickevičius-Kapsukas przewodził sowieckiej republice „Litbieł" (Litwa-Białoruś), która istniała jako efemeryda między styczniem a kwietniem 1919 r. W latach 30. popadł jednak w niełaskę u Stalina i zmarł w moskiewskim szpitalu. Po śmierci sowieckiego tyrana litewscy komuniści, nie mając zbyt wielu własnych bohaterów, zaczęli odgrzebywać pamięć o Mickevičiusie-Kapsukasie i postawili mu przed wileńskim ratuszem pomnik. I właśnie ten monument stał się celem brawurowej akcji litewskich patriotów. Korzystając z tego, że posłuszna wobec Moskwy milicja urządziła sobie wielką popijawę z okazji rocznicy rewolucji, w nocy z 7 na 8 listopada zdemontowali oni pomnik.

Kiedy w styczniu 1991 r. Litwa ogłosiła niepodległość, poupadały kolejne sowieckie pomniki. Tłumy wilnian oklaskiwały usunięcie podobizny Lenina z placu Łukiskiego, na bruk runęły też pomniki pseudowyzwoliciela Wilna gen. Iwana Czerniachowskiego, upamiętnienie sowieckich partyzantów na skwerze Reformatów, socrealistyczne rzeźby na Zielonym Moście i wreszcie monument sowiecki w kompleksie cmentarnym na Antokolu.

Inaczej było natomiast z pomnikiem poety Petrasa Cvirki (1909–1947). Gdy rozpoczęto przygotowania do jego demontażu, głos zabrali literaturoznawcy, którzy przypomnieli, że przetłumaczył on z francuskiego na litewski wiele wspaniałych dzieł. Jednak Cvirka w 1940 r. przystąpił do Komunistycznej Partii Litwy i demonstracyjnie poparł przyłączenie swej ojczyzny do Związku Sowieckiego. Ostatecznie w 2021 r. jego pomnik także został zdemontowany.

Obecnie ostatnim przedmiotem sporu jest popiersie poetki Salomėi Nėris (1904–1945). Jej los był w znacznej mierze podobny do życiorysu Cvirki. Była bardzo zdolną młodą poetką – notabene urodziła się na polskiej Suwalszczyźnie jako Salomea Baczyńska – i w 1931 r. przeniosła się jako świadoma Litwinka z Sejn do Kowna. Jej tomiki wierszy z lat 30. prezentują naprawdę wysoki poziom. Ale co z tego, skoro w momencie wkroczenia Sowietów na Litwę dała im się wykorzystać propagandowo? Rosjanie zaproponowali jej fotel deputowanej do tzw. Sejmu Ludowego, który przegłosował akces Litwy do ZSRS. Następnie została deputowaną do Rady Najwyższej ZSRS. Jako cenna kolaborantka została w momencie ataku Niemiec na Sowiety ewakuowana do Moskwy, gdzie pisała propagandowe wiersze i występowała w sekcji litewskiej Radia Moskwa. Zmarła na raka wątroby 7 lipca 1945 r.

Przy okazji decyzji władz o likwidacji popiersia Nėris odezwali się liczni zwolennicy jej talentu. I wróciło stare pytanie: Co jest ważniejsze – talent czy odpowiedzialność moralna za przyłożenie ręki do zniewolenia własnej ojczyzny? Niespodziewanie odezwał się prezydent Litwy, Gitanas Nausėda, który ogłosił, że nie popiera decyzji o usunięciu pomnika. Interweniowała też wnuczka poetki, Salomėja Bučaitė, która zaskarżyła do sądu decyzję o usunięciu pomnika. Wsparło ją w tej kwestii Litewskie Stowarzyszenie Artystów. Wszystkie strony czekają teraz na ostateczny werdykt.

Spór o poetkę z Suwalszczyzny do złudzenia przypomina polskie wojny o Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Jego obrońcy wychwalają geniusz translatorski niegdysiejszego animatora kabaretu Zielony Balonik oraz podnoszą, że „Boy" zginął w masakrze polskich naukowców we Lwowie w czerwcu 1941 r. Z kolei jego krytycy przypominają, że „Boy" dał się Sowietom wykorzystać propagandowo po 17 września 1939 r.

Jak to w końcu ma być? O sławie lub niesławie ma decydować talent czy lojalność wobec własnego narodu? Jak się okazuje, zarówno w Polsce, jak i na Litwie kwestia ta do dziś wywołuje gorące spory. ©℗

eprasa.pl bba3719406



XX w. / W kleszczach Niemiec i ZSRS

Łotewskie „Dzikie Koty”



Arkadiusz Karbowiak

Pod koniec wojny Niemcy starali się wykorzystać Łotyszy do spowalniania sowieckiego uderzenia. Ci jednak widzieli, jakie są prawdziwe zamiary „partnerów” w Berlinie

W 1944 r. sytuacja Niemiec stawała się krytyczna. Klęski ponoszone przez Wehrmacht sprawiły, że SS-Reichsführer Heinrich Himmler oraz kierownictwo Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) podjęli próbę zatrzymania lub przynajmniej opóźnienia nadchodzącej katastrofy. Jednym z takich pomysłów miało być utworzenie i przerzucenie na tyły frontu wschodniego grup dywersyjno-sabotażowych. Miały one zainicjować wojnę partyzancką na sowieckim zapleczu. Krajem, w którym Niemcom w znacznej mierze udało się stworzyć narodową partyzantkę, była Łotwa.

Realizację tego zadania wziął na siebie VI Urząd RSHA (Ausland-SD – wywiad zagraniczny), a konkretnie Wydział S (sabotaż), kierowany przez SS-Obersturmbannführera Ottona Skorzenego. Współdziałać z nim mieli SS-Sturmbannführer Erich Hengelhaupt, oficer SD (Służby Bezpieczeństwa), oraz gen. Reinhard Gehlen, szef wydziału Obce Armie Wschód (Fremde Heere Ost). W ramach tego projektu tworzono od października 1944 r. jednostki SS-Jagdverbände, podzielone na cztery grupy powiązane z konkretnymi obszarami działalności.

Za walkę na wschodzie odpowiedzialna była SS-Jagdverbände Ost, w której składzie funkcjonowała SS-Jagdeinsatz Baltikum. Służyli w niej szkoleni w dywersji i sabotażu Łotysze wywodzący się z łotewskich dywizji Waffen-SS, funkcjonariusze Sipo, SD i policji pomocniczej, a także dezerterzy z niemieckich jednostek, m.in. kurelisowcy (żołnierze

eprasa.pl bba3719406



Łotewscy partyzanci w lesie Kabile, w którym znajdowała się ich baza, 1946 r.

FOT. SATVERSMES AIZSARDZĪBAS BIROJA TOTALITĀRISMA SEKU DOKUMENTĒŠANAS CENTRS

gen. Jānisa Kurelisa), kuszeni mirażem darowania kary. Akcje prowadzone z ich udziałem nazwano „Unternehmen Wildkatze" (operacja „Dziki Kot"). Nadzór nad nimi sprawował, pełniący także funkcję dowódcy SS-Jagdeinsatz Baltikum, SS-Sturmbannführer dr Manfred Pechau. Oficer ten kierował wcześniej Einsatzkommando 1b (Einsatzgruppen A).

Istotną rolę w „Dzikim Kocie" odgrywał Łotysz, SS-Untersturmführer Boris Jankaus. Podczas okupacji niemieckiej służył on jako sierżant do spraw łączności i wywiadu w Einsatzgruppen A SS-Brigadeführera Waltera Stahleckera. W styczniu 1943 r. Jankaus był dowódcą plutonu 4. Schutzmannschaft-Bataillon der Sicherheitspolizei, będącego częścią Arājs Kommando, które znane było z mordowania Żydów w latach 1941–1942. W okolicach Chołmu uczestniczył w akcjach skierowanych przeciwko partyzantom sowieckim oraz wspierającym ich cywilom. Latem 1944 r. przydzielono go do „Unternehmen Wildkatze".



Plakat organizacji Pērkonkrust (Krzyże Błyskawicy)

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Niemcy sięgnęli także po członków organizacji Līdumnieks, propagującej idee narodowosocjalistyczne i będącej faktycznie tajną ekspozyturą SD. Na jej czele stał Alfons Raitums, a jej patronem był SS-Obersturmbannführer Rudolf Lange, szef KdS (Kommandeur der Sicherheitspolizei und des SD – Urząd Komendanta Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa) na Łotwie. Lange postrzegał organizację Līdumnieks jako rezerwę kadrową możliwą do wykorzystania w trakcie realizacji operacji „Mežakaķi" (łotewska nazwa „Dzikiego Kota").

Do pracy nad tym projektem zaangażowano również ludzi służących w tzw. Lettische Kartei, strukturze nazywanej także Sonderkommando R, od nazwiska szefa tej jednostki – Feliksa Pēterisa Rikardsa. Byli to głównie działacze narodowosocjalistycznego ruchu Pērkonkrusts (Krzyże Błyskawicy), którzy podjęli w 1941 r. pracę dla niemieckiej Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa (Sipo i SD), przekazując im informacje zarówno o komunistach, jak i ulmanisowcach (zwolennikach Kārlisa Ulmanisa, byłego prezydenta Łotwy).

Kuriozum

W latach 1942–1943 kolonialna polityka niemiecka na Łotwie i brak perspektyw na zmianę tej sytuacji spowodowały, że Gustavs Celmiņš, lider Pērkonkrustu, przeszedł z pozycji kolaboracyjnych na zdecydowanie antyniemieckie, wydając m.in. podziemną gazetę „Brīvā Latvija" („Wolna Łotwa"). Tym samym na Łotwie powstało kuriozum – antyniemiecka organizacja o narodowosocjalistycznym charakterze. Sytuacja ta stworzyła warunki dla podjęcia przez Celmiņša rozmów z socjaldemokratą Brunonem Kalniņšem, wiceprzewodniczącym antyniemieckiej i antysowieckiej konspiracyjnej Łotewskiej Rady Centralnej. Ten ostatni po przeprowadzonej rozmowie uznał nawet, że przywódca Krzyży Błyskawicy wyraził akceptację dla demokratycznych zasad, które powinny być fundamentem przyszłego odrodzonego państwa łotewskiego. Udział działaczy Pērkonkrustu w konspiracji doprowadził do aresztowań członków tej organizacji pracujących w Lettische Kartei. W roku 1944 Niemcy postanowili ich zwolnić i dać im kolejną szansę. Tym razem zasilili oni tzw. Biuro Informacyjne R – rezydenturę wywiadowczą SS-Jagdeinsatz Baltikum.

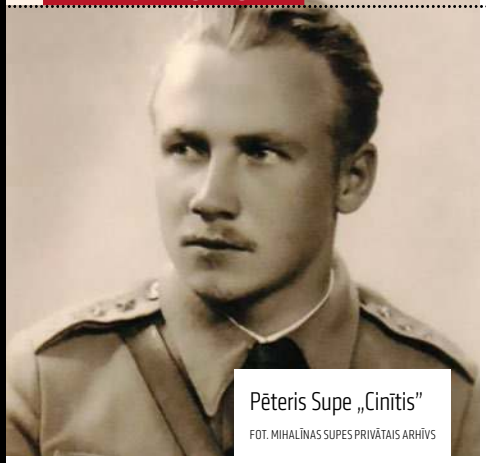
Podobną propozycję otrzymali również podkomendni gen. Jānisa Kurelisa. Pułk pod jego dowództwem stał się latem i jesienią 1944 r. oazą dla osób ukrywających się przed poborem do Waffen-SS i jednostek policyjnych. Generał nawiązał kontakt z Łotewską Centralną Radą, stając się w pewnej mierze siłą zbrojną tej instytucji. Niemcy, widząc rosnące nastroje antyniemieckie w jednostce Kurelisa, próbowali negocjować z generałem, chcąc rozbroić jego podkomendnych. Ostatecznie udało się to bez walki i 1,3 tys. kurelisowców deportowano do obozów koncentracyjnych. W nocy 19 listopada 1944 r. ośmiu oficerów



Generał Jānis Kurelis

FOT. LATVIJAS OKUPĀCIJAS MUZEJS

eprasa.pl bba3719406



Pēteris Supe „Cinītis”
FOT. MIHALĪNAS SUPES PRIVĀTAIS ARHĪVS

skazanych uprzednio przez sąd Policji i SS na śmierć zostało rozstrzelanych. Kurelisa jednak oszczędzono z uwagi na szacunek, którym generał cieszył się wśród Łotyszy.

Do walki z Niemcami stanął tylko 300-osobowy batalion por. Roberta Rubenisa, lecz poniósł on poważne straty. Ci, którym udało się przeżyć, przeszli do działalności partyzanckiej, podejmując współpracę nawet z bolszewikami. Siłowe rozwiązanie nie zlikwidowało jednak przyczyn rosnących nastrojów antyniemieckich. Co więcej, występowały one również wśród Łotyszy służących w formacjach niemieckich. Świadczy o tym raport z 31 grudnia 1944 r., napisany przez SS-Untersturmführera Ervīnsa Thiemnieksa. Znajdziemy tam wiele krytycznych, ale prawdziwych słów wobec wątpliwych sojuszników z Berlina w związku z ich polityką okupacyjną, prowadzoną na Łotwie w latach 1941–1944. Podobny wydźwięk miało memorandum ze stycznia 1945 r., napisane przez łotewskich funkcjonariuszy SD, w którym konstatowali oni: „Dla Łotyszy jest jasne, że niemiecka administracja cywilna jest największym wrogiem naszego narodu, który nigdy nie uczynił dla nas nic dobrego i nigdy tego nie zrobi”.

Sytuacja na froncie (odcięcie sił niemieckich w kotle kurlandzkim) nieco zmieniła to, jak Niemcy patrzyli na akcje sabotażowo-dywersyjne. Przestały one być priorytetem z uwagi na coraz bardziej kurczące się zasoby. Z tego powodu doszło do przerzutu na tereny opanowane przez Sowietów tylko niewielkiej części z przeszkolonych grup łotewskich. SS-Hauptsturmführer Boris Jankaus w listopadzie 1944 r., w raporcie skierowanym do Heinricha Himmlera, stwierdzał, że dysponuje 64 grupami liczącymi 1164 dywersantów. Natomiast siły niewykorzystane w działaniach sabotażowo-dywersyjnych użyto do akcji przeciwko sowieckim partyzantom, formując z nich antypartyzanckie oddziały specjalne, tzw. Jagdgkommando.

Tajne magazyny

Nie tylko SD szykowało się do stworzenia łotewskich grup antysowieckich. W podobne działania włączył się też niemiecki wywiad wojskowy. Jeszcze na początku 1944 r. do Rygi przybył szef Wydziału II Abwehry (sabotaż i dywersja) ppłk baron Wessel Freytag von Loringhoven i nakazał rozdysponować w różnych miejscach pewną ilość broni pochodzącą ze składów Grupy Armii „Północ”. Na terenie Łotwy planowano utworzyć 118 tajnych magazynów.

Struktury RSHA włączone w operację „Dziki Kot” wspierane były przez podlegający początkowo Wehrmachtowi FAK 204 – Frontaufklärungskommando 204 (Dowództwo Rozpoznania Frontowego 204), a konkretnie przez podporządkowany mu Frontaufklärungstruppen 212 – Oddział Rozpoznania Frontowego 212. Dowódcą FAT 212 był od lata 1944 r. ppor. Helmut Hasselmann, mający wraz ze swymi podkomendnymi doświadczenie nabyte we współpracy z SD w czasie realizacji operacji „Zeppelin”. Początkowo miejscem stacjonowania jednostki była Ulbroka koło Rygi, potem Tīnūži i Matkule. W Rydze oraz w dwóch wspomnianych miejscowościach mieściły się ośrodki szkoleniowe Abwehry, po czym jesienią 1944 r. zostały one ostatecznie ewakuowane do Gdańska.

W kotle kurlandzkim pozostał natomiast, kontynuując szkolenie dywersantów, ppor. Hasselmann. Jedną z pierwszych grup, która znalazła się na zapleczu sowieckiego frontu, był 11-osobowy zespół desantowy zrzucony 2 października 1944 r. na terenie powiatu Vjlani w Łatgalii w ramach operacji „Lappland”. Na jej czele stał Pēteris Supe „Cinītis”, z wykształcenia agronom, nieposiadający doświadczenia wojskowego. 10 grudnia 1944 r., po nawiązaniu kontaktów z miejscowymi konspiratorami, utworzył on organizację Latvijas Nacionālo Partizānu Apvienība (LNPA – Łotewskie Stowarzyszenie Narodowych Partyzantów). Początkowo jej aktywność miała skupić się na terenach północnej części Liwonii, a także Łatgalii. Partyzanci założyli duży obóz na bagnach Stompaku. Na jego terenie znajdowały się 24 bunkry, w których mieszkało po 20–30 osób, stajnie dla koni, magazyn żywności i kaplica.

Istnienie tak dużego ośrodka podziemnego, w którym przebywało na co dzień ok. 350 partyzantów, nie mogło ujść uwadze sowieckich władz bezpieczeństwa. 18 lutego 1945 r. aresztowany został jeden z konspiratorów – Tadeušs Bukšs. Po tygodniu tortur NKWD-ziści wyciągnęli z niego informacje o miejscu stacjonowania partyzantów. Wysłany na rozpoznanie por. Pikulew został ujęty i rozstrzelany (według łotewskich historyków partyzanci rozpoznali i stracili dwóch agentów). Trudno powiedzieć, czy Pikulew przekazał Łotyszom informację o tym, że NKWD zdaje sobie sprawę z lokalizacji bazy, a ci ją zignorowali.

2 marca 1945 r. Sowieci skierowali do likwidacji obozu 382 żołnierzy z 5. Dywizji Strzeleckiej Wojsk Wewnętrznych NKWD wspartych przez 181 członków miejscowych Istriebitelnych Batalionów (IB). Rozpoczęty nad ranem bój trwał aż do godz. 19.30.



Łotewscy partyzanci, lata 40.
FOT. LATVIJAS NACIONĀLĀ BIBLIOTĒKA

eprasa.pl bba3719406



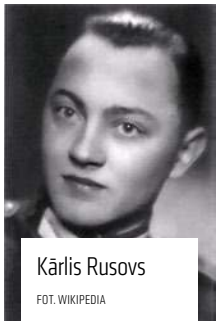
Miejsce pamięci na bagnach Stompaku

FOT. LATVIJAS OKUPĀCIJAS MUZEJS

W nocy partyzanci przebili się przez pierścień okrążenia (jednym z nich był kpt. Jānis Arvīds Ozols, który poległ niedługo później – 28 kwietnia). Na bagnach Stompaku zginęło w boju lub zmarło od odniesionych ran 28 partyzantów. Jednym z nich był zmarły trzy tygodnie po walce zastępca „Cinītisa", Staņislavs Ločmelis „Dūze". Straty NKWD wyniosły natomiast 16 zabitych i czterech zmarłych w wyniku odniesionych ran (historycy łotewscy sugerują, że straty NKWD wyniosły 46 zabitych, lecz nie podają danych źródłowych). Nieznana jest natomiast liczba zabitych i rannych z IB.

Po bitwie i późniejszej śmierci kpt. Ozolsa dowodzenie nad organizacją i podległymi oddziałami partyzanckimi przejął Pēteris Supe, koncentrując się na próbach zjednoczenia różnych autonomicznych grup ruchu oporu.

Istotną cenzurą czasową dla kształtującego swe struktury podziemia łotewskiego był 8 maja 1945 r. Boris Jankaus napisał wtedy: „Twierdza Kurlandia padła. Oddział za oddziałem składają broń. Dla wielu wojna się skończyła, dla nas i wielu innych ona dopiero się zaczyna. Mając wybór między obozem jenieckim a życiem partyzanckim, wybraliśmy to drugie i teraz idziemy do lasu. Las był zawsze schronieniem dla Łotysza, do niego zawsze uciekał przed uciskiem tyranów". Takich jak Jankaus było ok. 4 tys. ludzi.



Kārlis Rusovs

FOT. WIKIPEDIA

Fortel Dubina

Klęska III Rzeszy spowodowała pewne przewartościowanie w myśleniu konspiratorów. Prezentujący zbyt proniemieckie poglądy Jankaus został przez swych podkomendnych odwołany z funkcji dowódcy, a na komendanta wybrano Teodorsa Jansonsa. Nowym strukturom podziemnym nadano nazwę Łotewska Narodowa Organizacja Partyzancka – LNPO. Jej liderzy dążyli do tego, by stała się ona zbrojnym ramieniem Łotewskiej Centralnej Rady, zastępując grupę Kurelisa.

Szybko się okazało, że intensywne walki partyzanckie zaczęły wykruszać szeregi podziemia. 19 maja 1945 r. w starciu z NKWD poległ Teodors Jansons. Boris Jankaus został aresztowany 27 stycznia 1947 r. Skazano go na karę 25 lat łagru, ale został zastrzelony podczas próby ucieczki 6 października 1949 r. Wcześniej, 1 kwietnia 1946 r., zginął Pēteris Supe „Cinītis". Wraz ze swoim zastępcą, Heinrichem Auskelisem „Teraudsem", udał się tego dnia do domu byłego podpułkownika armii łotewskiej Ottona Kluciego. Partyzanci mieli nadzieję, że uda im się nakłonić go do wstąpienia do LNPA. W rokowaniach uczestniczył też Jānis Klimkāns ps. Dubin. Partyzanci nie wiedzieli jednak, że „Dubin" od 26 lutego 1946 r. był agentem NKWD. Gdy uczestnicy rozmowy siedzieli przy stole, Klimkāns oznajmił, że chce się napić mleka, po czym wyszedł do innego pomieszczenia, załadował broń, wrócił i zastrzelił obu dowódców podziemia.

Schedę po zamordowanym „Cinītisie" przejął Anton Circāns „Vārpa'' – jego towarzysz broni, członek sztabu LNPA, a także członek SS-Jagdeinsatz Baltikum. Kontynuował on integrację działających samodzielnie grup partyzanckich w ramach jednolitej struktury. „Vārpa" był autorem memorandum skierowanego do łotewskich władz komunistycznych, w którym LNPA domagała się natychmiastowego zakończenia deportacji, terroru, rabunków, a także żądała wyprowadzenia Armii Czerwonej oraz przeprowadzenia referendum w sprawie istnienia Łotwy w granicach ZSRS. Ponadto Anton Circāns, występujący pod pseudonimem Major Schmidt, uczestniczył w negocjacjach z ppłk. Aleksjem Korniejewem, szefem Wydziału Zwalczania Bandytyzmu NKWD Łotewskiej SRS. 28 września 1945 r. zakończyły się one zawarciem 12-dniowego zawieszenia broni pomiędzy LNPA a NKWD w powiecie Wałk. 7 lipca 1947 r. Anton Circāns poległ podczas wymiany ognia z żołnierzami sowieckimi.

Po jego śmierci nowi okupanci przenieśli swoje zainteresowania wywiadowcze na dowódcę oddziału LNPA, Kārlisa Rusovsa „Salnę" (przyłączył się do LNPA w 1946 r., akceptując propozycję podporządkowania się złożoną przez Circānsa). W sierpniu „Salna" został wydany w ręce sowieckiej bezpieki przez agenta Pēterisa Līdumsa „Pētersonsa", podającego się za szefa Ryskiej Podziemnej Organizacji Młodzieżowej. 10 grudnia 1949 r. trybunał wojskowy skazał Kārlisa Rusovsa na karę 25 lat więzienia. W 1955 r. wyrok zmniejszono i warunkowo został on zwolniony trzy lata później.

W leśnych ostępach ukrywał się wciąż były oficer Waffen-SS por. Bronisłavs Sluckis „Indulis", dowódca regionu Północnej Łatgalii LNPA. Sowieci zdołali go ująć dopiero 15 stycznia 1953 r. (pod koniec grudnia tego roku został stracony).

W sumie na Łotwie spośród ok. 15 tys. partyzantów w walkach z Sowietami miało zginąć 2422 członków antysowieckiego podziemia, natomiast kolejnych 483 stracono. Łotewscy partyzanci mieli natomiast zabić 1639 osób, w tym 370 żołnierzy sił bezpieczeństwa oraz 199 członków IB.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Felder B.M., ***„Das Unternehmen »Wildkatze«. Der SS-Jagdverband Ost und die Vorbereitung von antisowjetischen"***; *Turčinskis Z.*, ***„Čekas aģentu kaujinieku loma Latvijas Nacionālo partizānu apvienības sagrāvē"***; *Wnuk R.*, ***„Leśni bracia".***

eprasa.pl bba3719406



Szarża polskich szwoleżerów w wąwozie Somosierra w artystycznej wizji Jerzego Kossaka

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO W WARSZAWIE

Od Somosierry do Waterloo



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Polscy szwoleżerowie Gwardii to legendarna formacja, która w kolejnych kampaniach potwierdziła wyjątkowe walory bojowe i stała się jedną z ikon epoki napoleońskiej

Cesarz daje rozkaz szwadronowi szwoleżerów polskich będącemu przy nim na służbie, natarcia na artylerię nieprzyjacielską, która z wierzchołka ciaśniny ostrzeliwała gościniec. Waleczny ten oddział prowadzony przez szefa szwadronu Kozietulskiego posunął się natychmiast w kolumnie czwórkami, ponieważ gościniec nie dozwalał szerszego rozwinięcia. Wybiedz na górę galopem pomimo najokropniejszego gradu kartaczów i krzyżowego ognia pieszej strzelby, przewrócić wszystko, cokolwiek się opierało natarciu, opanować niedostępne stanowisko nieprzyjaciela, było dziełem jednej chwili, i wszystko, artyleria, piechota zostało zdobyte, zrąbane, rozproszone odcięte lub zabrane".

Cytat ten, zaczerpnięty z monumentalnego opracowania poświęconego wojnom z lat 1792–1815 i wydanego niedługo po ich zakończeniu („Victoires, conquêtes, désastres, revers et guerres civiles des Français de 1792 à 1815") nie oddaje w pełni dramaturgii bitwy o wąwóz Somosierra (30 listopada 1808 r.), ale jednoznacznie określa głównych jej bohaterów – polskich szwoleżerów Gwardii. Graniczący z szaleństwem atak dał początek legendzie formacji, która w kolejnych kampaniach potwierdziła wyjątkowe walory bojowe i stała się jedną z ikon epoki napoleońskiej.

Honor, Ojczyzna, Rząd

Epoka ta przyniosła odrodzenie polskiej kawalerii, która po stuleciu degrengolady wreszcie okazała się godną kontynuatorką XVII tradycji. Zapewne nie doszłoby do tego, gdyby nie nowa koncepcja prowadzenia wojny, zapoczątkowana przez rewolucję 1789 r. i twórczo rozwinięta geniuszem Napoleona. Jej istotą był manewr. Celem nie było – jak dawniej – opanowanie punktów geograficznych, ale zniszczenie przeciwnika. Atak na skrzydło, zmuszenie go do bitwy, a następnie dopełnienie pogromu poprzez głęboki pościg zapewnić mogła tylko liczna, dobrze wyszkolona i bitna jazda. Napoleon znał jeździeckie tradycje Polaków, a jego sława i charyzma potrafiły wydobyć tkwiące w Polakach pokłady waleczności. Armia francuska była opromieniona wieloma zwycięstwami, ale wpływ na postawy ochotników znad Wisły miały też niewątpliwie oświeceniowo-rewolucyjne idee, co znalazło swój wyraz na szwoleżerskim proporczyku (fanion du colonel) znajdującym się obecnie w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego. Z prawej strony mocno już dzisiaj spłowiałego płata napisano: „N wybawiciel / Polk lekko-konny-polski / Napoleona Wielkiego / Znak Zwycięstwa"; z lewej zaś: „Zmamię Polaka", a pośrodku orzeł polski na tle gwiazdy o sześciu promieniach i napisy: „Honor, Ojczyzna, Rząd, Prawo, Cnota, Własność"; wokoło gwiazdy: „Odwaga, męstwo, karność. Poświęcenie, pojednanie, stałość. Posłuszeństwo, gorliwość, wierność. Oświecenie, praca, skromność. Całość, sprawiedliwość, ludzkość. Staranność, oszczędność, przezorność". Przyszłość pokazała, że te szczytne hasła nie były tylko dekoracją. Pułk był nie tylko elitarny, lecz także egalitarny, a oprócz Polaków służyli w nim Żydzi i muzułmanie.

Dekret organizacyjny cesarz Napoleon ogłosił w swej kwaterze głównej w Finckenstein (Kamieniec Suski na Mazurach) 6 kwietnia 1807 r.: „My, Napoleon, cesarz Francuzów i król włoski, postanowiliśmy i stanowimy, co następuje: Art. I-y. Utworzony będzie pułk Lekko-konny polski gwardyi. Art. 2-gi. Pułk ten składać się będzie z czterech szwadronów, a każdy o dwuch kompanjach […]". Historia jednostki sięga jednak wcześniejszych miesięcy. Już w styczniu, dostrzegając

eprasa.pl bba3719406

entuzjazm spontanicznie organizowanych tzw. gwardii honorowych, Napoleon polecił zorganizować elitarny oddział polskiej kawalerii, który miał się stać częścią jego słynnej Gwardii. Warszawska Komisja Administracyjna wydała wówczas obwieszczenie, podpisane m.in. przez ministra wojny, księcia Józefa Poniatowskiego, w którym apelowała: „Śpieszcie więc, aby się stawić, młodzi ochotnicy; postarajcie się być godnymi łaski wielkiego Napoleona i zasłużyć na miano walecznych wojowników […]. Bądźcie godni Bohatera odnowiciela Polski, który niesie pokój światu".

Broń narodowa

Pułk lekkokonny (czyli szwoleżerów – z franc. chevaux-légers), którego dowódcą został płk Wincenty Krasiński, formowano w stołecznych Koszarach Mirowskich. Gotowe kompanie wysyłano etapami do podparyskiego Chantilly, gdzie w pałacowych stajniach i zabudowaniach gospodarczych powstały koszary. Przywiązanie do rodzimej tradycji manifestowano granatowo-karmazynowymi mundurami kroju polskiego, nawiązującymi wprost do ubiorów Kawalerii Narodowej ze schyłku Rzeczypospolitej. Najbardziej charakterystycznym elementem była rogata czapka, która podczas epoki napoleońskiej zyskała międzynarodową sławę i stała się wyróżnikiem ułanów-lansjerów tworzonych potem w różnych częściach świata. Z Francji pułk powędrował do Hiszpanii i wziął udział w kampanii 1808 r. Tam okrył się chwałą po raz pierwszy (Somosierra). Udział w wojnie przeciwko Austrii przyniósł szwoleżerom kolejne laury. W batalii pod Wagram (6 lipca 1809 r.) brawurowo szarżowali na ułanów Karola Schwarzenberga. Przeciwnicy zostali doszczętnie rozbici, a że w większości byli Galicjanami, to w ferworze walki obie strony obrzucały się „najobelżywszymi wyrazami w mowie rodowitej". Rok 1809 stanowił ważną cezurę w historii pułku – decyzją Napoleona szwoleżerowie otrzymali lance. „Nie bardzo nam była na rękę ta broń nowa – wspominał gen. Józef Załuski – bo oba szeregi zostały równo opatrzone lancami, nie porzucając karabinków, zachowując prócz tego po parze pistoletów, a ma się rozumieć i pałasze [szable – przyp. M.M.]; niedawno byliśmy pobili ułanów przeciwnych, nie mając lanc, tylko pałasze; ale przypomnienia usarzów starodawnych i kopijników Sobieskiego, zapaliły naszą młodzież do broni, którą zwaliśmy im narodową, i jakoś to poszło, żeśmy ją sobie należycie przyswoili". Tak należycie, że Polacy (także ci z Legii Nadwiślańskiej) stali się niedoścignionymi mistrzami w posługiwaniu się lancą, a ich niezwykłą wprawę podziwiał sam cesarz. Doświadczenie i kadrę pułku, od teraz noszącego nazwę szwoleżerów-lansjerów, wykorzystano przy tworzeniu kolejnych formacji tego typu – polskich i obcych.



Czapka polskiego szwoleżera Gwardii ze zbiorów Muzeum Armii w Paryżu FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

Polonais allez voir

W trakcie kampanii rosyjskiej 1812 r. szwoleżerowie ścierali się głównie z kozakami. Dezydery Chłapowski, wówczas jeden z szefów szwadronów, wspominał: „Jak tylko od głównej kwatery przychodziły raporta, że się kozacy pokazują gdzieś na boku, przychodził rozkaz: »Polonais allez voir«. Więc przepędzenie nocy spokojnej było dla nas rzadkim wypadkiem". W zbiorach Muzeum Wojska Polskiego znajduje się kurtka mundurowa Jana Kozietulskiego, bohatera spod Somosierry, z dziurą na jednym z rękawów; przyszyta była do niej kartka z napisem: „Przecięcie od piki kozackiej, którą Pułkownik Kozietulski był pchnięty pod Małym Jarosławcem". Ważnym zadaniem była ochrona samego cesarza Napoleona, co przynosiło pewne profity (lepsze zaopatrzenie), ale było też wyczerpujące, na co narzekał grosmajor Pierre d'Autancourt: „Sama tylko eskorta cesarza rujnowała pułk; ludzie, a zwłaszcza konie padali ze zmęczenia i nigdy cesarski szwadron służbowy nie wracał do regimentu bez pozostawienia w tyle ludzi i koni".

Ciężki odwrót spod Moskwy nie osłabił ducha bojowego szwoleżerów gwardii. Pułk przeszedł kilka reorganizacji i otrzymał wzmocnienia (eklererzy, Tatarzy litewscy). Podzielony walczył w składzie zarówno Starej, jak i Młodej Gwardii w następnej kampanii – w 1813 r. Stawał m.in. pod Lützen, Budziszynem, Lipskiem. 22 maja pod Reichenbach wzbudził taki zachwyt swym męstwem i umiejętnościami, że francuscy generałowie Gwardii orzekli Chłapowskiemu: „Jeżeli kto waleczniejszy od nas, kto od nas lepiej się bije, to wy!". 17 września pod Peterswalde Seweryn Fredro na czele 200 polskich jeźdźców rozgromił wielokrotnie liczniejszy oddział śląskich huzarów ppłk. Franza Blüchera, syna słynnego feldmarszałka. Ranny Prusak dostał się do niewoli. Z równą zaciętością Polacy bili się w 1814 r. w jednej z najznakomitszych, choć ponownie przegranych napoleońskich kampanii. Stawali przeciwko Rosjanom, Austriakom, Prusakom i Bawarom. Do legendy pułku przeszedł epizod z walk pod Berry-au-Bac (5 marca), gdzie atak szwoleżerów-lansjerów obserwował sam cesarz. Pobili kozaków, zdobyli strategiczny most na rzece Aisne, wzięli działa oraz jeńców, a szef szwadronu, Ambroży Skarżyński, położył za pomocą zdobycznej piki kilkudziesięciu przeciwników, przy czym jednego z nich przybił ponoć do przydrożnego drzewa. Napoleon nadał mu za ten wyczyn tytuł barona. Po abdykacji cesarza wyborowy, liczący nieco ponad 100 ludzi szwadron polskich szwoleżerów towarzyszył mu na Elbie. Skąd ten zaszczyt? Pułkownik Paweł Jerzmanowski, jeden z najsłynniejszych szwoleżerów, wyjaśnił to wiele lat później w replice skierowanej do francuskiego historyka: „Kiedy wasi sojusznicy zdradzali was, kiedy porzucali was zdradziecko nawet na polu bitwy […], Polacy zawsze trzymali się drogi honoru". Po raz ostatni szwoleżerowie szarżowali 18 czerwca 1815 r. pod Waterloo. Bili się za cesarza i za wolną Polskę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bba3719406



Pakowanie ananasów do puszek. Fabryka na Hawajach

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARCHIVES AT COLLEGE PARK – ARCHIVES II



Tymoteusz Pawłowski

Rywalizację kapitalizmu i komunizmu widać było również w projektach pomieszczeń kuchennych. Minimalistyczny pomysł Margarete Schütte-Lihotzky zdobył uznanie Stalina, ale Zachód pozostał w tej kwestii wierny tradycji

Zlewy, lodówki i kuchenki / Ergonomia kontra tradycja

Kuchenne fronty

Prometeusz miał wykraść bogom ogień, wynosząc go z Olimpu w pustym wnętrzu łodygi kopru, za co zresztą został surowo ukarany. Musiało się to stać naprawdę dawno temu, ponieważ odkrycia archeologiczne wskazują, że człowiek posługuje się ogniem już niemal milion lat, a więc czynił to, zanim jeszcze zdobył zaszczytne miano homo sapiens. Dowód na to, że ogień był używany w celu przygotowywania posiłków – w tym konkretnym przypadku akurat do upieczenia ryby – pochodzi zaś sprzed 790 tys. lat.

Początkowo gotowano i pieczono przy ogniskach, ale wszystko zmieniła rewolucja neolityczna, gdy ludzie postanowili prowadzić osiadły tryb życia, a więc budować domy wraz z kuchniami. Sposób aranżacji pomieszczenia, w którym gotowano i pieczono, różnił się oczywiście w zależności od kultury czy raczej tzw. warunków obiektywnych. Tam, gdzie było bardzo gorąco albo brakowało opału, ludzie starali się gotować jak najkrócej, tam z kolei, gdzie było zimno, koniecznością było utrzymywanie ognia, więc posiłki można było gotować powoli. Ta różnica utrzymała się do dziś i dlatego kuchnia europejska (sposób przygotowania posiłków) różni się od bezdrzewnej kuchni japońskiej czy upalnej kuchni afrykańskiej.



Lodówka z lat 30. XX w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BIRMINGHAM MUSEUMS TRUST

Pomieszczenia kuchenne też się oczywiście różnią, przynajmniej w miesiącach chłodnych. W miesiącach upalnych na całym świecie zwyczajowo korzystano z kuchni letnich, stojących z dala od domów. Czyniono tak nie tyle ze względu na upały czy roznoszące się zapachy, ile ze względu na bezpieczeństwo pożarowe. W Rosji – a być może też w innych krajach – wraz z nadejściem wiosny policjanci zamykali i pieczętowali piece kuchenne, a dopóty, dopóki nie przyszło ochłodzenie, regularnie sprawdzali, czy poddani cara nie łamią prawa. Dziś kuchnie letnie kojarzą się raczej z wakacjami, odpoczynkiem i brakiem stresu.

Napoleon w konserwie

Posiłki przygotowywano na paleniskach – z reguły obudowanych – ale długo nie było skutecznych sposobów na wyprowadzenie z domu kuchennych zapachów, dymu i sadzy (stąd też sym-

eprasa.pl bba3719406

patia do gotowania na zewnątrz). Stało się to możliwe dopiero po stworzeniu jednego z najważniejszych, choć z reguły ignorowanych wynalazków, czyli komina. Pojawił się on – jako instalacja przemysłowa – jeszcze w czasach późnego Imperium Rzymskiego, ale do celów domowych przystosowano go dopiero w średniowiecznej Anglii, a popularność w Europie zdobył w wiekach XVII–XVIII. Komin – polska nazwa, tak samo jak nazwy w innych językach, pochodzi od łacińskiego „caminus" – nie tylko zwiększył komfort życia w domach, lecz także zmniejszył ryzyko wystąpienia pożaru: gorące spaliny i iskry były ekspediowane na zewnątrz.

Kolejne dwie istotne zmiany przyszły w XIX w. Pojawiły się po pierwsze kuchenki gazowe, a po drugie – żywność konserwowana. Oba wynalazki były związane z działalnością cesarza Napoleona. Możliwość skonstruowania kuchenki gazowej zaistniała dopiero wtedy, gdy wojny przez niego toczone wymusiły masową i tanią produkcję luf karabinowych i działowych: rury gazowe muszą być tanie i wytrzymałe. Konserwy powstały zaś z rozkazu cesarza, który chciał ułatwić zaopatrywanie żołnierzy w żywność, przechowując ją w pojemnikach: początkowo szklanych, później bardziej wytrzymałych – metalowych.

Konserwy pojawiły się w 1810 r., kuchenki gazowe 10 lat później i stopniowo – do końca XIX w. – oba wynalazki zmieniły sposób funkcjonowania kuchni. Umożliwiły również przemiany społeczne i obyczajowe: najpierw ułatwiły urbanizację Europy i Ameryki, a następnie pozwoliły na emancypację kobiet. Bez kuchenek gazowych i żywności konserwowanej przygotowanie posiłku było wielogodzinnym przedsięwzięciem. Teraz można było szybko ugotować obiad, łatwo odgrzać go następnego dnia, a na czas wolny przygotować domowe konserwy i zapakować je do słoików.

Ewolucję pomieszczenia kuchennego zakończyły pojawienie się w pierwszych dziesięcioleciach XX w. domowej lodówki i popularyzacja bieżącej wody. W tym samym czasie wyposażenie kuchenne zaczęto emaliować na biało, a gaz – dość nieśmiało i powoli – zastępowano elektrycznością. Od tego momentu życie kuchenne toczy się pomiędzy lodówką, kuchenką i zlewem. Wystarczy tylko zdecydować, w jaki sposób ustawić te trzy przedmioty. A wbrew pozorom jest to kwestia nie tylko ergonomii, lecz także polityki.

Lenin w lodówce

W 1970 r., z okazji „SRUL-a" – tak skrótowo określano 100. rocznicę urodzin Lenina – starania komunistycznej propagandy były tak intensywne, że ludzie, jak głosił znany dowcip, obawiali się otworzyć lodówkę, aby nie napotkać tam Władimira Iljicza. Większość mieszkańców krajów demokracji ludowej nie wiedziała, że potyka się o niego już wcześniej – wchodząc do swojej kuchni.

Otóż Margarete Schütte-Lihotzky – architektka, komunistka i aktywistka pochodząca z Austrii – uznała, że należy pomieszczenie kuchenne zaprojektować tak, aby zmaksymalizować wydajność kobiet. Wzorowała się na Fredericku Taylorze, twórcy naukowych podstaw fabrycznej produkcji taśmowej, a za wzór służyły jej okrętowe kambuzy. Zaprojektowała kuchnię jednoosobową tak małą (2 x 3,5 metra), aby wszystko znajdowało się w szufladach „pod ręką". Swój projekt zaprezentowała we Frankfurcie w 1926 r. – stąd nazwa „kuchnia frankfurcka" – ale sukces odniosła w Związku Sowieckim, do którego pojechała na zaproszenie Stalina. Jej pomysł zastosowano w powstających właśnie miastach, m.in w Magnitogorsku i Komsomolsku. Później ciasne „kuchnie frankfurckie" stały się obowiązującym standardem wszędzie tam, dokąd trafiły idee komunizmu, niestety także w Polsce. Ironią losu jest to, że – do czego chętnie przyznawała się Lihotzky – ona sama nigdy nie gotowała i zawsze stołowała się w restauracjach.



Rekonstrukcja tzw. kuchni frankfurckiej w Museum für angewandte Kunst

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CHRISTOS VITTORATOS

Jednak jej pomysł wcale nie był oryginalny. Już w 1870 r. – zbieżność z narodzinami Lenina czysto przypadkowa – w Stanach Zjednoczonych krótką popularność zdobyła książka pt. „Dom amerykańskiej kobiety". Jej autorką była Catharine Beecher, wpływowa wówczas propagatorka równouprawnienia kobiet. Beecher zaproponowała w niej wyrzucenie stołu z amerykańskich kuchni, co pozwoliłoby paniom na bardziej wydajną pracę. Pomysł został powszechnie skrytykowany, co gwałtownie ograniczyło jej wpływy i popularność.

Rodzinne centrum

Na „zgniłym, kapitalistycznym Zachodzie" ludzie sami dbali o swoje potrzeby, a mieszkania kupowali według gustu swojego, a nie teoretyków i ideologów. Nie pożądano kuchni najbardziej ergonomicznych i zapewniających największą wydajność, lecz pozwalających na życie towarzyskie i rodzinne. Kuchnia jest bowiem centrum funkcjonowania rodziny. Nie bez kozery w wielu językach „kuchnia" i „rodzina" mają ten sam rdzeń, a w polszczyźnie istnieje określenie „ognisko domowe" (słowo „kuchnia" jest dla nas obce: przybyło do Polski z łaciny, najprawdopodobniej wraz z chrześcijaństwem, przez Niemcy i Czechy).

Najbardziej pożądane – oczywiście po uporaniu się z deficytem pieniędzy i przestrzeni – są więc kuchnie duże, zapewniające nie tyle możliwość wspólnego rodzinnego gotowania, ile wspólnego rodzinnego przeżywania posiłków. Z technicznego punktu widzenia lodówka, kuchenka i zlew – czy też kredens, piec i miednica w dawnych czasach – są ważne, ale najważniejszy jest stół, na którym nie tylko przygotowuje się potrawy, lecz także przy nim się je spożywa.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bba3719406



Palestyńczycy wypędzani z Hajfy przez członków Hagany, żydowskiej formacji paramilitarnej, kwiecień 1948 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HAARETZ.COM, AUTOR ZDJĘCIA NIEZNANY

Izrael vs. Palestyńczycy / Walka o wszystko

Ziemia dla jednego ludu



Piotr Zychowicz

Zrobienie miejsca dla Izraelczyków kosztem Palestyńczyków to plany tak stare jak idea syjonistyczna

Uważny obserwator konfliktu na Bliskim Wschodzie nie mógł przeoczyć szokującego projektu, który w trakcie izraelskiej operacji specjalnej w Strefie Gazy forsowali radykalni (i nie tylko) syjoniści. Mowa o „rozwiązaniu problemu Strefy Gazy" poprzez masowe wysiedlenie jej palestyńskiej ludności. A następnie zastąpienie ich żydowskimi osadnikami.

Na pewnym etapie Izraelczykom udało się do tego pomysłu przekonać nawet prezydenta Stanów Zjednoczonych. Oczywiście chodzi o kuriozalny projekt riwiery Trumpa, która miała powstać na gruzach i trupach Palestyńczyków. Oczywiście po uprzednim pozbyciu się z terytorium ocalałej z izraelskiej masakry rdzennej ludności arabskiej.

Projekty te zszokowały świat, ale w myśli syjonistycznej to nic nowego. Niemal od samego początku w ideologię tę wpisana była koncepcja masowego, przymusowego wypędzenia Arabów, którzy musieli ustąpić miejsca żydowskim pionierom przybywającym z Europy. Zgodnie z darwinistycznym przekonaniem wszystkich nacjonalistów słaby musiał ustąpić miejsca silniejszemu. A bezwzględna walka o ziemię nie uznawała żadnych kompromisów.

W syjonistycznym dyskursie „masowe deportacje" zostały zastąpione eufemizmem „transfer". Słowo to wróciło w ostatnich latach w dyskusjach zwolenników Ben-Gwira, Smotricza i innych radykalnych szowinistów.

„Idea transferu – pisał izraelski historyk Benny Morris – została wymyślona przez ojców nowoczesnego syjonizmu i choć przed 1937 rokiem rzadko mówiono o tym głośno, była jedną z podstaw ideologii syjonistycznej od zarania ruchu. Dla syjonistów zawsze było jasne, że stworzenie żydowskiego państwa będzie niemożliwe bez żydowskiej większości. Teoretycznie można ją było osiągnąć przez masową imigrację, ale nawet wtedy Arabowie pozostaliby dużą, groźną mniejszością".

Dearabizacja

Rzeczywiście, o przyszłych masowych przesiedleniach syjoniści nie mówili głośno. Ten delikatny temat omawiano przy zamkniętych drzwiach. Chodziło o to, żeby nie zrazić do siebie światowej opinii publicznej.

„Był to temat drażliwy i wybuchowy – pisał palestyński historyk Nur Masalha. – Niezliczeni badacze i pisarze skupiający się na Palestynie unikali go z oczywistych powodów. Jednak od samego początku koncepcja »transferu« zajmowała centralne miejsce w strategicznym myśleniu przywódców ruchu syjonistycznego jako rozwiązanie »kwestii arabskiej« w Palestynie. Jest to logiczne następstwo ostatecznego celu ruchu syjonistycznego, którym było ustanowienie państwa żydowskiego poprzez kolonizację i przejmowanie ziemi".

Dla każdego, kto potrafił wyciągać wnioski, sprawa była jasna. Judaizacja Palestyny nie była możliwa bez jej wcześniejszej dearabizacji.

Początkowo syjoniści liczyli na „dobrowolny" wyjazd palestyńskich Arabów do Syrii lub Iraku. Przewidywali nawet rekompensatę finansową dla wyjeżdżających. Organizacja Syjonistyczna miała zaciągnąć milionowe kredyty i kupić dla nich ziemię w Iraku lub w innej części Bliskiego Wschodu.

Iluzje te rozwiały się jak pustynny miraż. Po zamieszkach i zaciekłych walkach z lat 1920, 1921, 1929 oraz 1936 stało się jasne, że nie może być o tym mowy. Wbrew temu, co na początku XX w. pisał Israel Zangwill, palestyńscy Arabowie

eprasa.pl bba3719406

nie byli wcale koczownikami, którzy w każdej chwili mogli zwinąć namioty, wsiąść na wielbłądy i przenieść się do innej części „Arabii". Ludzie ci okazali się patriotami swojej ziemi. A to oznaczało jedno: trzeba będzie ich usunąć siłą.

„Nie możemy założyć państwa żydowskiego z połową ludności arabskiej – przekonywał siwobrody Menachem Usyszkin, jeden z najbardziej szanowanych syjonistów, szef Żydowskiego Funduszu Narodowego. – Takie państwo nie przetrwałoby nawet pół godziny. Transfer 60 tysięcy arabskich rodzin jest jak najbardziej moralny. Jestem gotów przyjść i bronić tego przed Wszechmogącym".

Dziś takie cytaty mogą szokować. Warto jednak pamiętać, że syjonizm był dzieckiem swoich czasów, jedną z wielu utopijnych ideologii, które porwały miliony ludzi. Podobnie jak komuniści syjoniści uważali, że realizacja ich wielkiej idei wymaga radykalnych działań i akceptacji „skutków ubocznych".

Obsiać ugory

Wysiedlenie Arabów było po prostu nieprzyjemną dziejową koniecznością. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. To nie było nic osobistego. Nieszczęście palestyńskich Arabów polegało na tym, że znaleźli się w złym miejscu i w złym czasie. Byli przeszkodą na drodze do realizacji ideologicznego celu syjonistów. Tak jak kamienie i korzenie, które należało usunąć z gleby, aby kibucnicy mogli zaorać i obsiać ugory Ziemi Obiecanej.

„Musimy się domagać, aby nasz kraj został nam zwrócony – mówił Usyszkin. – Jeżeli są tam inni mieszkańcy, musimy ich przenieść w inne miejsce. Musimy przejąć ziemię. Mamy większą i szlachetniejszą ideę niż zachowanie kilkuset tysięcy arabskich fellahów".

„Nie sprzeciwiam się naszemu moralnemu prawu do proponowania transferu ludności – deklarował Aharon Zisling, jeden z liderów ruchu kibucowego. – Nie ma żadnej moralnej skazy w propozycji mającej na celu koncentrację narodowego życia. Wprost przeciwnie: w nowym porządku światowym to może być i powinna być szlachetna, humanitarna wizja".



Menachem Usyszkin i Josef Weitz, orędownicy wypędzenia Palestyńczyków

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JEWISH NATIONAL FUND

Koncepcja „Palestyny dla Żydów" – na co zwrócił uwagę izraelski historyk Ilan Pappé – miała jednak i drugą stronę medalu. Koncepcja ta oznaczała oczywiście „Palestynę bez Palestyńczyków".

„Żeby urzeczywistnić ten projekt – pisał Pappé – teoretycy syjonizmu wzięli biblijne tereny i odtworzyli, a nawet wymyślili je od nowa, jako kolebkę nowego ruchu nacjonalistycznego. Według ich teorii Palestyna była zajęta przez »obcych« i musiała wrócić w ręce prawowitych właścicieli".

Izraelski historyk Benny Morris opisał narady, które odbyły się w sierpniu 1937 r. na XX Zjeździe Organizacji Syjonistycznej w Bazylei. Zdecydowana większość delegatów opowiedziała się za koncepcją „transferu". Podawano trzy główne powody:

1. „Transfer" likwidował problem „wrogiej arabskiej mniejszości".

2. Wyjeżdżający Arabowie zrobiliby miejsce dla żydowskich osadników przybywających z Europy.

3. Rozwiązany zostałby problem braku ziemi rolnej. Arabowie „zwolniliby" bowiem swoje działki.

Nakba 2.0?

W listopadzie 1937 r. Agencja Żydowska powołała do życia Komitet do spraw Transferu Ludności, na którego czele stanął Ja'akow Thon. Najbardziej wyrazistym i rzutkim członkiem Komitetu okazał się jednak Josef Weitz (1890–1972).

Urodzony w Boremlu na Wołyniu Weitz był szefem wydziału osadnictwa Żydowskiego Funduszu Narodowego. Poglądy tego człowieka z dzisiejszej perspektywy można uznać za ekstremistyczne. Dzięki swojej charyzmie i darowi przekonywania szybko narzucił je jednak syjonistycznemu kierownictwu.

„Jedynym rozwiązaniem – dowodził Weitz – jest transfer tutejszych Arabów do krajów sąsiednich. Wszystkich. Może oprócz [Arabów z] Betlejem, Nazaretu i starej Jerozolimy. Nie można zostawić ani jednej wioski, ani jednego plemienia. Transfer musi być dokonany przez absorpcję tych ludzi w Iraku, Syrii, a nawet Transjordanii. Dla realizacji tego celu pieniądze się znajdą. Nawet dużo pieniędzy. I tylko wtedy kraj zdoła zaabsorbować miliony Żydów i rozwiązanie dla kwestii żydowskiej zostanie znalezione. Nie ma innego sposobu".

Weitz podkreślał, że „w tym kraju nie ma miejsca dla dwóch narodów". I dodawał: „Na pewno nie będziemy tu żyli razem z Arabami".

O jego nastawieniu dużo mówi opis podróży do środkowej Palestyny, którą odbył w 1941 r.:

„Wielkie arabskie wioski zapełnione ludźmi. Otoczone ziemią uprawną, na której rosną oliwki, winogrona, figi i sezam. Pola kukurydzy. Czy będziemy w stanie utrzymać nasze osiedla rozsiane między tymi wioskami, które zawsze będą większe od naszych? Czy jest jakakolwiek możliwość, żeby ci ludzie sprzedali nam ziemię? Po raz kolejny usłyszałem wewnętrzny głos, który mówił: Ewakuować ten kraj!".

Po kolejnej podróży na tereny arabskie Weitz jeszcze bardziej zradykalizował swoje stanowisko:

„Arabów jest za dużo i są za bardzo zakorzenieni w kraju. Jedyny sposób to odcięcie, wyrwanie ich z korzeniami. Czuję, że taka jest prawda. Zaczynam rozumieć istotę »cudu«, który musi się wydarzyć wraz z przyjściem Mesjasza".

Jak wiadomo, „cud" ten dokonał się w roku 1948. Powstaniu Państwa Izrael towarzyszyły masakry ludności palestyńskiej i masowe wypędzenie, którego ofiarą padło 730 tys. osób. Czystka etniczna, która przeszła do historii jako Nakba. To nie przypadek, że jeden z izraelskich polityków w reakcji na straszny zamach Hamasu z 7 października 2023 r. ogłosił, iż w odwecie należy zorganizować Nakbę 2.0.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl bba3719406

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

URODZONY W 1900 ROKU W BUCZACZU EMANUEL RINGELBLUM, UKOŃCZYŁ STUDIA HISTORYCZNE W WARSZAWIE I NA STAŁE ZWIĄZAŁ SIĘ Z TYM MIASTEM, KONTYNUUJĄC TAM SWOJĄ DZIAŁALNOŚĆ NAUKOWĄ. KRÓTKO PRZED ATAKIEM NIEMIEC NA POLSKĘ, WZIĄŁ UDZIAŁ W XXI KONGRESIE SYJONISTYCZNYM W GENEWIE.



JUŻ WE WRZEŚNIU 1939 ROKU RINGELBLUM ROZPOCZĄŁ ZBIERANIE DOKUMENTÓW I ŚWIADECTW DOTYCZĄCYCH TRAKTOWANIA LUDNOŚCI ŻYDOWSKIEJ PRZEZ OKUPANTÓW. NATOMIAST GDY JESIENIĄ 1940 ROKU WRAZ Z RODZINĄ TRAFIŁ DO GETTA WARSZAWSKIEGO, STWORZYŁ GRUPĘ LICZĄCĄ PONAD 50 OSÓB O KRYPTONIMIE ONEG SZABAT.



W LIPCU 1942 ROKU ROZPOCZĘTO DEPORTACJĘ Z WARSZAWSKIEGO GETTA DO OBOZU ZAGŁADY W TREBLINCE, WÓWCZAS ZAPADŁA DECYZJA O UKRYCIU ZGROMADZONEJ DOKUMENTACJI W PIWNICY SZKOŁY PRZY UL. NOWOLIPKI 68.



GRUPA RINGELBLUMA KONTYNUOWAŁA PRACE AŻ DO LUTEGO 1943 ROKU. RESZTĘ DOKUMENTÓW ZAKOPANO WÓWCZAS W METALOWYCH KANKACH.

RINGELBLUMOWI UDAŁO SIĘ WRAZ Z RODZINĄ WYDOSTAĆ Z GETTA. UKRYWALI SIĘ W SCHRONIE ZNAJDUJĄCYM SIĘ NA TYŁACH DOMU NALEŻĄCEGO DO RODZINY WOLSKICH PRZY UL. GRÓJECKIEJ. W SCHRONIE NOSZĄCYM NAZWĘ „KRYSIA", KTÓRY MIAŁ OKOŁO 30 METRÓW KWADRATOWYCH PRZEBYWAŁO BLISKO 40 OSÓB.

7 MARCA 1944 ROKU NIEMCY ODKRYLI SCHRON I WSZYSTKICH JEGO MIESZKAŃCÓW, A TAKŻE OSOBY, KTÓRE IM POMAGAŁY, PRZEWIEŹLI NA PAWIAK, A PO KILKU DNIACH ROZSTRZELALI.



PO ZAKOŃCZENIU WOJNY UDAŁO SIĘ WYDOBYĆ WIĘKSZOŚĆ UKRYTYCH DOKUMENTÓW. DZIŚ ZNAJDUJĄ SIĘ W ŻYDOWSKIM INSTYTUCIE HISTORYCZNYM W WARSZAWIE. ARCHIWUM, KTÓRE ZE SWĄ GRUPĄ STWORZYŁ RINGELBLUM ZOSTAŁO W 1999 ROKU WPISANE NA ŚWIATOWĄ LISTĘ DZIEDZICTWA KULTUROWEGO UNESCO.



eprasa.pl bba3719406

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

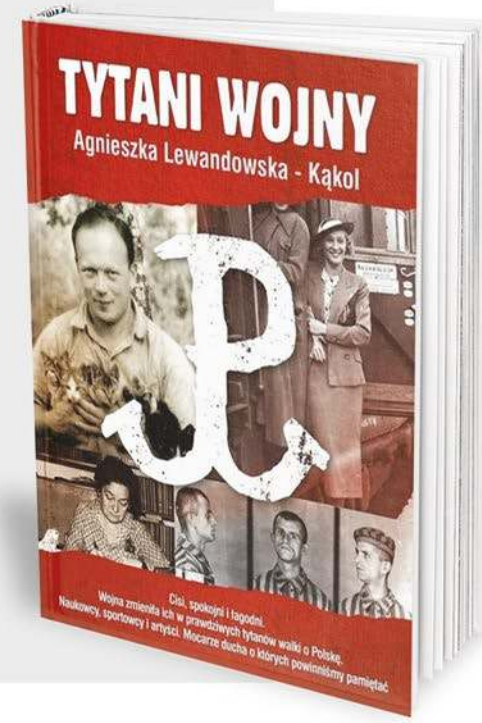
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL: „TYTANI WOJNY”

Książka poświęcona ludziom często zapomnianym i niedostrzeżonym, którzy podczas II wojny światowej walczyli nie zbrojnie, ale wykorzystali do walki swoje talenty i ponadprzeciętne umiejętności, uzyskując efekty istotniejsze od kampanii prowadzonych przez wielkie armie. Naukowcy, lekarze, matematycy, sportowcy, artyści, prawnicy. "Tytani wojny" o wolność Polski.

Eugeniusz Łazowski – lekarz, profesor pediatrii, uratował tysiące ludzi w Stalowej Woli. Przeprowadzał akcje szczepień niegroźną bakterią, po której przerażeni Niemcy ogłosili Stalową Wolę i jej okolice terenem objętym zarazą.
Jerzy Iwanow Szajnowicz – legendarny Agent nr 1. Stworzył na terenie okupowanej Grecji dywersyjną grupę, która zniszczyła dziesiątki niemieckich i włoskich samolotów bojowych. Jako pływak-olimpijczyk samodzielnie uszkodził wiele niemieckich okrętów wojennych w tym kilka U-bootów.
Klementyna Mańkowska – przed wojną żona przy mężu. Od września 1939 jej życie zaczęło przypominać powieść sensacyjną. Współpracowała z wywiadem „Muszkieterów” by na koniec stać się emisariuszem szefa Abwehry, admirała Canarisa, który za jej pośrednictwem chciał utrzymać kanał komunikacyjny z Londynem.
Antoni Kocjan – konstruktor szybowców. W czasie wojny pomagał produkować broń dla podziemia – brawurowo zamawiając podzespoły w niemieckich fabrykach. Dzięki jego działalności AK udało się rozpracować hitlerowski ośrodek rakietowy Peenemünde i dostarczyć do Londynu zdobyty przez polski wywiad pocisk V2.
Franciszek Witaszek – lekarz, naukowiec. Opracowywał receptury trucizn, niesłychanie trudnych do wykrycia, używanych przez podziemie do eliminowania najbardziej strzeżonych niemieckich oficerów.
Henryk Sławik – przedstawiciel Rządu RP na uchodźctwie, działający na Węgrzech, uratował tysiące polskich i żydowskich uchodźców. Uchronił przed śmiercią także Józsefa Antalla, późniejszego premiera Węgier.



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

176 zł

oszczędność 53 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl bba3719406

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl bba3719406